

Juliusz Verne

Wśród Łotyszów

Przekład J. P.

33 ilustracje Leona Benetta

Czasopismo: Wieczory Rodzinne

Warszawa 1906

SPIS TREŚCI

[Rozdział I 3](#)

[Na granicy 3](#)

[Rozdział II 8](#)

[Łotysz za Łotysza. 8](#)

[Rozdział III 13](#)

[Rodzina Ozolinów. 13](#)

[Rozdział IV 18](#)

[W karetkę pocztowej. 18](#)

[Rozdział V 24](#)

[Szynk „Pod Złamanym Hakiem”. 24](#)

[Rozdział VI 29](#)

[Niemcy i Łotysze. 29](#)

[Rozdział VII 33](#)

[Śledztwo. 33](#)

[Rozdział VIII 40](#)

[W Dorpacie.1 40](#)

[Rozdział IX 46](#)

[Oskarzenie. 46](#)

[Rozdział X 52](#)

[Badanie. 52](#)

[Rozdział XI 61](#)

[W obliczu tłumy. 61](#)

[Rozdział XII 67](#)

[Jerzy Sturit. 67](#)

[Rozdział XIII 72](#)

[Powtórne śledztwo. 72](#)

[Rozdział XIV 79](#)

[Cios za ciosem. 79](#)

[Rozdział XV 84](#)

[Na grobie. 84](#)

[Rozdział XVI 89](#)

[Zeznanie Kroffa. 89](#)

Rozdział I

Na granicy

Noc była ciemna, zimowa. Pomiędzy olbrzymimi złomami lodu ostrożnie jak wilk przesuwał się jakiś człowiek. Ciepłe spodnie, kaftan z krowiej skóry sierścią na zewnątrz i czapka z nausznikami bardzo niedostatecznie zabezpieczały go od ostrego przejmującego mrozu. Usta i ręce miał popękane. Na niebie chmury gromadziły się coraz gęstsze i opadały coraz niżej, grożąc lada chwila śnieżycą wściekłą. A jednak były to już pierwsze dni kwietnia. Lecz po 58^{ej} szerokości północnej zima jest zwykle ciężka i długa.

Nieznajomy szedł ciągle naprzód, nie zatrzymując się nawet dla nabrania oddechu. Nogi nie wymawiały mu posłuszeństwa. Widocznie jego siły fizyczne dorównywały moralnym.[1]

Zaledwie około godziny jedenastej przystanął, odetchnął głęboko i zawołał głosem silnym, drżącym ze wzruszenia:

– Nareszcie jestem na granicy Inflanckiej... na granicy mojej ojczyzny!...

Wyciągnął ręce ku zachodowi, jakgdyby chciał przycisnąć do piersi śnieżne przestrzenie rodzinnej ziemi.

Przybywał z daleka, z bardzo daleka – przebiegł tysiące wiorst, omijając tysiące niebezpieczeństw, zwyciężając niezliczone przeszkody. Spryt, odwagę, energię i siłę miał niepospolite. Tułaczka jego trwała już przeszło trzy miesiące, pędził przez nieogarnione okiem stepy, gąszcza leśne, jary górskie, częstokroć zbaczając z drogi, by nie wpaść w ręce posterunków strażniczych, albo czujnej policji, węszącej wszędzie ludzi podejrzanych i oglądającej skrzętnie paszporty podróżnych.

Cudem prawie dosięgnął granicy inflanckiej.

Niestety jednak ziemia rodzinna nie jest dlań kresem podróży. Nie spocznie tutaj na łonie kochającej i ukochanej rodziny, nie ogrzeje się przy ciepłym domowym ognisku.

Jest przecież tylko zbiegiem. Pędzić musi wciąż dalej i dalej, do portu najbliższego. Tam wsiądzie na pierwszy statek, i wtedy zaledwie uczuje się bezpiecznym, gdy brzegi Inflanckiej znikną mu z oczu na zawsze!

– Granica! – wymówił raz jeszcze.

Granica ta była bardzo niewyraźna, z południa ku północy prowadziła przez jezioro Pejpus. Żadna

większa rzeka, żaden łańcuch górski nie oddzielał Estonii, Inflant i Kurlandyi, objętych ogólnym mianem prowincyi Nadbałtyckich od innych prowincyi monarchii Rosyjskiej.

Kim był ten człowiek około trzydziestoczeroletui, wysoki, silnie zbudowany, o szerokich ramionach i potężnym torsie? Z pod kaptura, nasuniętego na czoło, świeciły żywe oczy, których blasku mróz zaćmić nie zdołał i wymykała się gęsta jasna broda. Za szerokim fałdowanym pasem miał ukryty worek skórzany z kilku rublami zaledwie i duży, sześciostrzałowy rewolwer. U pasa zwieszał się długi nóż w pochwie skórzanej, torba z resztkami zapasów żywności i tykwa do połowy napełniona wódką. W rękę miał gruby i mocny kij. Wędrował tylko nocą, więcej się bowiem obawiał agentów policyjnych, niż wilków lub niedźwiedzi. Miał nadzieję, że dzięki niezmordowanej czujności i ostrożności zdoła dotrzeć pomyślnie do jednego z portów, leżących nad morzem Bałtyckiem lub zatoką Fińską.

Dotąd udawało mu się omijać szczęśliwie posterunki policyjne, żądające pasportu, którego on, oczywiście, nie posiadał wcale. Co będzie jednak w tych okolicach nadmorskich, gdzie ilość agentów jest zdwojona? Władze, niewątpliwie, o jego zniknięciu były już zawiadomione. Należał przecież do przestępców politycznych, których rząd ściga z gorliwością największą.

Jezioro Pejpus ma około stu dwudziestu wiorst długości i sześćdziesiąt szerokości. W lecie kursuje po niem mnóstwo łódek rybackich, zbudowanych bardzo pierwotnie z pni drzewnych, zaledwie z kory odartych i spojonych ze sobą za pomocą desek nieociosanych. Spławiają na nich do sąsiednich miasteczek i nawet do zatoki Ryskiej zboże, len, konopie. Prócz tego mieszkańcy nadbrzeżni zajmują się rybołówstwem, jezioro bowiem obfituje w ryby. Zimą wszelka żegluga ustaje, Pejpus okrywa się powłoką lodową tak mocną i grubą, że oddział artyleryi przejść po nim może bezpiecznie.

Zbieg orjentował się z trudnością na tej pustyni śnieżnej, najeżonej tu i owdzie złomami lodu. Szedł jednak naprzód śmiało, krokiem pewnym, chcąc jeszcze przed wschodem słońca stanąć po drugiej stronie jeziora.

– Zaledwie druga po północy – mówił do siebie, – mam jeszcze przed sobą ze dwadzieścia wiorst do zrobienia, a tam znajdę może jakąś opustoszałą chatkę rybacką, gdzie wypocznę do zmierzchu... Teraz jestem już w swoim kraju...

Zapomniał o znużeniu, odzyskał równowagę ducha. Gdyby nawet agenci policyjni wpadli na jego ślady, potrafi im się wymknąć.

Pokrzepił się kilku łykami mocnej wódki i szybko ruszył naprzód, nie zatrzymując się już ani na chwilę.

Okolo godziny piątej, przy pierwszych błyskach świtu zamajaczyły mu w oddali cienkie, pokryte szronem sosny, oraz małe grupy nikłych brzózek i klonów.

Łąd zatem był już blisko. Niebezpieczeństwo się zwiększyło. Wiedział, że na brzegu jeziora ustawione są strażę.

Nie zdziwił się zatem wcale, gdy wśród rozciągającej się naokoło mgły gęstej zamigotało jakieś blade, żółtawe światełko.

– Czy się ten ognik porusza czy nie? – mówił do siebie, opierając się o jeden ze sterczących obok głazów lodowych i pilnie wpatrując się w przestrzeń.

Była to kwestya bardzo ważna, rozstrzygała bowiem, czy światełko jest latarką, jaką zazwyczaj noszą z sobą strażnicy, czy też oświeconym z wewnątrz posterunkiem żołnierskim. Tak czy owak ostrożność nakazywała skierować się na prawo lub lewo od światełka.

Udał się na lewo, z tej strony bowiem las wydawał się mu gęstszym.

Zaledwie uszedł kroków pięćdziesiąt rozległo się nagle donośne: „kto tam?”, wygłoszone z silnym akcentem niemieckim.

Nieznajomy nie odrzekł słowa, tylko co prędzej rzucił się na ziemię. Równocześnie padł wystrzał, kula świsnęła mu koło uszu.

Został więc dostrzeżony! Lecz mgła gęsta była mu sprzymierzeńcem. Strażnicy mogą pomyśleć, że się omylili!

Po krótkiej chwili ujrzał w pobliżu postacie dwu ludzi. Rozglądali się wokoło, głośno zamieniając urywane zdania.

– Czy pewny jesteś, że istotnie widziałeś kogoś podejrzanego? – pytał jeden

– Tak – odparł drugi, zdaje mi się że to jakiś włóczęga, przekradał się na nasz brzeg.

– Ba!... nie pierwszy to i nie ostatni!

– Trudno trafić wśród takiej mgły!... A szkoda, że chybiłem!... Miał pewnie przy sobie wódkę... Bylibyśmy się uraczyli...

Szukali dalej, ożywieni nadzieją zdobycia upragnionej wódki. W końcu jednak, widząc daremność swych zabiegów, oddalili się zwolna.

Upewniwszy się, że istotnie zaniechali poszukiwań, nieznajomy powstał i szybkim krokiem skierował się ku wybrzeżu. Dotarł tam jeszcze przed wschodem słońca. Szczęściem, o parę wiorst od posterunku, dostrzegł jakąś nędzną, opuszczoną chałupę, gdzie mógł znaleźć bezpieczne schronienie.

Z początku miał zamiar spędzić tutaj dzień cały na czuwaniu i przekonać się, czy strażnicy nadbrzeżni nie śledzą go dalej. Lecz zmęczenie wzięło górę nad rozsądkiem. Wyczerpany i zziębnięty wyciągnął się w kącie izdebki, otulił w swój kaftan i zasnął głęboko.

Zbudził się zaledwie o trzeciej po południu.

Wychylił się przez okno i bacznie rozglądał wokoło.

Strażnicy nie opuścili swych stanowisk, widocznie doszli do przekonania, że mniemany włóczęga był tylko przywidzeniem.

Wobec tego nieznajomy zabrał się do spożycia posiłku. Jedzenia mogło mu starczyć jeszcze na parę razy, lecz wódkę wysączył już do ostatniej kropli.

– Ba! – rzekł do siebie – w pierwszej lepszej wiosce, dostanę wszystko, czego mi potrzeba. Rosyanie nie odmawiali mi nigdy pomocy, tembardziej nie mogą mnie odtrącić bracia Łotysze!

Rozumował słusznie. Czy jednak mógł mieć pewność, że trafi właśnie do mieszkania Łotysza? Jeżeli zły los zawiedzie go do Niemców, to z pewnością zbiega oszczędzać nie będą.

Zresztą do miłosierdzia ludzkiego uciekać się nie potrzebował. Miał przecież jeszcze kilka rubli w skórzanym worku za pasem! A co będzie później – to pokaże przyszłość!

Gdy zmierzch już zapadł, około godziny 7-ej, nabił rewolwer i opuścił chatkę. Wieczór był łagodny, wiatr południowy, temperatura podniosła się wyraźnie; na śniegu pojawiły się ciemniejsze plamy: wszystko zdawało się zapowiadać odwilż.

Otoczający krajobraz był bardzo monotony. Jak okiem sięgnąć równina. Tylko na północ-zachodzie wznosiły się lekkie wzgórza, dochodzące zaledwie stu pięćdziesięciu metrów wysokości. Droga więc była łatwą do przebycia. Należało tylko dostać się do portu, zanim odwilż uczyni te śnieżne przestrzenie niemożliwymi do przebycia.

W odległości 15-tu wiorst od Peypusu leży miasteczko Ecks. Nieznajomy nasz przybył około godziny 6-ej rano. Nie chciał jednak wstąpić do miasta z obawy policyi; zatrzymał się więc w jakiejś ruderze, o wiorstę od Ecksu i tu przespał dzień cały. Zaledwie około 6-ej po południu ruszył w dalszą drogę, udając się w kierunku południowo-zachodnim. Zamiarem jego było dotrzeć do Embachu.[2]

Wreszcie po jedenastu wiorstach uciążliwej drogi stanął nad zarośniętym olchami i klonami brzegiem tej rzeki. Ztąd, zamiast iść lasem, skierował się przeto na lód, który był jeszcze dosyć mocny.

Silny deszcz, padający od samego rana, przyspieszał tajanie śniegów i utrudniał drogę. Gdyby mróz był tak tęgi, jak dnia poprzedniego, iść po lodzie byłoby dużo łatwiej. A jednak znajomy postanowił dojść przed rankiem jeszcze do jeziora.

Była to przestrzeń nielada – dwadzieścia pięć wiorst! Od czasu do czasu lód trzeszczał mu pod stopami, grożąc załamaniem... Tu i owdzie omijał przeręble i podwajał kroku.

Widmo niebezpieczeństwa potęgowało energię. Kaftan futrzany chronił od wichru. Podkute gwoździemi podeszwy pozwalały iść szybko po śliskim lodzie.

Do świtu pozostawało jeszcze parę godzin. Jezioro tam leży wśród lasów, z pewnością zatem znajdzie w pobliżu jakiś szałas opuszczony, stanowiący w lecie przytułek drwali, którzy w tych okolicach zajmują się wyrębem drzew. Nie zbraknie tam węgla i suchych gałęzi, roznieci więc ogień

i ogrzeje zziębnięte członki.

Zapasów starczy mu jeszcze na cały dzień...

Nagle w ciemności rozległo się wycie głucho, przeraźliwe...

Nieznajomy stanął i zaczął nasłuchiwać uważnie.

Wycie powtórzyło się raz, drugi i trzeci... za każdym razem coraz silniejsze... chwilami towarzyszyło mu jakby szczekanie... aż wreszcie wszystkie te głosy zlały się w jedną dziką, przerażającą ponurą melodię, która wybuchła w końcu z taką gwałtownością, że krew zastygła w żyłach nieszczęśliwego.

Nie było wątpliwości: o kilkaset kroków najwyżej pędziło stado dzikich zwierząt, które już może poczuły obecność ludzką.

– Wilki... – szepnął bezdźwięcznie – wilki... i to już blisko...

Położenie było groźne niezwykle. Z jednym wilkiem człowiek śmiały i silny może sobie dać radę, nawet gdyby nie miał broni innej, prócz kija. Lecz gdy jest ich kilka, nie wystarczy nawet rewolwer.

O uniknięciu walki nie można było nawet marzyć. Brzegi Embachu są niskie i obnażone. Ani jednego drzewa, na któreby się można schronić. Jediną deską ratunku była ucieczka co sił. Tak też i zrobił. Wkrótce jednak zrozumiał, że odległość między nim a wilkami zmniejszała się z każdą chwilą. Już tylko dwadzieścia kroków dzieliło go od straszliwych drapieżców. Stanął i obejrzał się wokoło. Wydało mu się, że wśród otaczających go ciemności płoną jakieś światełka jakby żarzące się węgle.

To oczy wilków gorzały tak jasno – tych wilków wychudzonych, zgłodniałych, żarłocznych, żądnych zdobyczy.

W jednym ręku trzymał kij, w drugim rewolwer. Strzelać jednak postanowił tylko w ostateczności, by nie zwrócić uwagi strażników, którzy się mogli znajdować w pobliżu.

Wilków było sześciu. Pierwszego, który się nań rzucił, położył kijem na miejscu. Następnie wymierzył w głowę drugiego cios tak potężny, że kij złamał się na połowę. Wilk upadł martwy.

Nieznajomy uciekał dalej. Cztery rozwścieczone wilki pędziły za nim w ślad. Odwrócił się i wystrzelił cztery razy.

Dwa zwierzęta, ranione śmiertelnie, rozciągnęły się na śniegu, brocząc krwią. Lecz dwa inne, do których chybił, nie odstępowały go ani na krok. Nie miał czasu, by nabić rewolwer powtórnie. Drapieżce chwyciły go za poły kaftana. Widział tuż przy sobie ich okropne płaszcze, rozwarte szeroko, czuł oddech płonący. Pędził co sił. Gdyby się raz był potknął, byłoby już po nim. Rozszalałe wilki rozszarpałyby go na części.

Czyż więc naprawdę wybiła jego godzina ostatnia?

Przeżył tyle trudów, tyle niebezpieczeństw po to, by w kraju ojczystym stać się pastwą zgłodniałych drapieżców!

Wreszcie przy pierwszych brzaskach świtu ujrzał przed sobą upragnione jezioro. Deszcz ustał, mgła tylko lekko osłaniała ziemię. Wilki obrywały mu co chwila nowe kawałki futra. Bronił się jak mógł kolbą rewolweru.

Nagle potknął się o jakąś drabinę. Zkąd się tu wzięła? O co się opierała? Mniejsza o to! Dostyc, że była dlań zbawianiem...

Drabina pochylała się nieco ukośnie i nie sięgała ziemi. Pochwycił rękami szczeble i zaczął się wspinać szybko w górę. Wilki wpiły się ostremi kłami w jego buty, rozdzierając skórę.

Drabina ugięła się pod ciężarem człowieka. Jeżeli się złamie, zguba nieszczęśliwego jest nieuchronną. Potwory pożrą go żywcem.

Ze zręcznością majtka, wspinającego się po linach na maszt najwyższy, czepiał się coraz wyższych szczebli. Wreszcie tuż nad głową ujrzał jakąś belkę, rodzaj grubej osi, na którą wskoczył w mgnieniu oka.

Teraz był już w miejscu bezpiecznym.

U stóp drabiny wilki miotały się jak wściekłe, napełniając powietrze głuchym przeraźliwym wyciem.

Rozdział II

Łotysz za Łotysza.

Belka, na której się zbieg nasz umieścił, stanowiła wał, połączony z kołem; do wału tego przytwierdzone były cztery drabiny, właściwie cztery skrzydła młynu, wznoszącego się na małym wzgórzu, niedaleko od miejsca, gdzie Embach zlewa swe wody z wodami jeziora.

Szczęściem w chwili obecnej młyn znajdował się w stanie spoczynku.

Czy jednak stan ten mógł trwać długo? Jeżeli nad ranem zerwie się wicher i zacznie obracać skrzydła, jak to się wtedy utrzymać na wale? Zresztą młynarz mógł dostrzedz obecność obcego człowieka w miejscu tak niezwykłym.

Nieznajomy rozumiał doskonale całą trudność swego położenia, nie myślał jednak o zejściu na ziemię, wilki bowiem nie odchodziły wcale od stóp wzgórza i w dalszym ciągu wyły straszliwie. Hałas ten piekielny mógł nawet zbudzić ze snu mieszkańców wioski.

Pozostawała więc jedyna droga ratunku, a mianowicie: dostać się do wnętrza młyna i w razie gdyby ten był pusty zupełnie – spędzić tam dzień cały, a nad wieczorem puścić się w dalszą drogę.

Przesunął się ostrożnie do małego okienka w dachu, przez które przechodziła dźwignia ruchu.

Dach kształtem swym przypominał łódkę obróconą dnem do góry i spoczywał na okrągłakach; pozwalało to skierować przyrząd ruchu w stronę wiatru. Cały zaś budynek był nieruchomy w przeciwieństwie do młynów holenderskich, obracających się dokoła swej osi.

Zbieg przecisnął się ostrożnie przez wąskie okienko i znalazł się na małym poddaszu, gdzie umieszczony był wał poziomy, który za pomocą systemu kół zębatach i drąga łączył się z kamieniem młyńskim, ustawionym na piętrze dolnym.

W izdebce panowała zupełna cisza i ciemność. Tuż przy ścianie z grubych tarcic znajdowały się strome schody, prowadzące na dół. Ostrożność jednak nakazywała pozostać na poddaszu. Zresztą głód i senność dokuczały biedakowi srodze. Spożył resztki żywności do ostatniej kruszyny. Nie kładł się jednak i czekał poranka.

Okolo pół do ósmej mgła się podniosła. Nieznajomy wychylił się z okienka i rozejrzał wokoło: na prawo ciągnęła się równina, pokryta brudnym, topniejącym śniegiem, przecięta drogą, biegnącą hen! w przestrzeń ku zachodowi; tu i owdzie sterczały pnie obnażonych drzew, ponad którymi unosiły się stada błotnego ptactwa. Na lewo lśniły lody Wierzjerwu i Embachu.

Tu i owdzie zieleniły się jodły i sosny, odbijając jaskrawo od ogołoconych z liści, wynędzniałych olch i klonów.

Odetchnął lżej, przekonawszy się, że wilki opuściły już dawne stanowisko.

– Tak – rzekł do siebie wilki odeszły, lecz większe jeszcze niebezpieczeństwo grozi mi ze strony policyi. W miejscowościach nadmorskich ilość agentów jest podwojona, trzeba się mieć na baczności... Umieram ze znużenia, nim zasnę jednak, muszę obmyśleć ucieczkę w razie pogoni.

Rozjaśniło się zupełnie. Temperatura podniosła się o kilka stopni. Wiatr powiał od zachodu. Czy okoliczność ta nie skłoni młynarza do przystąpienia do pracy?

Najwyżej o pół wiorsty leżała niewielka wioseczka z szeroko rozrzuconymi domkami o dachach, krytych słomą, ubielonych śniegiem. Tam pewnie mieszkał i młynarz.

Po krótkim namyśle zbieg zszedł na dół i zatrzymał się na dolnym piętrze w pobliżu kamienia młyńskiego. Dokoła ułożone były worki ze zbożem. Młyn więc nie był opuszczony.

Wobec tego rozsądek nakazywał wrócić do izdebki pod strychem i przespać się kilka godzin. Zostać na dole było niebezpiecznie. Dwoje drzwi zamykało się tylko na zwykłą zasówkę i w razie deszczu każdy przechodzień mógł tutaj szukać schronienia.

W parę minut później był już po strychem, rzucił się na ziemię i zasnął głęboko.

Gdy się zbudził było już dosyć późno. Zapewne około czwartej. Młyn jednak stał ciągle.

Nagle uszu jego dobiegł szmer rozmowy prowadzonej z wielkim ożywieniem na piętrze dolnym. Już z pierwszych słów zrozumiał, kto się tam znajduje i jakiego niebezpieczeństwa uniknął – jeżeli uniknął – wracając na górę. Czy jednak uda mu się opuścić młyn przed lub po odejściu ludzi, których głosy słyszał w tej chwili?

Byli to agenci policyjni: podoficer i dwaj jego pomocnicy. W owym czasie rozpoczęła się właśnie rusyfikacja prowincji Nadbałtyckich, ulegających dotąd wpływowi niemieckiej. Większą część policyjantów stanowili rdzenni Niemcy. Pomiędzy nimi gorliwością i sprytem wyróżniał się podoficer Eck. Ze szczególną zajadłością śledził sprawy kryminalne i polityczne. Każde powodzenie napełniało go dumą, każdy zawód – bólem. Tym razem czynił poszukiwania z energią gorączkową, szło bowiem o schwytanie Łotysza, który zbiegł z Syberii.

Około godziny dziewiątej rano młynarz, widząc, że wiatr się zerwał, przyszedł do młyna, lecz nim się zabrał do wprawiania w ruch motoru, deszcz zaczął padać i wiatr ustał; nie wracał jednak do wioski w nadziei że, się wkrótce rozpogodzi. W parę godzin później we drzwiach młynu ukazał się Eck w towarzystwie dwu pomocników.

– Czy nie przechodził tędy – badał podoficer – człowiek lat około trzydziestu pięciu?

– Nie – odparł marynarz. – Nikt obcy nie zaglądał do naszej wioski. Czy to miał być cudzoziemiec?

– Nie. Łotysz.

– Łotysz... – powtórzył młynarz.

– Tak, łotr, którego pojmanie przyniesie mi dużo zaszczytu.

Dla policyanta każdy zbieg jest łotrem.

– Poszukujecie zatem zbiega? – pytał znowu młynarz.

– Od dwudziestu czterech godzin. Zdaje się bowiem, że go widziano na jeziorze Pejpus.

– A czy wiecie, dokąd on dąży – badał młynarz, ciekawy z natury.

– Naturalnie, że do jakiegoś portu – odrzekł Eck. Do Rewla a może do Rygi.

Rozumował słusznie. Zbieg najprawdopodobniej dążył do Rewla, ponieważ port ten odmarza najwcześniej. Lecz Rewel, jedno z najstarszych miast hanzeatyckich, zaludniony przez Niemców i Estończyków, znajdował się w odległości stu czterdziestu wiorst od młyna. Podróż więc zajęłaby dużo czasu.

– Dlaczego do Rewla? Jabym sądził, że do Parnawy... – zauważył młynarz.

Istotnie odległość do Parnawy wynosiła zaledwie sto wiorst. Ryga zaś, oddalona o wiorst dwieście, leżała najdalej.

Łatwo sobie wyobrazić, z jakim skupieniem uwagi nieszczęśliwy zbieg przysłuchiwał się rozmowie.

– Tak – mówił podoficer, droga do Parnawy również jest strzeżona. Major Verder wszelako przypuszcza, że ptaszek uda się do Rewla, zkąd łatwiej będzie mógł odpłynąć.

Major Verder był szefem policyi inflanckiej i gorliwym germanizatorem.

Rozmowa ciągnęła się kilka minut jeszcze w tym samym duchu. Eck zostawił rysopis zbiega: wzrost więcej niż średni, budowa silna, lat 34, gęsta blond broda, kaftan brunatny.

– Raz jeszcze zapewniam panów – oświadczył młynarz, że człowiek ten... Łotysz, zdaje się.

– Tak, Łotysz.

– Otóż, człowiek podobny do rysopisu, nie ukazywał się wcale w naszej wiosce i w żadnym domu niczego się o nim nie dowiecie.

– Pamiętaj – przerwał Eck – że każdy kto mu udzieli przytułku, będzie uwięziony i traktowany jak jego współnik!

– Niech bóg nas od tego zachowa! Wiem, co mi grozi i z pewnością na niebezpieczeństwo się nie narażę.

– Dobrze zrobisz – dodał Eck, źle jest zadzierać z majorem Verderem.

– Będę się tego strzegł.

Wreszcie policjanci zaczęli się żegnać, mówiąc, że rozpoczną dalsze poszukiwania na drogach, prowadzących do Rewla i Parnawy.

– Tymczasem – rzekł młynarz, mam do was prośbę. Wiatr się wzmaga. Wieje od południowozachodu. Pomóżcie mi zatem skierować skrzydła ku wschodowi. Nie będę wracał do wioski i zostanę tutaj na całą noc.

Eck przystał chętnie. Wyszli wszyscy przez drzwi przeciwległe, uchwycili dźwignię zewnętrzną, obrócili dach i skierowali motor w stronę wiatru.

Wkrótce skrzydła zaczęły się obracać szybko. Eck i jego pomocnicy odeszli ku północozachodowi. Zbieg nie uronił ani jednego słowa. Wiedział już, że jest śledzony... Że cała policja jest w ruchu... że na każdym kroku czyha nań niebezpieczeństwo... Czy uda mu się dotrzeć do Rewla?... A może lepiej skierować się ku Parnawie?...

Wobec tego, że temperatura tak znacznie się podniosła, wszystkie porty i na morzu Bałtyckim i w zatoce Fińskiej prędko wolne będą od lodów.

Przedewszystkiem należało wydostać się z młyna jak najprędzej. Lecz w jaki sposób odejść, nie zwracając na siebie uwagi młynarza, który wobec pomyślnego wiatru zostanie tutaj na całą noc. Nawet marzyć nie można o zejściu na piętro dolne i wymknięcie się przez drzwi... Pozostawała droga jedyna: prześliznąć się przez to samo okienko i, chwytając się występów dachu, dopełznąć aż do wielkiej dźwigni a potem spuścić się po niej na ziemię. Była to rzecz bardzo trudna, ale możliwa, szczególnie dla człowieka obdarzonego energią i ogromną siłą fizyczną.

Do zmroku pozostawała jeszcze godzina. A gdyby w przeciągu tego czasu zaszedł do izdebki młynarz? Co zrobić wtedy? Chyba rzucić się nań od razu, zakneblować mu usta, a w razie sporu zagrozić nożem... Krzyki bowiem sprowadzić mogły innych mieszkańców wioski.

Lecz po co zaprzętać sobie głowę podobnymi myślami?... Może młynarz nie zajrzy tu wcale, ma przecież tyle zajęcia przy kamieniach... Może się obejdzie bez krwi rozlewu...

Godzina minęła wśród skrzypu skrzydeł, zgrzytu kół zębatach, poświstu wichru i żalosego jęku mielonego zboża. Zmrok już zapadał. W izdebce panowały ciemności. Zbliżała się chwila decydująca. Tej nocy zrobić musi wiorst czterdzieści, nie należy więc zwlekać z odejściem.

Obejrzał nóż i nabił rewolwer.

Najtrudniej było przesunąć się przez okienko i nie dostać się pomiędzy koła zębate mechanizmu. Zbliżał się już ku ścianie zewnętrznej, gdy nagle na schodach dał się słyszeć lekki szmer kroków. To

młynarz wstępował ostrożnie z latarką w rękę. Zbieg pochwycił rewolwer i gotował się obrony. Wtem usłyszał głos, tchnący życzliwością:

– Teraz najlepsza pora do ucieczki... Spiesz się... drzwi otwarte...

Ponad podłogą ukazała się najpierw głowa, a potem ramiona młynarza. Poczciwe oczy spoglądały na zbiega przyjaźnie.

Ten milczał zdumiony. A zatem młynarz wiedział o jego obecności na poddaszu. Widocznie wchodził na górę i zastał go śpiącym. Lecz ani jednym słówkiem nie zdradził się przed policyantami. I nic dziwnego... Był przecież tak samo Łotyszem. Poznać to było od razu z rysów twarzy.

– Schodź prędzej – powtórzył łagodnie.

Zbieg poszedł za młynarzem. Serce mu biło gwałtownie.

Gdy się znaleźli na dole, poczciwy człowiek dał mu kawałek chleba i mięsa na drogę.

– Widziałem, że torba twoja jest pusta, flaszka również. Napełnij ją wódką i, niech Bóg cię prowadzi...

– Gdyby jednak policja...

– Staraj się, by na trop twój nie wpadła... o mnie się nie troszcz, dam sobie radę... Nie pytam cię o nazwisko... wystarczy mi, że jesteś Łotyszem... a nigdy Łotysz nie wyda Łotysza w ręce Niemców.

– O dzięki ci, dzięki... – wyszeptał nieszczęśliwy.

– Spiesz się... Niech Bóg cię ma w swej opiece i wybaczy winy, jeżeli zgrzeszyłeś!

Noc była bardzo ciemna, droga zupełnie pusta. Zbieg pożegnał młynarza i znikł wkrótce na zakręcie. Zmienił nieco plan podróży. Postanowił w przeciągu tej nocy dojść do miasteczka Fallen, ukryć się gdzieś w jego okolicy i wypoczywać cały dzień następny.

Do Fallen miał wiorst czterdzieści, lecz był w stanie zrobić je w przeciągu jednej nocy. Ztamtąd pozostanie mu tylko wiorst sześćdziesiąt do Parnawy. Jeżeli więc nie spotka go żadna zła przygoda, 11-go kwietnia przed północą stanie w Parnawie. Tam znajdzie jakieś schronienie bezpieczne i będzie czekał chwili, gdy zaczną kursować statki. Wtedy porzuci ojczyznę na zawsze.

Poszedł krokiem szybkim, mijając równiny, okrążając wzgórza, przeskakując szczeliny skalne i napół zamarznięte strumienie. Droga prowadziła częstokroć brzegiem ciemnych, jodłowych lub brzozowych lasów. Grunt był więcej urodzajny, niż w okolicach Pejpusu, gdzie gleba piaszczysta ubogą tylko i karłowatą pokrywa się roślinnością. Tu zaś uprawiają grykę, jęczmień, len i konopie. Gdzieniedzie wśród pól równych, monotonnych majaczyły wioski. Temperatura ocieplała widocznie. Śniegi tajały zamieniając się stopniowo w błoto.

Okolo godziny piątej rano zbieg był już w pobliżu Fallenu. Nie dochodząc do miasteczka,

sposzregł jakąs opuszczoną rudere, która mogła mu służyć za kryjówkę przez cały dzień następnny. Pokrzepił się jedzeniem, w który go litościwy młynarz zaopatrzył i zasnął głęboko. Nikt mu spoczynku nie przerwał. O szóstej wieczór ruszył w dalszą drogę ku Parnawie. Pozostawało już tylko wiorst sześćdziesiąt.

Szedł cała noc niezmordowanie, a nad ranem ukrył się w gąszczu chojaków, o pół wiorsty od drogi. Było to bezpieczniej, niż szukać przytułku w jakiejś nieznanej i niepewnej oberży. Nie zawsze się trafia na takich ludzi jak młynarz.

Dzień cały siedział skulony wyglądając na świat poprzez gałęzie. Po południu tuż obok przeleciał oddział policyantów, udając się do Parnawy. Agenci zatrzymali się chwilę, jak gdyby mieli zamiar robić poszukiwania w lesie, po namyśle jednak popędzili dalej.

Okolo szóstej wysunął się z ukrycia i ruszył ku Parnawie. Miał to już być jego etap ostatni. Niebo było bez chmur, noc jasna, księżycowa. O trzeciej rano był na lewym brzegu rzeki Parnawy, o pięć wiorst od miasta. Ztąd poszedł brzegiem w górę rzeki i dotarł do przedmieścia, gdzie miał zamiar zatrzymać się w jakiejś skromnej, mało znanej oberży.

Z zadowoleniem patrzył, że Parnawa już ruszyła. Kra płynęła ku zatoce. Jeszcze kilka dni niepewności, a potem swoboda... Tak sądził przynajmniej...

Nagle rozległo się wołanie. Słowa brzmiały po niemiecku. Słyszał je już na granicy Inflant.

– Kto tam?

Przy drodze stało czterech policyantów z Eckiem na czele.

Zbieg namyślił się chwilę, a potem puścił się pędem ku rzece.

– To on! – krzyknął jeden z agentów.

Na nieszczęście księżyc świecił tak jasno, że nie sposób było się ukryć. Po całonocnej podróży siły zaczęły opuszczać zbiega. Nie mógł już biedz tak szybko jak zazwyczaj. Eck i agenci dotrzymywali mu kroku.

– Raczej umrzeć, niż oddać się w ich ręce! – rzekł do siebie.

Z temi słowy wskoczył na dużą krę, płynącą mniej więcej o sześć stóp od brzegu.

– Ognia! – rozkazał Eck.

Rozległy się cztery wystrzały, lecz kule rewolwerowe utkwily gdzieś w płynących lodach.

Kra, na której stał zbieg, posuwała się naprzód z niesłychaną szybkością, na wiosnę bowiem prąd wody w Parnawie jest bardzo silny.

Policyjanci biegli brzegiem, lecz nie mogli nadążyć. Należało pójść za przykładem ściganego i

wskoczyć na kry. Eck zdecydował się szybko, i wydał rozkaz odpowiedni; właśnie mieli wszyscy rzucić się do rzeki, gdzie zaszła okoliczność niespodziewana. Koryto Parnawy zwężyło się nagle. W miejscu tem skupiły się stosy lodów. Kra, na której płynął zbieg, starła się z niemi, pochyliła się raz i drugi, poczem znikła wśród masy złomów, tamujących bieg wody.

Agenci wskoczyli niezwłocznie na pole lodowe i rozpoczęli gorliwe poszukiwania

Zbiega nie było ani śladu.

Niewątpliwie utonął podczas starć się lodów.

– Szkoda – rzekł jeden z agentów... lepiej go było wziąć żywcem.

– To nie ulega wątpliwości – odparł Eck, ponieważ jednak nie ujęliśmy żywego, musimy przynajmniej znaleźć nieżywego!

Rozdział III

Rodzina Ozolinów.

Nazajutrz po tym wypadku – 12-go kwietnia – pomiędzy godziną 7-8 wieczorem na jednym z przedmieść Rygi w mieszkaniu Matiasa Ozolina siedziały trzy osoby.

Pomimo sześciu stopni mrozu w pokoju panowało miłe ciepło, dzięki temu, iż oprócz pieca ogień na kominku palił się od samego rana.

Niewielka lampa, osłonięta abażurem rzucała miękkie, łagodne światło. Na marmurowym stoliku kipiał samowar. Cztery nakrycia wskazywały, że zgromadzeni czekają z herbatą na kogoś czwartego.

– Matias się spóźnił zauważył jeden z gości, wyglądając przez okno wychodzące na ulicę.

Był to najlepszy przyjaciel domu, doktor Paulin. Już od dwudziestu pięciu lat praktykował w Rydze i cieszył się wielkim uznaniem jako lekarz i jako człowiek. Koledzy zazdrościli mu powodzenia.

– Tak... wkrótce ósma, potwierdził gość drugi, spoglądając na duży zegar ścienny. Wiadoma rzecz jednak, że kwadrans akademicki liczy więcej niż piętnaście minut.

Słowa powyższe wypowiedział p. Delaporte, konsul francuski. Od lat dziesięciu zamieszkały w Rydze a lubiony powszechnie dzięki zaletom umysłowym i wielkiej uprzejmości w stosunkach z ludźmi.

– Ojciec ma lekcje na drugim końcu miasta – wmieszała się do rozmowy osoba trzecia – młoda dziewczyna, córka gospodarza domu. – Przytem pogoda jest szkaradna, wichura straszliwa, deszcz ze śniegiem. Ojczulek powróci całkiem przemoczony.

– Ba – zawołał doktor Paulin, lecz znajdzie tutaj ciepły pokój i kipiący samowar. Po paru filiżankach herbaty odzyska humor i siły... Nie bój się więc, droga Marto... Zresztą, w razie potrzeby, na moją pomoc jako przyjaciela i lekarza liczyć może zawsze...

– Wiemy o tem, kochany doktorze! – odparła z wdzięcznym uśmiechem młoda dziewczyna.

Marta Ozolin miała lat dwadzieścia cztery. Przedstawiała typ zupełnie odmienny od większości ryżanek, odznaczających się bardzo różową cerą i bardzo niebieskimi, trochę bezmyślnymi oczami. Wysoka brunetka, o szlachetnych, nieco surowych rysach twarzy i dużych, łagodnych, nieskończenie smutnych oczach, ubrana była z wielką prostotą, bez cienia kokieterji. Marta była sierotą. Matkę straciła przed laty dziesięciu. Młodszy jej brat Jan, którym się troskliwie opiekowała od dziecka,

miał obecnie lat osiemnaście i studiował w Dorpacie. (ob. Jurjew *przyp. tłum.*)

Matias Ozolin utrzymywał się z lekcji. Wykładał fizykę i matematykę. Słynął w mieście jako doskonały profesor i bardzo zacny człowiek.

Jesteśmy zatem, kochany doktorze – zaczął konsul, – w przededniu wielkich zmian politycznych w Estonii, Inflantach i Kurlandyi. Dzienniki estońskie zaznaczają to dosyć wyraźnie.

– Pora już – odparł doktor, ażebyśmy Niemców wyparli z landtagów. Dotąd przecież stosunki były zupełnie anormalne. Niemcy kierowali wszystkim i rządzili jak u siebie w domu ...

– Nawet gdy utracą wpływ na administrację kraju – wtrąciła Marta, będą jeszcze bardzo potężni, w ich rękach bowiem spoczywają kapitały, lepsze urzędy i większa część ziemi.

– Z urzędów można ich będzie wyrugować – zauważył p. Delaporte... Co do ziemi, to prawa będzie trudniejsza... w samych Inflantach bowiem posiadają przeszło 400,000 hektarów. I to jest prawdą najzupełniejszą. W prowincjach Nadbałtyckich szlachta, mieszczenie i kupcy są przeważnie pochodzenia niemieckiego. Lud jednak, nawrócony przez tych Niemców najpierw na katolicyzm, a następnie na protestantyzm, zachowywał się odpornie i nie dał się zgermanizować. Estowie i Łotysze od wieków osiedli na roli, z najwyższą niechęcią odnoszą się do wszystkiego, co niemieckie. W Rewlu i Dorpacie powstaje coraz więcej pism, występujących w obronie interesów narodowych.

Po chwili konsul zaczął znowu.

– Gdyby to można było powiedzieć, kto w tej walce żywiołów germańskich z łotyskimi zwycięży?

– Miejmy nadzieję, że my, Łotysze – odparł doktor gorąco.

– Oby się nam udało! – wtrąciła Marta. Już od lat siedmiuset, t. j. od chwil podboju, włościanie nasi i robotnicy walczą z najeźdźcami, i dotąd daremnie.

– Twój ojciec, droga Marto, jest jednym z najdzielniejszych obrońców naszej sprawy – rzekł doktor. Słusznie zupełnie nazywają go przywódcą partyi narodowej.

– Zyskał sobie przytem wrogów zaciętych – zauważył p. Delaporte.

– Przedewszystkiem w osobie braci Johansenów! Ci wzbogaceni bankierzy zzielenieją chyba złości w dniu, gdy Matias Ozolin zostanie burmistrzem Rygi.

– Mój ojciec niema dążeń tak ambitnych – odparła Marta. Idzie mu tylko o to, by zwycięstwo zostało przy nas.

– Nie ulega wątpliwości, że na następnych wyborach Łotysze zwyciężą – przerwał p. Delaporte – i jeżeli tylko Matias Ozolin zgodzi się postawić swoją kandydaturę...

– Sprawiłoby mu to wiele trudności... – przerwała Marta – nasze środki materialne są bardzo ograniczone.... Zresztą, Ryga jest tak zniemczona, że rezultat zabiegów byłby bardzo wątpliwy.

– Nie przesądzajmy wypadków! zawołał doktor... – Nowe prądy zwyciężyć muszą... Wierzę, że odzyskamy nasze prawa, a wtedy...

– Wdzięczna jestem panom niezmiernie za przyjaźń, którą żywiecie dla mojego ojca. – przerwała Marta serdecznie.– W ostatnich czasach jestem bardzo niespokojna. Stał się jakiś smutny, zamyślony...

Od paru miesięcy obaj przyjaciele zrobili to samo spostrzeżenie. Nie pytali jednak o nie, ponieważ Matias Ozolin zamknięty w sobie i małomowny nie skłonny był do zwierzeń. Spokoju i zapomnienia szukał zazwyczaj w pracy, a pracy tej miał zawsze sporo.

Cała ludność łotyska Rygi widziała w nim swego przyszłego burmistrza, obrońcę interesów narodowych.

Była to epoka, kiedy idea rusyfikacji, o której myślała już Katarzyna II, zbudziła się z nową siłą. Władze dążyły do usunięcia od udziału w zarządzie miejskim korporacji niemieckich i zaprowadzenia języka rosyjskiego. Ludność miejscowa, złożona z Estów i Łotyszów rozpoczęła walkę z mniejszym liczebnie, ale wszechpotężnym dotąd żywiołem germańskim i na przyszłych wyborach miejskich postanowiła przeprowadzić swoich kandydatów. Niemcy byli zdecydowani walczyć do upadłego byle tylko zachować dawne przywileje. Akcją kierowali wpływowi i bogaci bankierzy, bracia Johansonowie.

Marta Ozolin od kilku już lat była zaręczoną z Jerzym Stuvitem, synem Michała Stuvita, przyjaciela Matiasa od lat dziecięcych. Jerzy Stuvit był bardzo zdolnym adwokatem. Młodzi ludzie znali się od dziecka i spotykali z sobą często. Nic dziwnego, że w tych warunkach pokochali się wzajemnie i wyznali sobie swoje uczucia. Ślub miał się odbyć za rok. Do tego czasu zaręczyny ich miały pozostać tajemnicą rodzinną. Termin naznaczony już się zbliżał, gdy nagle zaszedł wypadek okropny, niespodziewany, który zburzył nadzieje młodej pary.

Jerzy Stuvit był członkiem jednej z partii postępowych, dążących do przeprowadzenia w Rosji różnych reform. Rząd wystąpił z nimi do walki, podejrzanego osobistości drogą administracyjną, bez sądu wysyłał do oddalonych gubernii Cesarstwa lub na Syberję. Rozpoczęły się liczne areszty we wszystkich miastach znaczniejszych, między innymi w Rydze Jerzego Stuvita wzięto w nocy i wywieziono za Ural.

Był to cios straszliwy dla obu rodzin. Współczuła z nimi cała Ryga. Marta czerpała siły w swoim uczuciu. Postanowiła połączyć się z narzeczonym, skoro tylko otrzyma na to pozwolenie władzy. Dotąd jednak starania jej były daremne. W przeciągu czterech lat nie otrzymała żadnej o Jerzym wieści. Nie wiedziała nawet dokąd go zesłano. W sześć miesięcy po uwięzieniu syna zmarł Michał Stuvit. Przed śmiercią spieniężył swą majątność i otrzymane pieniądze – dwadzieścia tysięcy rubli – złożył na ręce Matiasa Ozolina, który miał je w przyszłości doręczyć Jerzemu.

Wszystko to się odbyło w tajemnicy, tak, że o depozycie nie wiedziała nawet Marta.

Inflanty są chyba jedynym krajem na świecie, gdzie spotkać można dowody niezwyklej wierności i stałości uczuć. Pary narzeczone czekają niekiedy na siebie po lat dwadzieścia pięć, zanim się ich

pozycja majątkowa nie ustali. Nie wątpią nigdy o sobie. Marta po zesłaniu Jerzego była pewna, że o niej pamięta, tak jak ona pamiętała o nim. Wierzyła, że się połączą ze sobą, jeżeli nie na tym świecie, to na tamtym. Oczekiwała ciągle jakiegoś ulaskawienia, manifestu. Miała nadzieję, że uda się jej w końcu pojechać na Syberyę i zaślubić Jerzego. Jeżeli jednak uzyska to pozwolenie tak upragnione, jakże ciężko będzie opuścić ojca, który przywykł do jej troskliwości i potrzebował opieki!... tembardziej, że od niejakiego czasu zauważyła ogromną zmianę w jego usposobieniu. Wyglądał jak człowiek, którego trapi ciężki, ukrywany przed ludźmi smutek. Jaka mogła być tego przyczyna... Nie wiedziała zupełnie. Matias Ozolin nie zdradził się nigdy ani słówkiem, pomimo, że katastrofa już się zbliżała...

Ojciec Matiasa, kupiec ryski, umierają zostawił interesa w bardzo złym stanie. Po likwidacji całego majątku pozostało 25,000 rb. deficytu. Matias chciał imię ojca oczyścić z zarzutu bankructwa i postanowił dług ten spłacić. Przy usilnej pracy i wielkiej oszczędności udało mu się zebrać kilka tysięcy rb. i zwrócić je głównemu wierzycielowi, a był nim właśnie dom bankierski braci Johansenów. Za pięć tygodni upływał termin wypłaty reszty długu – 18,000 rubli. O prolongacie nie można było nawet marzyć. Bracia Johansenowie nie zgodzą się nigdy na żadne ustępstwa!... Przecież tu idzie o zadanie śmiertelnego ciosu najgroźniejszemu przeciwnikowi politycznemu...

Rozmowa trwała jeszcze z pół godziny. Niepokój młodej dziewczyny wzrastał z każdą chwilą. Wreszcie na progu jadalni ukazał się Matias Ozolin.

Był to człowiek zaledwie czterdziestosiedmioletni, wyglądał jednak conajmniej o dziesięć lat starzej. Wzrost miał więcej niż średni, brodę siwą, czoło poorane zmarszczkami, wyraz twarzy smutny, surowy, głos dźwięczny, silny i przepyszne, płomienne oczy.

Zrzucił z ramion płaszcz przemoczony, położył na krześle kapelusz, poszedł do córki i pocałował ją w czoło, potem uściśnął dłonie przyjaciół.

– Spóźniłeś się, drogi ojcze... – odezwała się Marta.

– Zatrzymano mnie po drodze. – odparł Matias. – Przytem lekcyja się przeciągnęła...

– Proszę panów na herbatę – przerwała Marta.

– Stanowczo jesteś przepracowany, mój drogi – zauważył doktor Paulin. – Źle wyglądasz, Nie powinienes tak się zamęczać. Należy ci się wypoczynek

– Nic mi nie jest, – odparł Matias – lekkie zmęczenie. Sen mnie pokrzepi i jutro rano będę się czuł zupełnie dobrze. Teraz idźmy na herbatę. Dzisiaj mam zamiar położyć się wcześniej...

– Co ci to, drogi ojcze? – zapytała Marta z niepokojem.

– Ależ nic, zupełnie nic, drogie dziecko... zapewniam cię. Nie mówmy już o tem więcej, bo Paulin gotów naprawdę odnaleźć we mnie jakąś urojoną chorobę, chociażby dla samej przyjemności leczenia.

– Czy masz pan jakie nowe wiadomości, panie Ozolin? – zapytał konsul.

– Żadnych. Chyba to, że przysłało z Petersburga nowy komunikat, ograniczający Niemców w samorządzie.

– Doskonale! – zawołał doktor. – Wyobrażam sobie, jakie miny muszą mieć teraz bracia Johansenowie!

Czoło Matiasa zasepiło się widocznie. Nazwisko bankierów niemieckich przypomniało mu fatalny termin zbliżającej się wypłaty.

Marta tymczasem podała wyborną, gorącą herbatę i kanapki, które przyrządzała własnoręcznie. Zawiązała się swobodna, ożywiona pogawędka. Tematów dostarczyły przyszłe wybory i ogólny nastrój umysłów w Rydze. Walka pomiędzy żywiołem germańskim a łotyskim roznamiętniła najobojętniejszych. Przewidywano nawet możliwość starcia, szczególnie w Rydze, gdzie obie narodowości stykały się ze sobą najczęściej.

Matias był stale zamyślony i prawie wcale nie brał udziału w rozmowie. Zapytywany, odpowiadał półsłówkami.

– Zdaje mi się, Matiasie, – zaczął doktor – że myśli twoje odbiegły gdzieś daleko od Rygi... Może w głąb Kurlandyi?... Czyżbyś miał zamiar odstąpić od walki?... Przecież za tobą jest opinia ogółu... nawet władze ci sprzyjają... Nie pozwolisz chyba na to, ażeby zwycięstwo znowu zostało przy Johansenach?

I znowu padło to imię fatalne, przygniatając ołowiem duszę nieszczęśliwego dłużnika bogatych bankierów.

– Niestety, są oni potężniejsi, niż sądzisz – rzucił z westchnieniem, – lecz stanowczo mniej potężni, niż to sobie wyobrażają. Przekonamy się niedługo.

Na ściennym zegarze wybiła ósma. Goście wstali od stołu i zaczęli się żegnać. Pogoda była szkaradna. Wiatr bił o szyby, wył i huczał w kominie.

– Co za czas okropny! – rzekł konsul.

– Dobry gospodarz psa by z domu nie wypędził... – odparł doktor... – No, ale trudno, nie możemy tu przecież nocować – w drogę zatem!

Raz jeszcze pożegnali Martę i Matiasa, który odprowadził ich do drzwi. Po chwili znikli w ciemności. Marta pocałowała ojca na dobranoc. Matias przytulił córkę do piersi serdeczniej niż zwykle.

– Ojciec – szepnęła cicho – nie widziałam dzisiejszej gazety. Czyżby listonosz nie przychodził wcale?...

– Przeciwnie, moje dziecko. Spotkałem go wychodząc z domu i sam odebrałem gazetę.

– Listu nie było żadnego? – zapytała młoda dziewczyna głosem drżącym.

– Nie, dziecko...

Codziennie – od czterech długich lat – powtarzało się to samo pytanie i codziennie odpowiedź brzmiała „nie”. Listu nie było – przynajmniej upragnionego listu z Syberii, któryby Marta mogła oblać łzami i przycisnąć do serca.

– Dobranoc, ojcze.

– Dobranoc, moje dziecko.

Rozdział IV

W karetkce pocztowej.

W owym czasie w prowincjach Nadbałtyckich była już przeprowadzona kolej żelazna, idąca północnym brzegiem Estonii wzdłuż zatoki Fińskiej. Z miast większych jeden Rewel leżał przy tej linii, lecz z Rygą i Mitawą posiadał tylko komunikację pocztową. Podróżni mieli do swego rozporządzenia albo najpierwotniejsze wehikuły, proste bryczki, albo karetki pocztowe. W zimie, oczywiście, zastępowano je saniami. Karetkka pocztowa, kursująca między Rygą a Rewlem, odchodziła dwa razy na tydzień.

13-go kwietnia rano w karetkce, odchodzącej do Rewla, zajęte było jedno tylko miejsce. Podróżny, człowiek około pięćdziesięcioletni, uśmiechnięty wesoło, wyglądał bardzo dobroduszenie i pocziwie. Ubrany był w ciepłe futro. Pod pachą trzymał skórzany pugilares. Gdy wszedł do biura, konduktor zwrócił się do niego z wyrazami zadowolenia:

– Dzień dobry, Poch! A więc to ty zamówiłeś miejsce w karetkce?

– Tak, to ja, Broksie.

– Ho! ho, więc ci już bryczka nie wystarcza! Wymagasz powozu i dobrej trójki!

– I dobrego, konduktora, jak ty, stary przyjacielu...

– Ho, ho, nie oglądasz się zatem wcale na wydatki!

– Nie! szczególnie gdy płacę nie sam.

– A któż płaci za ciebie?

– Mój pryncypał... p. Franz Johansen.

– Ba! – zawołał konduktor, – ten to mógłby zakupić wszystkie cztery miejsca, gdyby mu się spodobało...

– Naturalnie, lecz ja zamówiłem tylko jedno, wolę bowiem odbywać podróż w towarzystwie. Nie tak się przykrzy droga...

– Tym razem, mój kochany, nie będziesz miał ani jednego towarzysza.

– Czyż to być może?

– Zdarza się to rzadko, lecz się zdarza... Chyba ktoś się znajdzie po drodze... Nie martw się jednak zbytnio, wiesz, że ja jestem zawsze skory do pogawędki.

– Tak jak i ja, Broksie!

– Dokąd jedziesz?

– Do Rewla. Do filii firmy Johansenów.

Tu Poch mrugnął lekko, wskazując okiem na pugilares, przytwierdzony do pasa za pomocą miedzianego łańcuszka.

– Tu, mój kochany, – przerwał Broks, o tem lepiej nie wspominać... Nie jesteśmy już sami...

Istotnie w tej chwili właśnie wchodził do biura nowy podróżny, który mógł zauważyć wymowny ruch kantorowicza.

Podróżny ten, szczelnie otulony burką, w kapiszonie nasuniętym na oczy, wyglądał jak człowiek, który się starannie ukrywa. Zbliżył się do konduktora z zapytaniem:

– Czy jest jeszcze wolne miejsce w karetkce?

– Są aż trzy – odparł Broks.

– Jedno mi wystarczy.

– Dokąd bilet? Do Rewla?

– Tak. Do Rewla – odparł po krótkim wahaniu.

Zapłacił za bilet i zapytał krótko:

– O której odjeżdżamy?

– Za dziesięć minut.

– Gdzie zanocujemy?

– W Parnawie, o ile śnieżycy się nie zerwie...

– Czy nam to grozi? – zapytał.

– Hm, – odparł Broks, – pogoda mi się nie podoba. Chmury napływają z szybkością niezwykłą... Oby się skończyło na deszczu... Obawiam się jednak śniegu...

– Słuchaj, Broks, zdaje mi się, że nie żałując napiwków, możemy stanąć w Rewlu jutro przed nocą...

– Byłoby to bardzo pożądane! Trzydzieści sześć godzin! W zwykłych warunkach to dosyć zupełnie...

W takim razie w drogę! nie zwlekajmy chwili! – zawołał Poch.

– Konie już zaprzężone – odparł Broks. Nie czekam dłużej na nikogo. No, a teraz na szczęśliwą drogę wypijmy po kieliszku wódki.

Wstąpili do pobliskiego szynku, dając znak pocztylionowi, ażeby poszedł za nimi. W parę minut później wrócili do karetki, gdzie się już usadowił nieznajomy. Poch umieścił się obok niego. Karetka ruszyła w drogę. Koniki były małe, chude, lecz rączne. Woźnica nie potrzebował uciekać się do bicia. Pędziły dobrym kłusem.

Poch oddawna już należał do personelu domu bankowego braci Johansenów. Służbę rozpoczął jeszcze za lat dziecięcych. Cieszył się wielkim zaufaniem ze strony pryncypałów; często bardzo wysyłano go w interesach firmy do Rewla, Parnawy, Mitawy, powierzając znaczne nawet sumy. Tym razem miał w pugilaresie piętnaście tysięcy rubli.

Do pośpiechu miał powód niezmiernie ważny, jaki mianowicie, dowiemy się niebawem z rozmowy z Broksem.

Woźnica zaciął konie. Podróżni nasi minęli szybko przedmieście północne i znaleźli się na gościńcu.

Tuż za Rygą znajdowały się pola uprawne, lecz nieco dalej, na odległości dziesięciu lub dwunastu wiorst ciągnęły się bezkresne, monotonne równiny, tu i owdzie tylko poprzerzynane gęstym, zielonym lasem.

Jak słusznie zauważył Broks, wygląd nieba był bardzo niepokojący. Od czasu do czasu zrywał się gwałtowny wicher, skupiający chmury, które zakrywały słońce. Śnieżyca zapowiadała się coraz wyraźniej.

Co dwadzieścia wiorst zatrzymywano się na stacyach pocztowych, gdzie zmieniano konie, pocztylionów i pędzono dalej.

Poch prędko bardzo zrozumiał, że nieznajomy towarzysz nie nadaje się zupełnie do bliższej znajomości. Rozparł się w rogu karety, nasunął na czoło kapiszon i spał, lub też udawał, że śpi.

Wszelkie próby zawiązania z nim rozmowy spełzły na niczem. Wobec tego Poch otworzył przednie okno karety i rozpoczął pogawędkę z Broksem, siedzącym obok woźnicy. Obaj byli gadatliwi, języki więc obracały się jak w kołowrocie.

– A więc, twierdzisz z całą pewnością, Broksie, – pytanie to ponawiał Poch już po raz czwarty, – że jutro wieczorem będziemy w Rewlu?...

– Tak, jeżeli pogoda nam nie przeszkodzi.

- W Rewlu karetka zatrzyma się całą dobę!...
- Tak – odparł Broks.
- I ty także pojedziesz z powrotem do Rygi?
- Pojadę.
- O, mój Boże, co jabym za to dał, żebyśmy już wracali, razem oczywiście...
- Razem... dzięki ci za tyle uprzejmości... Lecz skąd ten pośpiech?...
- Mam dla ciebie zaproszenie, kochany Broksie.
- Dla mnie?
- Tak. Powinieneś być zadowolony, lubisz bowiem dobrze zjeść i wypić w kółku dobranym...
- Ba, któżby tego nie lubił! – odparł Broks, mlaskając językiem – więc tu idzie o jakiś obiad?
- O coś dużo lepszego... O ucztę weselną...
- Weselną! – zawołał konduktor. – A któż to ma mnie prosić na wesele?...
- Pan młody... który zna ciebie osobiście.
- Zna mnie osobiście?...
- I panna młoda także...
- W takim razie przystaję chętnie... nie pytając nawet, kto są państwo młodzi...
- Zaraz się dowiesz...
- Wpierw jednak powiedz mi, czy to są ludzie porządni...
- Tak sędzę... Przecież to ja się żenię!...
- Ty, Poch?
- Tak, ja... żenię się z tą zacną, miłą Zofią Adelin.
- Istotnie to idealna niewiasta... Przyznam się, że się tego nie spodziewałem...
- Dziwisz się?
- Ani trochę... będziecie stanowili parę bardzo dobraną, pomimo, że ty, mój kochany masz już lat pięćdziesiąt.

– A Zofia czterdzieści pięć – dokończył Poch z westchnieniem. Ha, cóż robić! Krócej będziemy szczęśliwi! Widzisz, mój drogi, kochać się można zawsze, ale żenić tylko wtedy, kiedy pozwalają środki... Gdyśmy się poznali, miałem lat dwadzieścia pięć, a ona dwadzieścia... Lecz oboje razem mieliśmy niecałe sto rubli... Trzeba więc było czekać i pracować... Oszczędzaliśmy się we wszystkim i zbieraliśmy pieniądze. Dziś ja mam pięćset rubli rocznie. W dniu ślubu otrzymuję podwyżkę... Zofia zarabia prawie to samo... Jesteśmy więc bogaci... Nie posiadamy wprawdzie ani czwartej części tego, co zawiera mój pugilares...

Tu urwał, rzucając nieufne spojrzenie na towarzysza podróży, który drzemał w kącie...

Po chwili zaczął znowu:

– Tak, jesteśmy bogaci... ma się rozumieć, odpowiednio do naszych wymagań... A że tak długo czekaliśmy na siebie, to nic nie szkodzi... takie czekanie potęguje miłość... upewnia co do przyszłości...

– Masz słuszną najzupełniejszą...

– Zofia ma zamiar założyć sklepik... Właśnie sprzedaje się obecnie jeden, w pobliżu portu.

– Ja ci obiecuję dostarczyć dużo klientów – przerwał Broks z zapalem.

– Dziękuję ci, przyjacielu, dziękuję serdecznie. Należy mi się to, co prawda, wzamian za miejsce, które ci wyznaczyłem przy uczcie weselnej.

– Jakżeż to miejsce?

– W pobliżu panny młodej. Zobaczysz, jak piękna będzie Zofia w sukni ślubnej, w wieńcu mirtowym na głowie i w naszyjniku, który jej podarowała pani Johansenowa.

– Wierzę ci najzupełniej. Kobieta, która jest tak dobrą jak Zofia, nie może być brzydką... Ale kiedyż ślub?

– Za cztery dni, 16-go tego miesiąca... Dlatego to powtarzam ci nieustannie: każ woźnicom jechać coprędzej... nie będę żałował im napiwków... niech wiedzą, że wiozą narzeczonego... Nie chcę się zestarzeć w podróży!

– Naturalnie... wtedy Zofia ciebie nie zechce!...

– Nie zechce?!... Mój drogi, gdybym miał o dwadzieścia lat więcej, jeszczeby mnie chciała!...

Dzięki hojnym poczęstunkom, jakich Broks nie szczędził woźnicom, stacye mijały jedna za drugą. Nigdy jeszcze karetka pocztowa nie toczyła się z taką szybkością.

Krajobraz przedstawiał wiecznie te same, monotonne równiny, na których w lecie uprawiają przeważnie konopie. Niekiedy droga prowadziła brzegiem gęstych lasów, gdzie rosły klony, olchy, brzozy, czasem znów olbrzymie jodły, uginające się za powiewem wichru. Ludzi nie spotykano

wcale.

Na stacyach, Broks i Poch wysiadali z karetki i przechodzili się po podwórzu. Nieznajomy nie ruszał się z miejsca, tylko, gdy zostawał sam, wyglądał ciekawie przez okno.

– Hm, przyznać trzeba, że towarzysz mój niezabawny wcale! – rzekł Poch.

– I nie rozmowny – potwierdził Broks.

– Nie wiesz, kto to taki?

– Nie, zresztą nie przyjrzałem mu się wcale... nie widziałem nawet koloru jego brody.

– Musi nam przecież ukazać swoje oblicze podczas obiadu...

– Hm, a jeżeli będzie tak samo nie jedzący, jak jest nie mówiący – odciął Broks.

Mijali wioski, nędzne lepianki, zamieszkałe przez biedaków, wreszcie zatrzymali się w pośrodku porządnej, dużej wsi przed bardzo przyzwoitą oberżą, gdzie im podano obiad wspaniały: zupę z prosięciny, ogórki solone, czarny chleb, łososia z Dźwiny, kawior, imbir, chrzan i powidła z borówek. Za napój służyła nieśmiertelna herbata, którą tutaj pochłaniają w ilości ogromnej. Broks i Poch zajadali z apetytem. Przy każdej następnej potrawie zyskiwali na humorze.

Nieznajomy nie wzruszał się wcale wybornym jedzeniem. Kazał sobie podać obiad przy osobnym stoliku w najciemniejszym kącie sali. Zjadł pośpiesznie i zaraz wrócił na dawne miejsce w karetkce. Poch i Broks, pomimo natarczywego przyglądania się, zauważyli tylko, że ma brodę siwą.

Tajemniczość ta zaintrygowała niezmiernie obu przyjaciół. Poch nie ukrywał bynajmniej swego niezadowolenia.

– A zatem nie dowiemy się wcale, co to za indywiduum? – zapytał w końcu konduktora.

– Zaraz ci powiem – odparł Broks.

– Znasz go?

– Tak. Jest to pewien pan, który zapłacił za bilet i to mi wystarcza w zupełności.

O drugiej popołudniu, ruszono w dalszą drogę. Pocztylion zaciął konie, które pomknęły szybko.

Po dobrym obiedzie i po paru kieliszkach wódki obaj przyjaciele stracili werwę do rozmowy. Tematy się wyczerpały. Przytem ogarnęło ich pewne znużenie. Poch rozparł się jak mógł najwygodniej w rogu karety i drzemał, kiwając się na prawo i lewo. W kwadrans później chrapał już mocno, śniąc prawdopodobnie o słodkiej twarzy panny Zofii.

Tymczasem chmury opadały coraz niżej. Ściemniało się widocznie. Karetkka posuwała się wolno błotnistą drogą, prowadzącą przez moczary, poprzerzynane licznymi stumieniami. Tu i owdzie

sterczały pnie drzewne. Konie przystawały często i ledwie dowlokły się do stacy następczej.

O piątej było już ciemno zupełnie. Stangret z trudnością trzymał się drogi. Konie rzucały się w bok.

– Ha, niema rady... musimy jechać krokiem – powtarzał Broks z rezygnacją. Lepiej spóźnić się do Parnawy o godzinę, niż złamać powóz i znaleźć się w rowie.

– Spóźnić się o godzinę!... – wykrzyknął Poch, zbudzony ze snu przecierając oczy.

– To dużo bezpieczniej – potwierdził stangret, zsiadając z kozła i prowadząc konie za uzdy.

Nieznajomy z widocznym niepokojem wysunął głowę przez okno karety. Nie dojrzał nic, ciemności bowiem panowały zupełnie. Tylko latarki powozowe rzucały dwa małe i nikłe snopy światła.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał Poch.

– O dwadzieścia wiorst od Parnawy – odparł Broks. – Najlepiej zrobimy, jeżeli zanocujemy na pierwszej stacy.

– Niech лихо porwie tę przekłętą śnieżycę, która o całych dwanaście godzin opóźni nasz powrót – wykrzyknął Poch z irytacją.

Jechano dalej krokiem. Wicher huczał z wściekłością. Konie płoszyły się i spychały wzajemnie. Karetka przechylała się to w jedną, to w drugą stronę. Poch i Broks zaczęli poważnie roztrząsać kwestię, czy nie lepiej wysiąść z powozu i dalszą drogę odbywać pieszo. Nieznajomy milczał zawzięcie i nie zdradzał najmniejszego niepokoju. Żaden Anglik nie wykazałby więcej zimnej krwi.

Nagle o godzinie w pół do siódmej podróżni doznali gwałtownego wstrząśnienia. Złamało się przednie koło... karetka przewróciła się na lewo. Rozległy się okrzyki bólu. To Poch jęczał żałośnie, uderzył bowiem silnie nogę. Stangret spadł z kozła. Nieznajomy i Broks odnieśli tylko lekkie stłuczenie. Wypadek zdarzył się w miejscowości zupełnie odludnej.

– O mój Boże! Co się z nami stanie! – jęczał kantorowicz.

– Karetka nie może się ruszyć z miejsca – odparł Broks.

Nieznajomy nie wyrzekł ani słowa.

– Czy mógłbyś dojść do Parnawy pieszo? – zapytał Broks przyjaciela.

– Piętnaście wiorst! – wykrzyknął nieszczęśliwy narzeczony z rozpaczą w głosie. – Zapominasz chyba, że straciłem nogę.

– A konno?

– Konno?! spadłbym z konia po kilku krokach!

Wobec tego postanowiono dojść do najbliższej oberży, gdzie Poch i nieznajomy mieli pozostać do rana. Broks zaś ze stangretem pojedą tymczasem konno do Parnawy i wrócą nazajutrz z kołodziejem, który naprawi karetkę.

Pomysł był nienajgorszy. W innych okolicznościach kantorowicz byłby nawet z przymusowego wypoczynku zadowolony, tym razem jednak trapił go niepokój o pieniądze firmy.

Zresztą nie było nawet pewności, czy w pobliżu znajduje się jakiś zajazd lub ferma, gdzieby można było kołatać o przytułek. Okolica była zupełnie pusta.

– Tam... zdaje się... dostrzegam światełko... odezwał się po raz pierwszy milczący towarzysz, wskazując ręką na lewo.

Istotnie, w dali wśród grupy drzew migał jakiś blady ogień.

Stangret na zapytanie podróżnych odpowiedział:

– To szynk Kroffa.

– Kroffa?... – powtórzył Poch.

– Tak... szynk *Pod złamanym hakiem*.

– A zatem – zwrócił się Broks do podróżnych – wstępujemy do szynku Kroffa; panowie zostajecie na noc, my śpieszymy do Parnawy i wracamy jutro.

Nikt nie sprzeciwiał się. Nie było zresztą wyboru. Pogoda stawała się coraz okropniejsza. Deszcz lał jak z cebra, wichura gwałtowna nie pozwalała ustać na nogach.

– Ha – wyrzekł Poch z rezygnacją, idźmy zatem do tego szynku, tylko, proszę cię, Broksie, nie spóźnij się jutro.

– Bądź zupełnie spokojny! – odparł konduktor i zaczął pomagać stangretowi wyprzegać konie. Karetka miała pozostać na drodze.

Poch ścisnął dłoń przyjaciela i kulejąc mocno, skierował się w stronę, skąd dochodziło światełko. Nieznajomy, widząc że kantorowicz idzie z trudnością, podał mu ramię. Poch przyjął jego pomoc z wdzięcznością.

Tak przeszli ze dwieście kroków bez żadnego wypadku i zatrzymali się przed nędznym zajazdem. Na wysokim słupie umieszczona była mała naftowa latarka. Przez szpary zamkniętych okiennic dochodził blask światła z wewnątrz, dźwięk szklanek, szmer ochrypłych głosów. Nad drzwiami wisiał szyld ohydnie malowany, z napisem: „*Pod złamanym hakiem*”.

Rozdział V

Szynk „Pod Złamanym Hakiem”.

Właścicielem szynku był niejaki Kroff, Łotysz z urodzenia, człowiek około czterdziestopięcioletni, barczysty z twarzą czerwoną i gęstą, rudą czupryną. W promieniu od dwu do trzech wiorst nie było żadnej wioski ani osady. Już ojciec Kroffa założył w tym odludnym zakątku zajazd, do którego z rzadka tylko zaglądali podróżni ze stron dalszych. Zwykłą klientelę stanowili wieśniacy okoliczni, oraz drwale i węglarze z sąsiednich lasów. Nazwa „pod złamanym hakiem” pochodziła prawdopodobnie, stąd, że szyld wyobrażał jakiś zygzak na krwisto czerwonym polu.

Kroff ojciec cieszył się bardzo złą opinią, jako oszust i kłusownik. Stąd przypuszczano powszechnie, że zostawił synowi niezłą spuściznę. Młody Kroff prowadził życie odosobnione. Bardzo mało ukazywał się w Parnawie. W chwilach wolnych od gości najchętniej zajmował się swym ogródkiem. Nie trzymał żadnego posługacza ani służącej. Wszystkie roboty wykonywał sam. Nie interesował się ludźmi wcale, a na zapytania odpowiadał krótko.

Parterowy domek z trzech stron otoczony był ogrodem. Drzwi wejściowe otwierały się do izby szynkowej z jednym oknem w głębi, na prawo i lewo znajdowały się pokoje gościnne, wychodzące na drogę. Sypialnia Kroffa przylegała do ogrodu.

Mocne, grube drzwi i okienice zamykały się od wewnątrz na rygle. Szynk otwarty był zazwyczaj do dziesiątej wieczorem. W obecnej chwili znajdowało się tam około pół tuzina klientów; dzięki wódce wszyscy byli w pysznych humorach.

Nieduży ogród łączył się z lasem jodłowym. W ogrodzie Kroff uprawiał jarzyny niezbędne do użytku domowego. Prócz tego rosły tam jeszcze maliny, trochę karłowatych wiśni i kilka jabłoni.

Wśród zwykłych klientów szynku wyróżniało się dwu. Siedzieli nieco na osobności, rozmawiając półgłosem i popijając wódkę. Był to podoficer Eck i jeden z jego agentów. Eck wracał z wyprawy bardzo niezadowolony. Pomimo gorliwych poszukiwań nad Parnawą nie mógł odnaleźć zwłok zbiega. Przewidywał wymówki ze strony majora Verdera. Przytem dotknięta była jego miłość własna.

– Nie ulega wątpliwości – mówił do swego pomocnika – że zbieg ten utonął.

– Naturalnie, potwierdził agent.

– A jednak dowodów materialnych nie mamy żadnych... Zresztą, cóż nam po trupie!.. Nie moglibyśmy go przecież wyprawić ponownie za Ural. Należało tego złodzieja pojmać żywcem.

– Powetujemy to sobie innym razem, panie Eck, pocieszał agent, który częste niepowodzenia swego zawodu przyjmował ze spokojem filozoficznym. Śnieżycą tymczasem szalała z coraz większą wściekłością. Wicher poruszał gwałtownie okienicami, huczał w kominie, łamał drzewa w sąsiednim borze.

– Te drwale będą jutro mieli dzień bajeczny – zauważył jeden z włościan. Nie nadążą ze zbieraniem pni i gałęzi.

– Wspaniały czas dla zbiegów i kontrabandzistów – dorzucił agent.

– Tak wspaniały... powtórzył Eck – to nie racya jednak, abyśmy im ułatwiali zadanie... Wiadomo, że szajki złodziejskie kursują w okolicy. Niedawno popełniono kradzież w Tarwarcie i zabójstwo w Karkusie... Gościniec między Rygą i Parnawą także nie jest bezpieczny. A to dlatego, że zniesiono karę śmierci... przestępców skazują na Syberyę!.. stamtąd zaś ucieczka niezbyt trudna, inna rzecz była gdy groził strycek!.. lecz dziś szubienice obalono, podobnie jak hak na szyldzie Kroffa.

– To się musi zmienić – zauważył agent.

– I jaknajprędzej – potwierdził Eck. A teraz w drogę! Dziś jeszcze muszę się spotkać w Parnawie z naczelnikiem piątego oddziału.

Uderzył ręką o stół.

Kroff nadbiegł niezwłocznie.

– Ile?.. . zapytał Eck, wyciągając z kieszeni trochę drobnej monety.

– Pan sam wiesz o tem, panie naczelniku. Mam jedną ceną dla wszystkich...

– Nawet dla tych, którzy nie mają pasportu?

– Nie jestem policyantem – odparł opryskliwie Kroff.

– To wielka szkoda! Wszyscy szynkarze powinni być policyantami... Wtedy w kraju byłoby spokojniej... ale strzeż się Kroffie, jeżeli drzwi twoje będą otwarte dla wszystkich zbiegów, pewnego poranku zamkną ci budę.

– Szynkuję wódkę tym, co mi płacą, nie pytając ani skąd przychodzą, ani dokąd idą.

– No, no nie udawaj tylko głupca, Kroffie, bo pożałujesz...

Tymczasem dobranoc i dowidzenia!

Zapłacił za wódkę, poczem obaj wstali od stołu i skierowali się ku drzwiom. Inni goście poszli za ich przykładem, znajdując, widocznie, że pora już spóźniona.

Nagle drzwi otworzyły się z hałasem. Na progu ukazało się dwu ludzi. Był to Poch z nieznanym.

Kantarowicz kulał silnie i opierał się o ramię towarzysza, który zwrócił się niezwłocznie do szynkarza ze słowami:

– Powóz nasz złamał się o paręset kroków stąd... konduktor i poczytliion udali się konno do Parnawy... Wrócą zaledwie jutro rano... Chcielibyśmy tu przenocować...

Czy macie pokoje wolne?...

– Tak – odparł Kroff.

Życzę sobie mieć pokój osobny, i o ile możliwości, wygodne łóżko – wtrącił Poch.

– Dobrze – odparł Kroff. Czy jesteś pan chory?

– Nic wielkiego. Stukłem nogę.

– Drugi pokój zamawiam dla siebie – rzucił nieznajomy.

Eck przysłuchiwał się uważnie. Głos tego człowieka wydał mu się znajomym.

– Kto to jest? – rzekł do siebie, – przysięgłbym że...

Ciekawość policyanta była podniecona. Postanowił się przekonać, o ile przypuszczenia jego są słuszne. Tymczasem Poch zasiadł przy stoliku, na którym położył pugilares, zawsze przytwierdzony do pasa.

– Jestem głodny – zwrócił się do Kroffa – czy macie co do zjedzenia?

– Zaraz przyniosę kolację – pośpieszył z odpowiedzią oberżysta.

– Proszę, jaknajprędzej – dodał Poch.

Podoficer zbliżył się do stolika.

– Jak to szczęśliwie, panie Poch – zwrócił się do kantorowicza, że odniosłeś pan tylko lekkie stłuczenie...

– A, zawołał kantorowicz, to pan, panie naczelniku!

– Dzień dobry, a raczej dobry wieczór!

– Dobry wieczór, panie Poch!

– Cóż pan tu robisz?

– Służba, jak zawsze. Ale cóż pańska noga?

– Do jutra przejdzie.

Kroff tymczasem przyniósł chleb, słoninę i filiżankę herbaty. Poczem zwrócił się do nieznanego:

– A panu co podać?

– Nie jestem głodny, odparł zapytany, otulając się szczelniej burką. Proszę wskażcie mi mój pokój... Chciałbym się położyć coprędzej, bardzo możliwe bowiem, że nie będę czekał na powrót konduktora, ale jutro o świcie pójdę pieszo do Parnawy... wstanę o czwartej...

– Jak się panu podoba, – odparł szynkarz.

Z temi słowy odprowadził gościa do pokoju na lewo. Podczas tej rozmowy jednak kaptur, osłaniający twarz nieznanego, rozchylił się nieco. Chwila ta wystarczyła podoficerowi.

– Tak – szepnął sobie – nie omyliłem się... to on... dlaczego jednak chce stąd wyruszyć o świcie?.. Dokąd tak spieszy?..

Agentom policyjnym rzeczy najnaturalniejsze wydają się często niezwykłymi.

Eck w dalszym ciągu łamał głowę nad rozstrzygnięciem trapiącej go zagadki. Postanowił wybadać Pocha.

Kantorowicz z zapalem spożywał zimne mięso.

– Czy ten podróżny jechał z panem całą drogę?

– Tak... i słowa od niego wyciągnąć nie mogłem...

– Nie wiesz pan przypadkiem, dokąd jedzie?

– Nie!... przypuszczam, że do Rewla .. Gdyby Broks był tutaj mógłby panu powiedzieć coś więcej.

– Och, sprawa ta nie obchodzi mnie wcale – odparł spieszenie Eck.

Kroff przysłuchiwał się rozmowie z miną obojętną. Chodził po izbie, odbierał nakrycia, odprowadzał do drzwi odchodzących wieśniaków. Podoficer nie odstępował Pocha.

– Jedziesz pan do Parnawy?... pytał.

– Nie, do Rewla.

– Na koszt firmy Johansenów?

– Oczywiście – odparł Poch i ruchem instynktowym zbliżył do siebie leżący na stole pugilares.

– Ten wypadek w podróży opóźni pański powrót do Rygi przynajmniej o godzin dwanaście.

– Tak o godzin dwanaście, jeżeli Broks dotrzyma obietnicy i stawi się tutaj jutro rano... Za cztery

dni będę więc w Rydze, zjawię się na sam ślub...

– Z zacną Zofią Adelin – dokończył Eck. Wiem o tem...

– Naturalnie... pan wiesz przecież wszystko...

– Nie... nie wszystko... teraz naprzykład, nie wiem, gdzie się udaje pański towarzysz podróży... Jeżeli jednak wychodzi raniutko i nie czeka na karetkę, to ma zamiar widocznie, zatrzymać się w Parnawie...

– Bardzo być może – odparł Poch, życząc mu szczęśliwej podróży... A pan, panie Eck, nocujesz tutaj?

– Nie, spieszę do Parnawy, mam tam spotkanie umówione... Dobranoc panu... i pilnuj pan swego pugilaresu!

– Strzegę go, jak oka w głowie – zaśmiał się kantorowicz dobrodusznie.

– Komu w drogę, temu czas!, zwrócił się Eck do swego pomocnika. – Musimy starannie zapiąć płaszcze, bo wiatr przenika do szpiku kości. Dobranoc, panie Poch!

– Dobranoc, panie Eck!

Policyanci wyszli, a Kroff zaryglował drzwi od wewnątrz i zamknął na dwa spusty, klucz zaś schował do kieszeni. Nie spodziewał się już więcej gości.

Poch tymczasem zaspokoił apetyt i marzył tylko o łóżku. Nie chciało mu się jednak powstać z miejsca. W pokoju było pełno dymu. Kroff, stojąc przed piecem machał serwetą z takim hałasem, jakby trząsał z bicia. Przy bladym, migającym świetle łojówki wszystkie przedmioty, ustawione w izbie, nabierały kształtów fantastycznych.

Na dworze szalała śnieżycą. Stuk okienic nie ustawał ani na chwilę.

– Ktoś się dobija do drzwi – zauważył Poch.

– Niema nikogo – odparł Kroff. To tylko wicher. Ja się już przyzwyczailem. W zimie zdarzają się noce jeszcze straszniejsze...

Było już około dziewiątej. Poch ociężale podniósł się z krzesła, wziął ze stołu pugilares i świecę z rąk Kroffa, poczem skierował się na prawo do swego pokoju.

Kroff stał w pośród izby i zapalał dużą latarnię.

– A wy się jeszcze nie udacie na spoczynek – zwrócił się do niego kantorowicz.

– Owszem, wpierw jednak, muszę obejrzeć gospodarzę.

– Jakto?

– Zobaczą, czy wszystkie kury są na grzędzie. Zrana czasem się ich nie mogę doliczyć...

– Rozumiem – rzekł Poch. Lisy...

– Lisy i wilki zakradają się tu często. Okno mego pokoju wychodzi na ogród. Czatuje niekiedy na tych rabusiów. Nie przerażaj się pan zatem, jeżeli w nocy usłyszysz wystrzał z fuzji...

– Nawet wystrzał armatni mnie nie zbudzi – odparł Poch. Śpię doskonale. Proszę was, nie budźcie mnie wcześniej. Nie wstanę, zanim karetka naprawiona nie będzie. Niech sobie mój towarzysz podróży zrywa się o świcie, jeżeli ma do tego ochotę... Ja nie myślę...

– Dobrze – odparł Kroff. Nikt pana nie obudzi... będę uważał, ażeby towarzysz pański, odchodząc, nie zrobił jakiego hałasu.

Poch ziewał szeroko, wszedł do swego pokoju i zamknął drzwi na klucz.

Kroff został w izbie. Postawił latarnię na stole i jako człowiek porządny, zaczął sprzątać talerze, filiżankę, imbryk. Nigdy żadnej roboty nie odkładał do jutra. Poczem otworzył drzwi od podwórka i rozejrzał się wokoło.

Jeden rzut oka uspokoił go zupełnie. Nigdzie nie dostrzegł żadnych cieni ruchomych, zdradzających obecność wilka lub lisa. Wobec tego nie chciał się wystawiać na wściekłe poddmuchy wichru i wrócił do izby. Dorzucił kilka kawałków torfu do pieca, przeszedł mimo pokoju, gdzie chrapał Poch, już w śnie głębokim pogrążony, i udał się do swej sypialni. W parę minut później w całym domu zapanowała cisza i ciemność. Na dworze tylko wyl i huczał wicher, łamiąc jodły w sąsiednim borze, a deszcz ulewny z głuchym jękiem uderzał o ściany i dach szynku „*pod złamanym hakiem*”.

Nazajutrz trochę przed czwartą, Kroff z latarką w ręku wszedł do izby.

Prawie równocześnie we drzwiach ukazał się nieznajomy.

Podobnie, jak poprzedniego wieczora otulony był burką. Kapiszon zasłaniał mu połowę twarzy.

– Już pan gotów do podróży – zdziwił się Kroff.

– Już – odparł nieznajomy. Ile winien jestem za nocleg?

– Rubla – mruknął oberżysta.

– Oto pieniądze. A teraz proszę otworzyć mi drzwi.

– Zaraz – odpowiedział Kroff, przy świetle latarki oglądając otrzymaną monetę.

Skierował się do drzwi i miał już je otworzyć, gdy nagle zwrócił się do gościa:

– A możebyś pan chciał zakąsić przed drogą?

– Dziękuję. Nie.

– W takim razie kieliszek wódki?

– Powiedziałem już, że nic chcę nic. Proszę otworzyć prędzej.

– Jak nie, to nie.

Z temi słowy odsunął rygle. Klucz zgrzytnął w zamku. Drzwi się otworzyły.

Na dworze było jeszcze ciemno. Deszcz ustał, lecz wicher był równie silny, jak dnia poprzedniego.

Nieznajomy staranniej jeszcze otulił się burką, i nie mówiąc słowa wyszedł z pośpiechem. Po chwili znikł w ciemności. Kroff zarygłował okute żelazem drzwi swego szynku.

Rozdział VI

Niemcy i Łotysze.

W domu Johansenów pierwsze śniadanie podawano zwykle o godzinie dziewiątej. Obaj bracia chlubili się zawsze porządkiem i systematycznością, nietylko w interesach bankierskich, lecz i w życiu codziennym. Za nic w świecie nie odstąpiliby od przepisów, uświęconych zwyczajem. Godziny posiłków, wizyt, przyjęć, snu i wstawania nie zmieniały się nigdy. Dnia tego jednak samowar nie chciał się jeszcze zagotować pomimo, iż dziewiąta dochodziła. Dlaczego? Było to winą lokaja Trankla, który niestety, nieraz grzeszył niedbalstwem.

Równocześnie z uderzeniem godziny dziewiątej pan Franciszek Johansen, jego żona, brat i córka Greta weszli do jadalni. Na widok pustych filiżanek wszystkie oblicza się przeciągnęły.

– Trankel, dlaczego herbata nie nalana? – zapytał pan Franciszek surowo?

– Przepraszam pana... wyjąkał zmieszany! winowajca, ale... zapomniałem...

– Nie pierwszy to raz zapominasz o swych obowiązkach.. ciągnął bankier tonem karcącym.

Pani Johansenowa i brat młodszy skinęli głowami na znak, że uważają naganę za najzupełniej słuszną. Poczem usunęli się w stronę fajansowego kominka, z którego buchały wesołe płomienie.

Trankel milczał ze spuszczonej oczami. Mina jego wzbudzała politowanie.

Bankier wyjął z kieszeni notatnik i nakreślił w nim słów parę. Poczem wygłosił uroczyście:

– Za karę wytrącam ci połowę pensji miesięcznej. A teraz pośpiesz się z herbatą i idź zaraz do majora Verdera po odpowiedź na list, który zaniósłeś wczoraj.

Trankel nie odrzekł ani słowa, pokornie pocałował swego pana w rękę i znikł za drzwiami.

W parę chwil później samowar kipiał już na stole, a niedbały lokaj spieszył do ratusza.

Rodzina Johansenów należała do najpierwszych wśród burżuazji ryskiej. Burżuazja ta, podobnie, jak cała arystokracja w prowincjach nadbałtyckich, jest pochodzenia niemieckiego i ślepo przywiązana do tradycji germańskich. Od chwili osiedlenia się w tym kraju, t. j. od XIII wieku, nic się nie wynarodowiła. Ryga, dawniejsza stolica Kawalerów Mieczowych, założona w 1196 r. przez Bartolda, o dwie mile od ujścia Dźwiny, jest miastem handlowym i przemysłem.

Należała niegdyś do Związku Hanzeatyckiego. Wysokie domy, strome dachy, gotyckie frontony,

ciasne nieregularne ulice, nadają jej charakter miast staroniemieckich. Tylko nowsze dzielnice, tak zwane przedmieścia, zbudowane są w stylu nowożytnym. Do najciekawszych zabytków właściwej Rygi należą: kościół katedralny w cytadeli, kościół św Piotra z piękną dzwonnica, mającą 440 stóp wysokości, Wielki i Mały Ratusz, pomnik kawalerów mieczowych, znajdujący się po drugiej stronie rynku. Pomnik ten najeżony chorągiewkami, żałośnie skrzypiącemi na wietrze, ma wygląd raczej dziwaczny niż artystyczny.

W rynku znajduje się dom bankierski Johansenów, zbudowany w stylu nowożytnym. Firma to bardzo solidna, cieszy się ogromnym kredytem i ma stosunki ze wszystkimi pierwszorzędnymi bankami Państwa.

W rodzinie Johansenów z dawien dawna panuje wielka jedność i wzajemne uznanie. Obaj bracia występują zawsze zgodnie. Starszy kieruje operacjami finansowemi firmy. Do młodszego należy kontrola biur i kasy.

Pani Johansenowa, urodzona we Frankfurcie, dumna jest ze swego pochodzenia; to tylko, co niemieckie, ma w jej oczach wartość.

Z dwojga dzieci starszy syn dwudziestodwuletni, Karol odbywa studia uniwersyteckie w Dorpacie. Młodsza córka Greta uczy się w domu.

Franciszek Johansen ma już lat czterdzieści pięć, jest głównym dyrektorem banku, członkiem rady miejskiej i jednym z najzaciętszych obrońców tradycji germańskich. Z oburzeniem spogląda na wszystkich Łotyszów, dążących do zdobycia udziału w administracji i wywalczenia sobie równych praw z przedstawicielami wielkiej niemieckiej ojczyzny.

Łotysze stanowią rdzenną ludność kraju, a jednak z dawien dawna zepchnięci zostali na stanowisko podrzędne. Zajmowali się wyłącznie uprawą roli zachowali swój język i dawne zwyczaje. W ostatnich czasach obudził się wśród nich ruch narodowościowy, który się szerzy z szybkością niezwykłą, ogarniając masy coraz szersze.

Wśród patryotów łotewskich energią, zdolnościami, zapałem wyróżniał się Matias Ozolin. On stał się przywódcą partii narodowej, która na przyszłych wyborach do rady miejskiej chciała koniecznie przeprowadzić jego kandydaturę. Sam fakt, że ubogi profesor bez majątku i znaczenia wystąpił jako przeciwnik potężnego bankiera był już bardzo znamieny. Johansenowie jednak nie ulękli się walki, tembardziej, że w rękach swych mieli środek potężny, mogący niezawodnie zmiażdżyć Ozolina. Za sześć tygodni przypadał termin spłaty wekslu. Suma długu – jak na ubożego profesora – była olbrzymia: 18000 rubli! Ozolinowi tych pieniędzy z pewnością nie pożyczą nikt, a dom bankierski prolongaty nie udzieli. Idzie tu przecież o pokonanie przeciwnika politycznego! Niewypłacalny dłużnik ścigany przez prawo cywilne i wyrzucony na bruk nie może się ubiegać o najwyższą godność w mieście.

Obok Niemców i Łotyszów znajdują się jeszcze w kraju Nadbałtyckim Rosyanie. Aczkolwiek faworyzowani przez rząd, stanowią oni żywioł mniejszy liczebnie; starają się o ile możności wypierać Niemców z zajmowanych urzędów.

Szefem policji był w owym czasie pułkownik Ragenow, Rosyanin gorliwy patriota, wrogo usposobiony względem wszystkiego co niemieckie i łotewskie. Śmiały, przedsiębiorczy, policyant z powołania, nie cofał się przed żadną przeszkodą i bez skrupułu uciekał się do środków surowych, byle tylko osiągnąć cel zamierzony.

Pomocnikiem jego był major Verder, zacięty Niemiec lecz służbista gorliwy. Gorliwość ta jednak zwracała się wyłącznie przeciwko Łotyszom. Współrodaków swoich osłaniał przy każdej sposobności.

Prawą ręką majora Verderera był nasz znajomy, podoficer Eck, bardzo oddany swemu zawodowi i niechętnie usposobiony względem Rosyan i Łotyszów.

Trankel z miną zbiedzoną szedł ulicami Rygi, minął pałac gubernatorski, rynek, gdzie się sprzedaje wszelkiego rodzaju tandeta i zatrzymał się koło jakiegoś kiosku dla wypicia gorącej herbaty z rumem, którą mu zaproponował szynkarz wędrowny; gapił się czas jakiś na praczki, niosące kosze z bielizną, wyminął konwój żołnierzy, prowadzący więźniów, wreszcie stanął przed ratuszem.

Powitano go tutaj jak dobrego znajomego.

– A, dzień dobry, Trankel, jakże się miewasz? – rzekł jeden z policyantów. – Cóż to się stało, że tak często zaglądasz do nas?

– Przysłano mnie, – odparł Trankel z westchnieniem.

– Któż cię przysłał?

– Mój pan, bankier Franciszek Johansen.

– Chcesz się pewnie zobaczyć z majorem Verderem?

– Oczywiście... jeżeli można.

– Właśnie, przed chwilą wszedł do kancelaryi. Zaczekaj chwilę, oznajmię mu o twym przybyciu.

Z temi słowami opuścił Trankla i wrócił po chwili, dając mu znak ażeby wszedł do gabinetu pomocnika policmajstra.

Trankel zatrzymał się u drzwi i zapukał lekko.

– Wejź! – usłyszał w odpowiedzi.

Major Verder siedział przed biurkiem i przerzucał stosy papierów. Na widok Trankla podniósł głowę.

– Czego chcesz? – zapytał.

– Przyszedłem po odpowiedź na list, doręczony wczoraj.

– Ach, to od bankiera Johansena.

– Tak jest.

– Zaczekaj!

Zaczął znowu przerzucać papiery. Trankel stał o parę kroków w postawie pełnej uszanowania.

Nagle u drzwi kancelaryi rozległ się jakiś hałas.

– Major Verder... Gdzie major Verder?... wołał ktoś głosem zdyszonym.

Major otworzył drzwi i stanął na progu.

– Co się stało? – zapytał żywo.

Agent policyjny podał mu depeszę, mówiąc:

– Popołniono zbrodnię...

– Kiedy?

– Nocy dzisiejszej.

– Jaką zbrodnię?...

– Morderstwo...

– Gdzie?

– Na drodze do Parnawy... w szynku „*pod złamanym hakiem*”.

– Kto jest ofiarą?...

– Inkasent z banku Johansenów!

– Jakto? Poch?... Czy to być może?... Biedny Poch!... wołał Trankel, wysuwając głowę z kancelaryi.

– Czy znane są motywy zbrodni?... badał major.

– Kradzież. W pokoju bowiem zamordowanego znaleziono pusty pugilares.

– Co zawierał?...

– Niewiadomo, panie majorze. Można jednak rozpytać w banku.

– Depesza o tem nie mówi.

Major zwrócił się do skupionych dokoła agentów.

– Ty... pójdziesz do sędziego Kerstorfa.

– Słucham, panie majorze!

– A ty biegnij do doktora Paulina!

– Słucham, panie majorze!

– Powiedźcie, że będę na nich czekał w banku Johansenów.

Agenci puścili się pędem, a w parę chwil później i sam major Verder udał się do banku.

Trankel pośpieszył do domu, zapominając o swem strapieniu osobistem.

Rozdział VII

Śledztwo.

W parę godzin później traktem parnawskim mknął szybko powóz Johansenów, zaprzężony trójką pocztowych rumaków, które zmieniano na każdej stacyi.

W powozie siedział bankier, major Verder, doktor Paulin, sędzia śledczy Kerstorf i pisarz. Dwaj agenci umieścili się na koźle.

Sędzia Kerstorf, człowiek około pięćdziesięcioletni, odznaczał się wielką bezstronnością i sprytem. Skryty i małomówny zawsze, dnia tego nie odzywał się wcale.

Rozmowę – zresztą dosyć urywaną – podtrzymywał tylko bankier i major.

Franciszek Johansen ubolewał nieustannie nad śmiercią ulubionego urzędnika, którego cenił wysoko za gorliwość, akuratność i wypróbowaną uczciwość. Ze współczuciem odzywał się o biednej Zofii, której długie narzeczeństwo zakończyć się miało tak tragicznie.

– Nieszczęśliwy Poch – mówił – zamiast do ołtarza, poprowadzimy go na cmentarz!

Majora obchodziły najwięcej szczegóły zbrodni. W jakich okolicznościach popełnione zostało morderstwo? Czy w szynku „*pod złamanym hakiem*” znajdą się jakieś wskazówki, jakieś ślady przestępcy? Czy działał on na własną rękę, czy też należał do szajki?

Doktor Paulin siedział zamyślony, nie zwracając uwagi na towarzyszy podróży. Zaprzętały go całkowicie troski osobiste. Dnia poprzedniego zaszedł do Ozolinów i, ku wielkiemu zdumieniu, Matiasa w domu nie zastał. Zaniepokojona Marta powiedziała mu, że ojciec wyjechał nagle raniutko, bez pożegnania. Po obudzeniu się znalazła kartkę lakoniczną, w której profesor donosił, że Rygę opuszcza na dni parę, nie mówiąc ani słowa, dokąd wyjeżdża. Projekt powziął widocznie wcześniej, dnia tego bowiem nie otrzymał żadnego listu, żadnej depeszy. Dlaczego jednak o projektowanej wycieczce nie wspominał przyjacielom?... Prawda, że zawsze był skryty lecz tym razem otoczył się tajemniczością większą niż zwykle i zgoła nieumotywowaną; słusznie więc mogła zaniepokoić się córka i przyjaciele.

Dzień był suchy, nieco chłodny. Ostry północno-wschodni wiatr rozproszył chmury.

Po wczorajszej śnieżycy droga była nieszczególna i konie męczyły się strasznie, pomimo iż zmieniano je na każdej stacyi.

Podróżni nasi jechali dosyć szybko. Na jednej stacyi tylko zatrzymali się półgodziny i w nędznej

oberży zjedli śniadanie. Poczem ruszyli dalej.

Po śniadaniu w powozie zapanowało milczenie zupełne. Każdy myślał o czymś innym. Major Verder niecierpliwił się ogromnie, uważając, że jada nie dosyć prędko i co parę minut popędział stangreta.

O piątej po południu powóz zatrzymał się na ostatniej stacyi przed Parnawą. Słońce chyliło się już ku zachodowi.

Do szynku „pod złamanym hakiem” było jeszcze wiorst dziesięć.

– Panowie – odezwał się sędzia Kerstorf – na miejsce zbrodni przyjedziemy już w nocy. Przeprowadzenie śledztwa będzie więc bardzo utrudnione. Proponowałbym zatrzymać się tutaj do rana i wyruszyć o świcie. Będzie nam z pewnością wygodniej niż u Kroffa.

– Uwaga zupełnie słuszna – podtrzymał sędziego doktor Paulin.

– Zostajemy więc – zdecydował bankier, a może major Verder ma coś przeciwko temu.

– Ja? nic zupełnie... chyba to, że opóźnimy poszukiwania – odciął się major, który pragnął stanąć jaknajprędzej „pod złamanym hakiem”.

– Ależ szynk jest już z pewnością obstawiony przez policję – zauważył Kerstorf.

– Tak. Depesza mówi, że z Parnawy niezwłocznie wysłano agentów z rozkazem nie wpuszczania nikogo i śledzenia Kroffa.

– A zatem, wszystko w porządku – ciągnął dalej sędzia – zwłoka kilkugodzinna nie zaszkodzi sprawie.

– Tak, lecz dzięki tej zwłoce morderca zyskuje na czasie – odparł major głosem zirytowanym.

Nikt go jednak nie poparł. Wobec zbliżającej się nocy wszyscy woleli odłożyć śledztwo do jutra.

Wysiedli zatem z powozu, kazali sobie podać obiad, poczem udali się na spoczynek.

Nazajutrz zerwali się o świcie i o siódmej rano byli już „pod złamanym hakiem”.

Agenci parnawscy przyjęli ich na progu. Kroff z miną obojętną kręcił się po sali, usługując narzuconym sobie gościom, sprzątajac talerze i kieliszki.

Agenci pilnowali, ażeby w szynku pozostało wszystko bez zmiany tak, jak było w dzień spełnienia zbrodni. Nie wpuszczano nikogo z okolicznych wieśniaków. Ciekawi jednak skupili się w pobliżu i przyglądali się z zajęciem przedstawicielom władzy. Zнали już opowiadanie Broksa.

Okolo godziny siódmej rano ten, stosownie do umowy, zjawił się w szynku Kroffa wraz ze stangretem i stelmachem. Kroff zapewnił konduktora, że inkasent śpi jeszcze.

Podeszli obaj do drzwi i zapukali lekko. Żadnej odpowiedzi. Zapukali więc mocniej, raz, drugi i trzeci. Wszystko było daremnie. Wtedy wyłamali drzwi i ku wielkiemu swemu przerażeniu ujrzeli na łóżku nie zastygłego jeszcze trupa. Na ten widok Broks nie mógł się powstrzymać od łez. Biedny Poch!

Wczoraj jeszcze zapraszał go na wesele!... a jak się cieszył na dzień ślubu!... Nie namyślając się długo, Broks wskoczył na konia i popędził do Parnawy, do zarządu policyjnego, który niezwłocznie majora Verdera zawiadomił o wypadku.

Załatwiwszy niezbędne formalności konduktor wyruszył z powrotem do szynku „pod złamanym hakiem”, przypuszczając słusznie, że obecność jego może być potrzebna przy śledztwie.

Po przybyciu na miejsce, sędzia Kerstorf i major Verder przystąpili niezwłocznie do badania. Agenci policyjni, rozstawieni dokoła domu, bronili wstępu ciekawym.

Kroff zaprowadził przybyłych do pokoju, gdzie spełnioną została zbrodnia. Pan Johansen, z żalem głębokim patrzył na skrwawioną, zeszywniałą twarz nieszczęśliwego inkasenta, który mu był tak wierny i oddany. Serce się mu ścisnęło na myśl o rozpaczycy Zofii, którą dotknął cios tak straszliwy i to na parę dni przed ślubem...

Na stoliku, tuż obok łóżka, rzucony był pusty pugilares z inicjałami braci Johansenów – bezpośrednia przyczyna śmierci biednego Pocha.

Doktor Paulin przystąpił niezwłocznie do obejrzenia zwłok. Z lewej strony piersi, mniej więcej na wysokości piątego żebra przedarta koszula odsłaniała ranę bardzo dziwnego kształtu. Nie ulegało wątpliwości, że powstała ona od uderzenia szwedzkim nożem, opatrzonym skówką ze sprężyną. Skówka ta zostawiła na ciele ślady bardzo widoczne i charakterystyczne. Uderzenie musiało być bardzo gwałtowne... śmierć nastąpiła od razu, gdyż ostrze noża dosięgło serca.

Pobudką zbrodni była kradzież, nie ulega to wątpliwości żadnej, skoro banknoty znikły z pugilaresu. W jaki sposób jednak morderca dostał się do pokoju?... Oczywiście przez okno, wychodzące na gościniec, drzwi bowiem były zamknięte od zewnątrz. Kroff wyłamał je przecież w obecności i przy pomocy Broksa.

Kroff na zadawane pytania odpowiadał bardzo spokojnie i stanowczo.

Po dokładnym obejrzeniu ofiary i całego pokoju wszyscy udali się na podwórze, chcąc obejrzeć dom z zewnątrz. Przedewszystkiem skierowali się do okna pokoju, w którym nocował Poch. Od pierwszego rzutu oka zauważyli, że prawa okiennica była wyłamana, prawdopodobnie przy pomocy

jakiegoś drąga. Haczyk żelazny był też wyrwany gwałtownie. Szczątki stłuczonej szyby leżały na ziemi. Morderca oczywiście wybił tę szybę, przesunął ramię do wnętrza pokoju i otworzył okno.

Dokoła domu widać było liczne ślady stóp, które na wilgotnej ziemi odcisnęły się doskonale. Ślady te jednak krzyżowały się ze sobą i przedstawiały kształty tak dziwaczne, że za wskazówkę dla policyjki służyć nie mogły. Pochodziło to ztąd, że dnia poprzedniego, jeszcze przed przybyciem agentów, mnóstwo ciekawych krążyło dokoła szynku, czemu Kroff przeszkodzić nie mógł.

Następnie sędzia i major Verder podeszli do okna pokoju, gdzie nocował nieznajomy. Nie przedstawiał nic podejrzanego. Okiennice zamknięte były szczelnie. Przy dokładniejszych jednak oględzinach urzędnicy zauważyli w niektórych miejscach rysy na ścianie. Były to, jakby ślady butów człowieka, wykradającego się przez okno.

Postanowiono obejrzeć ten pokój z wewnątrz. Drzwi były otwarte. Na progu stał policyjant. Mrok panował zupełny. Major Verder podszedł do okna, otworzył je, podniósł haczyk, przytrzymujący zawiasy okiennic, które w jednej chwili rozwarły się szeroko, wpuszczając do pokoju snop dziennego światła. Łóżko nie zasłane, na stoliku ogarek świeczki łojowej, dwa krzesła drewniane, na kominku trochę popiołu i parę niedopalonych główki, stara szafa z pustymi szufladami – oto co ujrzeli przedstawiciele władzy. Żadnej wskazówki, prócz rysów na ścianie zewnętrznej.

I to jednak stanowiło dowód niemałej wagi:

Przeszukano następnie pokój Kroffa, podwórko i ogród, lecz nigdzie nic podejrzanego nie zauważono.

Utwierdziło to wszystkich w mniemaniu, że morderca wdarł się do pokoju inkasenta przez okno, wychodzące na gościniec.

Wreszcie sędzia Kerstorf przystąpił do badania oberżysty. Umieścił się w sali restauracyjnej za dużym stołem. Obok niego zajął miejsce pisarz, a nieco dalej, w około stołu zasiedli doktor Paulin i bankier Johansen, ciekawi zeznań szynkarza. Kroff odpowiadał jasno i bez namysłu.

– Panie sędzio – mówił głosem spokojnym, przedwczoraj wieczorem, około godziny ósmej, dwaj podróżni przybyli do mego zajazdu, żądając noclegu. Jeden z nich kulał lekko, w drodze bowiem karetka się przewróciła i stłknął sobie nogę...

– Byłto Poch, inkasent z banku Johansenów, nieprawdaż?...

– Tak... sam mi to wkrótce powiedział, dodając przytem, że gdyby nie wypadek w podróży byłby wraz ze stangretem i konduktorem tej samej nocy pojechał do Parnawy... Co za szkoda, że się stało inaczej... Broksa tego wieczoru nie widziałem wcale... Miał przybyć zaledwie rano ze stelmachem i po naprawieniu karetki zabrać Pocha i nieznajomego

– Czy Poch nie mówił po co jedzie do Rewla? – badał sędzia.

– Nie. Kazał mi tylko podać kolację i zajał z wielkim apetytem... Było już około dziesiątej, gdy poszedł do swego pokoju, który zamknął od wewnątrz na klucz i na zasuwkę.

– Co robił drugi podróżny?

– Drugi podróżny udał się natychmiast na spoczynek i nie chciał się niczem posilić. Odchodząc uprzedził mnie, że na powrót konduktora czekać nie będzie lecz wstanie o godzinie czwartej i pójdzie do Parnawy pieszo.

– Czy nie wiesz, kto to był?

– Nie, panie sędzio, I Poch nie wiedział o tem. Podczas kolacyi opowiadał mi, że w przeciągu całej podróży nie mógł wyciągnąć od swego towarzysza ani pięciu słów... Podobno cały czas siedział otulony kapturem w rogu karetki, jakgdyby nie chciał być poznanym. Ja również nie przyjrzałem mu się wcale i z pewnością nie byłbym go poznał, gdybyśmy się jeszcze spotkali.

– Kto był jeszcze w szynku, gdy przybyli obaj podróżni?

– Kilku okolicznych włościan i drwali, następnie podoficer Eck ze swym pomocnikiem.

– A, – przerwał bankier, – był Eck!... Zdaje mi się, że on znał Pocha.

– Istotnie. Rozmawiali ze sobą podczas kolacyi.

– A potem wszyscy się rozeszli?... badał dalej sędzia.

– Tak jest. Około w pół do dziewiątej – odparł Kroff. – Wtedy zaryglowałem drzwi od wewnątrz i zamknąłem je na klucz.

– Czy nie można ich było otworzyć od zewnątrz?

– Nie, panie sędzio.

– Od wewnątrz zaś mógłby otworzyć tylko ten, kto posiadał klucz?

– Tak jest.

– Z rana więc znalazłeś drzwi zamknięte?

– Tak jest. O czwartej rano nieznajomy wyszedł ze swojego pokoju, Z latarką odprowadziłem go do drzwi. Zapłacił mi rubla... Tak samo jak dnia poprzedniego kaptur zasłaniał mu twarz całkowicie... Otworzyłem drzwi, a potem zaryglowałem je znowu.

– Czy nie powiedział, dokąd się udaje?

– Nie.

– W nocy nie słyszałeś żadnego hałasu?

– Nie.

– Jak ci się zdaje, czy zbrodnia była już spełnioną, gdy nieznajomy opuszczał oberżę?

– Przypuszczam, że tak.

– Co robiłeś po odejściu nieznajomego?

– Wróciłem do swego pokoju i w ubraniu rzuciłem się na łóżko, chcąc doczekać wschodu słońca, zdaje mi się jednak, że nie usnąłem wcale...

– Mógłbyś więc usłyszeć, gdyby się coś niezwykłego działo w sypialni Pocha?

– Z pewnością. Pokój mój bowiem, aczkolwiek wychodzący na ogród, znajduje się obok pokoju gościnnego. Stanowczo, gdyby się w tym czasie rozgrywała jakaś walka między Pochem a jego mordercą, byłbym dosłyszał hałas...

– Lecz walki nie było wcale – przerwał major Verder.– Śmierć nastąpiła odrazu, od jednego uderzenia!

Według wszelkiego prawdopodobieństwa zatem przestępstwo spełnione zostało przed odejściem nieznajomego. Pewności absolutnej jednak nie było, między czwartą bowiem a piątą rano noc jest jeszcze bardzo ciemna, a wycie wichru i szalejąca śnieżycą stanowiły bardzo sprzyjające warunki dla zbrodniarza.

Kroff na wszystkie pytania odpowiadał ze spokojem najzupełniejszym. Widać było, że nawet na myśl mu nie przychodzi, iż może być posądzony o morderstwo. Zresztą wyłamana okiennica i rozbita szyba dowodziły chyba wymownie, że złoczyńca wdarł się do pokoju Pocha od zewnątrz, zamordował inkasenta, zabrał pieniądze i umknął tą samą drogą.

– Czy pewny jesteś, – pytał dalej sędzia, – że gdyście wyłamali drzwi, Poch już nie żył?

– Najpewniejszy – odparł Kroff z pewnym wzruszeniem w głosie. – Obaj z Broksem robiliśmy wszystko, co było możliwe, aby nieszczęśliwego przywołać do życia... Lecz starania nasze były daremne... I nic dziwnego!... Takie pchnięcie w samo serce!...

– Czy nie znaleźliście przypadkiem tego noża?...

– Nie. Złoczyńca musiał go zabrać z sobą. Jakże mógł zostawiać podobny dowód?!...

– Twierdzisz więc – zaczął znowu urzędnik, że pokój Pocha zamykał się od wewnątrz?...

– Tak jest... na klucz i na zasówkę – odparł Kroff. – Poświadczyć to może i Broks, który pomagał mi przy wyłamywaniu drzwi...

– Broks następnie odjechał do Parnawy?

– Tak jest, panie sędzio... śpieszył bardzo, chcąc jak najprędzej zawiadomić policję, która

przysłała tutaj dwu agentów...

– Broks nie wrócił dotąd?...

– Nie. Ma przybyć dzisiaj rano, sądzi bowiem, że zeznania jego potrzebne będą przy śledztwie.

– Dobrze – odparł sędzia Kerstorf – możesz odejść, lecz nie oddalaj się z oberży... Musisz się stawić na każde nasze zawołanie...

– Dobrze, panie sędzio.

Kerstorf zapytał go jeszcze o imię, nazwisko, wiek, zajęcie. Odpowiedzi jego pisarz wciągnął do protokołu.

Wkrótce potem nadjechał Broks. Był to drugi świadek i zeznanie jego miało niemniejszą wagę od zeznań Kroffa. Konduktora wprowadzono do sali niezwłocznie. Po zwykłych pytaniach, odnoszących się do wieku, nazwiska i t. p. przystąpiono zaraz do badania. Broks opowiedział szczegółowo o spotkaniu z Pochem na stacyi pocztowej w Rydze, o przybyciu nieznanego, o jego tajemniczości, o rozmowie w podróży, o wypadku z karetą i o decyzji Pocha przenocowania w szynku „Pod złamanym hakiem”... Następnie rozwodził się szeroko nad swym powrotem z Parnawy następnego ranka, nad wyłamaniem drzwi, nad przerażeniem, jakiego doznał na widok spełnionej zbrodni... Słowa jego zgadzały się najzupełniej ze słowami Kroffa i potwierdzały ich doniosłość... Ogromny nacisk w swym opowiadaniu kładł na ten szczegół, że w drodze Poch niejednokrotnie odzywał się o wartości swego pugilaresu, pokazując go ostentacyjnie, tak że zwrócić to mogło uwagę nietylko tajemniczego nieznanego, lecz i poczytyljonów... Broks parę razy przestrzegał przyjaciela, lecz daremnie...

– Czy nie domyślasz się, kto to ten nieznanomy?

– Nie. Nie znam go wcale. Zresztą nie mogłem mu się przyjrzeć wcale, tak był osłonięty kapturem.

– Przybył na stacyę w chwili odjazdu?

– Parę minut przedtem.

– Czy miał już miejsce zamówione?

– Nie, panie sędzio.

– Czy jechał do Rewla?

– Wziął bilet do Rewla. To jedno mogę powiedzieć.

– Czy wiedział o tem, że nazajutrz rano wrócisz ze stelmachem?

– Tak, panie sędzio.

– Pomimo to jednak opuścił szynk o czwartej rano?

– To też zdziwiłem się niepomnie, gdy Kroff mi powiedział, że tej tajemniczej figury od paru godzin już nie ma...

– Jaki stąd wniosek wyprowadziłeś?

– Oczywiście ten, że miał zamiar zatrzymać się w Parnawie, a ponieważ od miasta dzieliło go zaledwie wiorst dziesięć, postanowił przebyć je pieszo...

– W takim razie to bardzo dziwne, że nie pojechał z wami w nocy – zauważył Kerstorf.

– Istotnie, panie sędzio – odparł Broks – i mnie to samo pytanie przychodziło na myśl...

Indagacja była skończona. Broks opuścił salę.

Po jego wyjściu major Verder zwrócił się do doktora Paulina:

– Możebyś pan chciał raz jeszcze zbadać zwłoki ofiary?

– Byłoby to zupełnie zbyteczne, panie majorze. Uwagi swoje wciągnąłem już do protokołu.

– Czy mogę zatem wydać rozporządzenie – odezwał się bankier, ażeby zwłoki biednego Pocha przewiezione zostały do Rygi i pogrzebane.

– Możesz pan – odparł sędzia.

– Zadanie nasze skończone. Możemy się zatem wybierać w drogę?...

– Tak – odparł major. Niestety, nie ma już więcej środków!...

– Przedtem jednak – przerwał sędzia – pragnąłbym raz jeszcze obejrzeć pokój nieznanego... Może tym razem będziemy szczęśliwsi i znajdziemy jakieś wskazówki, które uszły naszej uwagi...

Po raz drugi więc udali się wszyscy do pokoju, który zajmował tajemniczy podróżny... Kroff poszedł również... Sędzia miał zamiar przeszukać starannie w popiele i w tym celu zbliżył się do pieca. Nagle wzrok jego padł na stojący w kącie żelazny pogrzebacz... Wziął go do ręki i zauważył, że haczyk był nieco skrzywiony, jak gdyby od silnego uderzenia... Czyżby więc to był ów drąg, zapomocą którego zbrodniarz wyłamał okiennicę!... Przypuszczenie powyższe miało wszelkie pozory prawdopodobieństwa... Zestawiając je z rysami na ścianie zewnętrznej łatwo można było przyjść do wniosku, że poszlaki przeciwko nieznanemu są dosyć ciężkie. Nic dziwnego zatem, że Kerstorf od razu sformułował w myśli akt oskarżenia i skoro się tylko znaleźli poza progiem oberży, zwrócił się do towarzyszy podróży ze słowami:

– Zbrodnię mógł popełnić albo jakiś przechodzień, albo szynkarz, albo tajemniczy podróżny...

– Otóż skrzywiony pogrzebacz i rysy na ścianie zewnętrznej usuwają wszelkie wątpliwości.

Nieznajomy wiedział, że pugilares Pocha zawiera sumę bardzo znaczną. W nocy otworzył okno od swego pokoju, wyskoczył, przy pomocy pogrzebacza wyłamał okno w sypialni inkasenta, zabił śpiącego, wyjął z pod poduszki pugilares, zabrał pieniądze, poczem tą samą drogą wrócił do swego pokoju, skąd wyszedł za ledwie o czwartej rano, otuliwszy się poprzednio jaknajstaranniej kapturem. Nikt inny tylko nieznajomy jest mordercą...

Przeciwno argumentacyi tak logicznej nie protestował nikt. Kto to był jednak ten tajemniczy podróżny i gdzie się znajdował obecnie?...

– Panowie – rozległ się wreszcie donośny głos majora Verdera – rozumowanie sędziego Kerstorfa jest najzupełniej słuszne... prawdopodobnie wszystko się odbyło w ten sposób, jak nam mówił przed chwilą... Wiem jednak z doświadczenia, że sprawy kryminalne, kryją w sobie zazwyczaj dużo niespodzianek... i że nigdy się nie jest dosyć ostrożnym... Z tego powodu zamykam pokój nieznajomego, klucz zabieram ze sobą, a w oberży zostawiam dwu agentów, którym polecę ścisły nadzór nad Kroffem.

Przezorność ta zyskała uznanie ogólne, poczem major wydał odnośne rozporządzenia...

Zanim podeszły konie, bankier Johansen odprowadził sędziego nieco na stronę i rzekł:

– Mam panu jeszcze coś do zakomunikowania...

– Co mianowicie?

– Otóż zanotowałem numery biletów okradzionych... Poch miał ze sobą sto pięćdziesiąt banknotów...

– A masz pan numery! – przerwał sędzia z widocznym zadowoleniem.

– Tak, to mój zwyczaj, od którego nie odstępuję nigdy... Jak pan uważasz, możeby zawiadomić wszystkie banki prowincjonalne?

– Mojem zdaniem na razie nie czyni pan nic podobnego... – odparł Kerstorf – mógłby się o tem dowiedzieć morderca i zemknąć zagranicę... tam znalazłby zawsze jakąś miejscowość, gdzieby dane bilety mógł zmienić... Zamilczając zaś o numerach, pozostawiamy mu wszelką swobodę działania... Może w ten sposób uśpimy jego czujność... i łatwiej dostaniemy w swe ręce...

W kilka chwil później powóz unosił przybyłych w kierunku Rygi.

„Pod złamanym hakiem” prócz Kroffa pozostali jeszcze dwaj agenci, którym major nakazał surowo nie spuszczać oka z oberżysty i nie oddalać się z zajazdu pod żadnym pozorem.

Rozdział VIII

W Dorpacie.[3]

Szesnastego kwietnia, t. j. nazajutrz po śledztwie w oberży Kroffa, na dziedzińcu uniwersyteckim w Dorpacie ludno było i gwarno. Studenci w długich butach i barwnych czapeczkach przechadzali się grupami, rozprawiając ze sobą z niezwykłym ożywieniem.

– Co do mnie – mówił jeden – odpowiadam za świeżość szczupaków, złowionych dzisiejszej nocy... Kilki pochodzą z wyspy Ozylii. Zapłaciłem za nie drogo, lecz łeb urwę każdemu, ktoby wątpił, że są przewyborne... szczególnie przy kminkówce.

– A ty, Zygfrydzie?...–zwrócił się najstarszy ze studentów do młodego blondyna.

– Ja – odparł hardo zapytany – postarałem się o zwierzynę. Ostrzegam, że każdy kto skrytykuje jarzabki i cietrzewie mieć będzie do czynienia ze mną!

– Ja zaś – wtrącił trzeci – odpowiadam za doskonałość szynki i „pierogów”... Niech zginę, jeżeli ktokolwiek i kiedykolwiek spożywał lepsze! Polecam ci je specjalnie, kochany Karolu!...

– Bardzo dobrze – odezwał się Karol...–

– Uczymy zatem święto uniwersyteckie godnie... Jeden tylko stawiam warunek, a mianowicie: wyłączyć musimy z uroczystości wszystkich Rosyan i Łotyszów...

– Za naszym siołem nie znajdzie się nigdy żaden z tych zuchwalców, którzy już zbyt wysoko zadzierają nosa! – zawołał Zygfryd.

– Potrafimy ich zepchnąć na stanowisko właściwe! – przerwał Karol. – Przedewszystkiem zaś rozprawić się należy z tym sławnym Janem, który od pewnego czasu zaczyna grać rolę przewodcy... Przeczuwam, że lada chwila dojdzie między nami do jakiegoś starcia... Nie wyjechałbym spokojnie z Dorpatu, gdybym go przedtem nie upokorzył i to w obec wszystkich Niemców, na których zdaje się spoglądać z góry!...

– Nie więcej wart i jego zacny przyjaciel Leja! – dorzucił Zygrfyd, wygrażając pięścią w stronę przechadzających się Łotyszów.

– Leja i wszyscy inni, którzy się porywają do walki z nami!...– wołał rozgorączkowany Karol.– Nic nie szkodzi!... Przekonają się wkrótce, co to jest mieć do czynienia z wielkim narodem germańskim... Zmiażdżymy ich bez litości!...

Karol, wywierający wielki wpływ na kolegów, był synem bankiera Franciszka Johansena. Za kilka miesięcy kończył studia uniwersyteckie i wracał do Rygi, gdzie miał objąć miejsce w banku ojca i stryja. Młodzieniec ten, silnie zbudowany, o śmiałym, twardym spojrzeniu i rudo blond włosach, odznaczał się charakterem energicznym, mściwym, zuchwałym i nie cofał się nigdy przed niczem.

Jan zaś był synem Matjasa Ozolina. Od paru lat zaledwie studyował prawo w uniwersytecie dorpackim.

Leja był serdecznym przyjacielem Jana, a Zygfryd Karola.

Dorpat, założony w r. 1133 przez Jarosława ruskiego, dostał się następnie pod panowanie Kawalerów Mieczowych. Wkrótce jednak wybuchło powstanie Czudów estońskich, którzy przy pomocy Rusi odebrali Dorpat od Niemców. Lecz już w roku następnym 1225, biskup ryski Albert pokroził Czudów, zdobył znowu Dorpat i założył w tym mieście biskupstwo, które istniało niezależnie przez lat 314. Jest to najświetniejsza epoka w historii Dorpatu. Biskupi nie mieszały się do zarządu wewnętrznego, poprzestając na pobieraniu daniny. Miastem rządził magistrat. Dorpat należał wtedy do związku hanzeatyckiego i był składowym miejscem towarów przywozowych i wywozowych w handlu z Rusią. Posiadał warsztaty do budowy statków. Biskupi wszczynali zatargi z sąsiadami: z Rusią, z Zakonem Krzyżackim, z biskupami Rygi. W 1481 r. wtargnął do Inflant w. ks. moskiewski Iwan Wasilewicz i zmusił biskupa dorpackiego do płacenia daniny. Zawarto rozejm 50 letni. W tym czasie zaczęła się w Inflantach szerzyć reformacja. Po krótkiej walce zaprowadzono wyznanie luterskie, ale biskup przy władzy świeckiej pozostał z warunkiem zachowania tolerancji religijnej. Gdy upłynął termin rozejmu, car moskiewski, Iwan Groźny, wkroczył do Inflant i po 6-cio tygodniowym oblężeniu zdobył Dorpat, który pozostawał pod władzą carów przez lat 24 i utracił dawne znaczenie. Część Niemców została uprowadzona do niewoli w głąb Rosyi. Wreszcie szlachta inflancka porozumiała się z Polską. Przy pomocy wojska polskiego mieszkańcy opanowali Parnawę i Dorpat. Iwan przez zemstę spustoszył całe Inflanty. Lecz na mocy traktatu, zawartego w r. 1582 ze Stefanem Batorym, ustąpił Dorpat Polsce. Wtedy Jezuita założyli tam kolegium, a sławny ksiądz Piotr Skarga miewał kazania. W czasie wojny między Zygmuntem III-im Wazą, a Karolem IX o następstwo tronu szwedzkiego, Szwedzi zdobyli Dorpat szturmem. Odzyskał go Karol Chodkiewicz w 13 lat później. Na krótko jednak, bo już w 1625 roku zagarnął Inflanty z Dorpatem Gustaw Adolf. Dorpat pozostawał w rękach Szwedów aż do r. 1701, kiedy przeszedł pod panowanie Rosyi, za rządów cara Piotra I-go.

Największą ozdobą miasta stanowi kościół starożytny z XIII w., tak zwany *Dom*, zbudowany na górze tegoż nazwiska. Część jego spoczywa w gruzach, w drugiej zaś mieści się biblioteka uniwersytecka. Na górze, zasadzonej drzewami i ozdobionej alejami istnieją ślady dawnych bastyonów. Do piękniejszych gmachów należy ratusz i uniwersytet, wielki dwupiętrowy budynek ze wspaniałym frontonem i kolumnadą. W ogólności Dorpat wyglądem, językiem, obyczajami, przypomina miasta niemieckie, te zwłaszcza, które wzrost swój i cywilizację zawdzięczają uniwersytetom. Główny przedmiot handlu stanowi len. Do osobliwości miasta należy jeszcze ogród botaniczny.

Uniwersytet, założony przez Gustawa Adolfa w 1632 r., liczy około 900 studentów. Dzieli się oni na korporacje, względem siebie usposobione dosyć wrogo. W korporacji łotewskiej, najmniej licznej, pierwszorzędną rolę odgrywał Jan Ozolin. On był najczęściej rozjemcą w sporach

koleżeńskich, on występował jako reprezentant korporacji w stosunkach z władzą uniwersytecką.

Tego samego dnia, gdy Niemcy z Karolem Johansenem na czele rozprawiali głośno o jutrzejszej uroczystości, w drugiej części dziedzińca zgromadzili się Łotysze.

Między nimi wyróżniał się młodzieniec może dwudziestoletni, wysoki, silnie zbudowany, o śmiałych, żywych oczach. Mały wąsik zdobił mu usta. Piękna, myśląca twarz na pierwszy rzut oka budziła szmpatję ogólną.

Był to Jan Ozolin, uderzająco podobny do siostry. Oboje nad wiek poważni i obowiązkowi odznaczali się patryotyzmem gorącym. Jan był na drugim roku prawa.

Leja pochodził z zamożnej rodziny estońskiej, zamieszkałej w Rewlu. Chociaż o rok starszy od Jana, daleko mniej umiał panować nad swą naturą żywą i gwałtowną. Lekkomysłny, zapalony do ćwiczeń sportowych, miał dobre serce i niezwykle prawy charakter. Jan mógł na niego liczyć w zupełności i niejednokrotnie powstrzymywał jego wybuchy.

– Tak! – wołał Leja – ci wstrętnei Niemcy chcą nas wyłączyć od udziału w święcie uniwersyteckim... Nie przyjęli składki... uważają za ubliżenie trącić się z nami kieliszkiem... Niech się strzegą jednak... bo ucza ich może się łatwo przerwać przed końcem!...

– Postąpili niegodziwie! – przerwał Jan – przyznaję... Czyż warto jednak szukać z nimi sprzeczki? ... Usunęli nas ze swego koła... bardzo pięknie!... Możemy się zebrać osobno i na własną rękę urządzić bibę... Zaręczam, że bez nich czas nam upłynie przyjemniej...

Żywy jak ogień Leja nie dał się przekonać. Pójść za radą Jana zdawało mu się ustępstwem, tchórzostwem. Unosił się coraz więcej.

– Och, wołał – wiemy dobrze, iż jesteś uosobieniem rozsądku... O twojej odwadze również nikt nie wątpi... Co do mnie, rozsądnym nie jestem wcale i nawet być nim nie chcę!... Uważam, że postępowanie Karola Johansena i całej jego paczki obraża nas wszystkich i dłużej czegoś podobnego nie ścierpię...

– Zostaw Karola w spokoju... przerwał Jan – to Niemiec!... Cóż nas jego czyny i słowa obchodzić mogą?!... Za kilka miesięcy obaj wyjedziecie z Dorpatu i, prawdopodobnie, drogi wasze więcej się nie spotkają...

– To bardzo możliwe, mądry Nestorze! – odciął się Leja. – Pozazdrościć ci takiego panowania nad sobą!... Oświadczam jednak wobec wszystkich tu zgromadzonych, że nie wyjadę z Dorpatu, zanim temu przekłębtemu Niemcowi nie dam dobrej nauczki!...

– Zrobisz jak zechcesz – uspakajał go Jan. – Obiecay mi tylko że dzisiaj nie będziesz szukał zaczepki bez powodu.

– Bez powodu!... – przerwał gwałtownie Leja. – Ależ powodów mam tysiące: wstrętna, wyzywająca mina, zachowanie się pełne zuchwałości, wzrok pogardliwy, postawa pełna wyższości, którą przybiera zawsze, nawet wobec swych rodaków, uważających go za głowę korporacji –

wszystko to działa mi na nerwy i razi niesłychanie!

– Daj pokój żartom, Leja! – oświadczył Jan, biorąc przyjaciela pod rękę. – Nie bądź dzieckiem! Niema jeszcze powodu do wyzwania!... Inna rzecz, gdyby nas spotkała zniewaga bezpośrednia... o, w takim razie nie oglądałbym się na nic i na nikogo... możesz być pewnym!...

– Staniemy za tobą wszyscy!... – rozległo się naraz kilkanaście głosów.

– Wierzę ci, Janie... – odezwał się znowu Leja – niemniej dziwię się twej pobłażliwości...

– Co chcesz przez to powiedzieć?...

– Chcę powiedzieć, że oprócz powodów natury ogólniejszej, odnoszących się do spraw uniwersyteckich, masz jeszcze powody do urazy inne, czysto osobiste!...

Wszyscy zrozumieli przymówkę Leja, rywalizacja bowiem między Franciszkiem Johansenem a Matiasem Ozolinem znaną była powszechnie. Jan pobrał i zmarszczył brwi. Wzrok jego rzucał płomień. Spojrzał z niechęcią na stojącego w pobliżu Karola, lecz na razie nie wyrzekł słowa.

– Nie mówmy o tem, Leja, – odezwał się po chwili głosem drżącym od tłumionego wzruszenia. Do naszych sporów nie płacę nigdy imienia Franciszka Johansena... Oby się i Karol trzymał zawsze tej zasady!... Gdybyś się kiedyś zapomniał...

– Jan ma słuszość!, – przerwał jeden ze studentów. Nie troszczmy się o to, co się dzieje w Rydze, a myślmy tylko o sprawach dorpackich.

– Przedewszystkiem – oświadczył Jan, nie uprzedzajmy wypadków! Zobaczmy, jak się to wszystko ułoży...

– Sądysz zatem – przerwał inny z kolegów, że nie powinniśmy protestować wcale przeciwko zachowaniu się korporantów niemieckich wogóle, a Karola Johansena w szczególności?...

– Myślę, że powinniśmy udawać obojętność najzupełniejszą!

– Niech i tak będzie! – zgodził się Leja bez przekonania. – Zobaczmy jednak, co na to powiedzą koledzy inni... Przecież wszyscy są wściekli... zapewniam cię, Janie...

– Dzięki tobie!...

– Mylisz się! Uprzedzam cię, że jedno spojrzenie wzgardliwe, jedno słowo niebaczne wystarczy, aby rzucić zarzewie... .

– Ba, – przerwał Jan, – lecz pożaru nie będzie, bo materiały wybuchowe zatopimy w szampanie!

...

Tak przemawiał najrozważniejszy z młodych Łotyszów... Czy jednak wszyscy będą równie rozsądni?... Czy usłuchają dobrej rady?... A gdyby się nawet zachowali spokojnie, czy nie należało

się obawiać prowokacji ze strony Niemców?...

Tak samo widocznie rozumował i rektor, czas jakiś bowiem namyślał się nad tem, czy nie lepiej byłoby zabronić obchodu uroczystości dorocznej. Lecz rozporządzenie podobne wywołać mogło skutki wręcz przeciwne i przyśpieszyć wybuch. Nienawiść narodowościowa, która ogarnęła warstwy szerokie, zagnieździła się na dobre w uniwersytecie. Wszystkie umysły zajęte były politykowaniem.

Po długich namowach udało się wreszcie Janowi przekonać kolegów, że nie powinni wcale zakłócać uroczystości, o ile ostatecznie nie zmusi ich do tego zniewaga bezpośrednia lub prowokacja. Uczta miała się odbyć o godzinie czwartej po południu. Od samego rana jednak tłumy zaległy dziedziniec uniwersytecki. Wykładów dnia tego nie było. Nastrój panował ciężki, niepokojący. Każdy wyczekiwał czegoś nieprzewidzianego, jakiegoś zakazu lub wybuchu sprzeczeki.

Jan i Łotysze trzymali się nieco na osobności, od czasu do czasu jednak mijali się z Niemcami. Wtedy wrogie spojrzenia krzyżowały się ze sobą, jak ostrza stali.

Katastrofa wisiała w powietrzu.

– Wreszcie rozległ się dzwonek, wzywający na ucztę. Wszyscy studenci Niemcy z Karolem na czele skierowali się do wielkiej sali amfiteatralnej, gdzie stół był zastawiony najrozmaitszymi przysmakami.

Na dziedzińcu pozostał tylko Jan Ozolin, Leja i kilkudziesięciu Łotyszów. Nic ich tu nie zatrzymywało, a jednak rozejść się do domów nie chcieli. Zdawało się, że jakaś siła magnetyczna przykuła ich do ziemi. Niektórzy przechadzali się w milczeniu, od czasu do czasu tylko zatrzymując się przed otwartymi oknami sali, skąd dochodziły ich hałaśliwe okrzyki i wiwaty.

Tak upłynęło minut dwadzieścia.

Jan spróbował raz jeszcze odwołać się do rozsądku kolegów.

– Idźmy!... – rzekł głosem stłumionym.

– Nie! – odparł Leja.

– Nie... nie... – powtórzyli za nim inni.

– Dlaczego nie chcecie odejść ze mną?

– Chcemy wysłuchać wszystkiego, co ci pijani Niemcy mówić będą, a gdyby się nam ich słowa nie spodobały, pójdziemy z tobą, ale do nich!

– Chodź, Leja – nastawał Jan – proszę ciebie!

– Zaczekaj chwilę – odparł zacięty chłopak, – a ręczę, że zmienisz zdanie!

Z sali dochodziły echa coraz większej wrzawy, szmer ochrypłych głosów, stuk szklanek i

kieliszków, coraz nowe okrzyki i wiwaty. Wreszcie rozległy się dźwięki monotonej, uroczystej pieśni, tak popularnej w uniwersytetach niemieckich:

Gaudeamus igitur,

Juvenes dum sumus!

Post jucundam juventutem,

Post molestam senectutem

Nos habebit humus![4]

Nagle silny i dźwięczny głos Leja zaintonował:

„O cudna Rygo, miasto rodzinne!... Synowie twoi jęczą w niewoli... Lecz przyjdzie chwila odwetu Łotyszów... Odzyskać musimy swe zamki, swe pola. I Niemcy zatańczą przy blasku pożarów... Na gruzach swej dawnej wielkości...”

Chór przyjaciół podtrzymał śpiewaka. I rozbrzmiał szeroko ten hymn gorący, patryotyczny, jakby zagrzewając do boju niewolników przeciw odwiecznemu wrogowi...

Nagle drzwi sali rozwarły się z hałasem. Setka rozwścieczonych Niemców wyskoczyła na dziedziniec, otaczając grupę Łotyszów, w której środku stał Jan Ozolin, blady, ze wzrokiem płonącym, i już zupełnie bezsilny w obec nieprzewidzianego obrotu, jaki przybrały rzeczy.

Z głębi sali dochodził wrzask, prawie wycie biesiadników, pragnących za jaką bądź cenę tonami „Gaudeamus” zagłuszyć hymn narodowy łotewski.

Wśród ogólnego zamętu Zygryd i Leja znaleźli się nagle naprzeciwko siebie. Oczy ich gorzały nienawiścią. To oni więc rozstrzygnąć mieli walkę dwu wrogich narodowości?! Czyż jednak towarzysze potrafią się zachować biernie?... czy rozprawa dwu jednostek nie zakończy się bójką powszechną?...

Należało się tego obawiać. Przerażony rektor wraz z kilku profesorami wybiegł na dziedziniec, pragnąc pogodzić zwaśnione obozy. Lecz wszelkie usiłowania spęły na niczem. Słowa rozsądku przebrzmiewały bez echa. Łotysze, chociaż przedstawiali mniejszość olbrzymią, nie ustępowali ani na krok.

Nagle Zygryd rzucił szklanę piwa w twarz Leja.

Było to hasłem do walki.

Na schodach ganku ukazał się Karol Johansen.

Koledzy się rozstąpili, a on z głową dumnie podniesioną skierował się do grupy, gdzie stał Ozolin. Był zupełnie spokojny, lecz twarz jego wyrażała tyle pogardy, tyle nienawiści, iż nikt nie wątpił, że

ma zamiar rzucić przeciwnikowi jakąś krwawą obelgę.

Zapanowała cisza. W nastroju ogólnym czuć było pewność, iż spór waśniący oddawna dwie korporacje wybuchnie za chwilę w formie gwałtownego starcia przywódców.

Leja, nie myśląc już o odwecie, zagroził drogę Karolowi.

Jan usunął przyjaciela łagodnie.

– To moja sprawa – rzekł stanowczo, wysuwając się naprzód.

Koledzy chcieli go powstrzymać.

– Odejdźcie – rzekł – nie tracąc zimnej krwi.

– Nie możesz mi przeszkodzić – wołał Leja w przystępie gniewu.

– Ja tego chcę – oświadczył Jan, głosem nie znoszącym opozycji.

Potem, zwracając się do tłumu Niemców, zawołał:

– Jest was tutaj kilkuset, a nas tylko pięćdziesięciu... Możecie napadać... od walki się nie usuwamy... lecz pamiętajcie, że zwycięstwo wasze okupione będzie podłością...

Okrzyki wściekłości były odpowiedzią.

Karol skinął, że prosi o głos.

Nastąpiła znowu cisza głęboka.

– Zrzuciliście nam podłość!... dobrze!... Czy znajdzie się wśród was choć jeden, co się ośmieli wystąpić do walki ze mną!...

– My wszyscy! – zawołali chórem Łotysze.

– To moja rzecz! – wykrzyknął Jan. – Karol szuka zaczepki i ja go wyzywam!...

– Ty!?! – zawołał Karol z pogardą.

– Tak, ja!... Szukaj świadków. Ja już mam swoich!

– Ty... ty się chcesz bić ze mną?...

– Tak... jutro... Zresztą natychmiast, jeżeli jesteś gotów.

Pojedynki w uniwersytetach niemieckich zdarzają się bardzo często. Zwierzchność nie przywiązuje do tego zbyt wielkiej wagi, kończą się bowiem najczęściej lekkim zadraśnięciem skóry. Tym razem jednak można się było obawiać katastrofy, wobec znanej nienawiści przeciwników.

Karol skrzyżował ręce na piersiach i wzrokiem pogardliwym zmierzył Jana od stóp do głowy.

– Ha, ha! – zaśmiał się jakimś śmiechem złowieszczym – więc masz już świadków!...

– Tak. Oto oni – odparł Jan, wskazując na Leja i stojącego obok Łotysza.

– I sądzisz, że oni zechcą być twymi sekundantami?

– Naturalnie, że chcemy! – krzyknął Leja.

– Ale ja, Karol Johansen, nie przyjmę nigdy pojedynku z Ozolinem!

– Dlaczego?

– Bo nikt się nie bije z synem mordercy!...

Rozdział IX

Oskarżenie.

Dnia poprzedniego w Rydze już od rana rozeszła się wiadomość o zbrodni w szynku „*pod złamanym hakiem*”. Ofiara jej, inkasent Poch, lubiony był i znany powszechnie. Widywano go codziennie, jak szedł z torebką w rękę, trzymając pod pachą pugilares przytwierdzony do pasa za pomocą miedzianego łańcuszka, raniutko po odbiór należności firmy. Wesoły, usłużny nie miał wcale nieprzyjaciół, nie naraził się nigdy nikomu.

Dzięki pracowitości i systematycznemu trybowi życia uciulał sobie mały fundusik i mógł wreszcie pomyśleć o założeniu domowego ogniska. Długie narzeczeństwo z Zofją Adelin miało się zakończyć ślubem w dniu 18-go kwietnia. Na uroczystość weselną były już zaproszone obie rodziny, wszyscy znajomi i przyjaciele. Państwo Johansenowie również mieli być obecni. I nagle pan młody pada pod sztyletem mordercy...

O strasznym tym ciosie biedna Zofja dowiedziała się zupełnie niespodziewanie, bez przygotowania. Przeglądając dziennik natrafiła na lakoniczną depezę z Parnawy, pomieszczoną w kronice wypadków. Straciła przytomność pod wpływem hiobowej wieści. Sąsiedzi zbiegli się na pomoc, i przywołali do życia. Znajomi otoczyli ją współczuciem, zasypywali serdecznymi słowami, lecz nieszczęśliwa kobieta wyglądała zupełnie złamana.

Imię mordercy pokrywała dotąd tajemnica najgłębsza. Wszyscy się spodziewali, że śledztwo w szynku „*pod złamanym hakiem*” wykryje ślady złooczyńcy, którego cały ogół potępiał z oburzeniem najwyższym. Wszyscy twierdzili, że powinna spotkać go kara jaknajśroźsza – ciężkie roboty w kopalniach syberyjskich.[5]

Tymczasem zwłoki inkasenta przewieziono do Rygi. Pan Franciszek Johansen postanowił urządzać wspaniały pogrzeb na koszt firmy.

16-go kwietnia rano major Verder stawiał się w kancelaryi policmajstra, pułkownika Ragenowa, który go wyczekiwał z niecierpliwością. Najlepsi agenci gotowi już byli do drogi. Władze bowiem pragnęły rozpocząć poszukiwania jaknajprędzej.

Major Verder złożył sprawozdanie z przebiegu śledztwa, rozwodząc się szeroko nad warunkami, w jakich zbrodnia została popełniona i podkreślając poszlaki ciężące na nieznanym.

– Widzę ze wszystkiego – zauważył pułkownik, – że zdaniem pana sprawcą tego jest nieznanomy podróżny.

– Niewątpliwie, panie pułkowniku.

– Czy w zachowaniu się szynkarza Kroffa nie zauważyłeś pan nic podejrzanego?

– W pierwszej chwili, oczywiście, przychodziło nam na myśl, że mordercą może być również Kroff. Po zbadaniu jednak rysów na ścianie zewnętrznej, obejrzeniu wyłamanej okiennicy i skrzywionego pogrzebacza doszliśmy do przekonania, że wątpliwości nie może być żadnych.

– W każdym razie należałoby rozciągnąć nadzór nad Kroffem...

– W szynku pozostawiłem dwu agentów, którzy mają rozkaz śledzić szynkarza w dzień i w nocy.

– A zatem – badał Ragenow – nie przypuszczasz pan nawet, że zabójstwo mógł popełnić jakiś włóczęga, który dziwki burzliwej nocy wdarł się do pokoju inkasenta?

– Nie chciałbym być posądzony o jakieś uprzedzenie, powzięte z góry, zdaje mi się jednak, że wszystkie poszlaki, skierowane przeciwko towarzyszowi podróży Pocha, mają wartość pewników niezbitych.

– Zatem przekonanie pańskie jest już ustalone?

– Tak jest. Podziela je w zupełności doktor Paulin, sędzia Kerstorf i bankier Johansen. Zwróć pan tylko uwagę, jak bardzo owemu podróżnemu zależało na zachowaniu incognita. I pierwszego wieczora i nazajutrz rano otulał się kapturem starannie.

– Czy wychodząc z szynku „*pod złamanym hakiem*” nie powiedział dokąd się udaje?

– Nie, panie pułkowniku.

– Czy nie jest możliwe przypuszczenie, że celem jego podróży była Parnawa?

– Owszem ... ale bilet wziął do Rewla.

– Czy policja parnawska nie zauważyła nikogo podejrzanego w dniu 14 go lub 15-go kwietnia?

– Nikogo – oświadczył kategorycznie major Verder, pomimo że śledziła wszystkich z czynnością większą niż zwykle. Ten człowiek zagadkowy przepadł jak kamień w wodzie... Czy ukrył się w Parnawie?... Czy zemknął gdzieś dalej?... Niewiadomo... dosyć, że zatarł za sobą wszelkie ślady...

– Istotnie – zauważył policmajster – bliskość portów mogła mu ułatwić ucieczkę...

– To mu opóźni ucieczkę – przerwał major – dotąd bowiem ani w zatoce Ryskiej żegluga się nie rozpoczęła, żaden z portów nie jest jeszcze wolny od lodów. Jeżeli więc ów nieznajomy chce odpluć morzem, czeka zapewne na pierwszy statek w jednym z miast nadbrzeżnych, w Parnawie lub w Rewlu...

– A dlaczego nie w Rydze? – przerwał pułkownik Ragenow. – Mnie się zdaje, że właśnie wrócił tutaj, sądząc, że w ten sposób łatwiej zmyli policję...

– To ostatnie przypuszczenie wydaje mi się nie mniej prawdopodobne – odparł major Verder. – Pomimo to jednak rozkazałem agentom rewidować starannie wszystkie statki, odpływające z Rygi. Żegluga rozpocznie się najprędzej w końcu tygodnia, mam więc czas jeszcze na wzmocnienie dozoru policyjnego we wszystkich częściach miasta i w samym porcie.

Policmajster pochwalił wszystkie środki, które zamierzał przedsięwziąć major, rozciągając je na cały obszar prowincji Nadbałtyckich. Co do przebiegu badania sądowego byli spokojni, wiedząc z doświadczenia, że na zdolnościach i sumienności Kerstorfa polegać mogli najzupełniej.

Ragenow po tej rozmowie nie wątpił już wcale, że zbrodnię popełnił tajemniczy podróżny. Lecz w jaki sposób go odnaleźć?... Jak stwierdzić jego tożsamość, skoro go nie znał ani Kroff ani Brok?... Żaden z nich nie mógł nawet powiedzieć, czy człowiek ten był młody czy stary... nie mówiąc już o imieniu i nazwisku... Działać trzeba po omacku. Niewiadomo zupełnie, w którą stronę zwrócić agentów... Zkąd oczekiwać promyka światła, mogącego rozjaśnić te ciemności.

Tego samego rana doktor Paulin po zredagowaniu protokołu sądowo-lekarskiego udał się do kancelaryi sędziego Kerstorfa.

– Cóż, jakie wieści? – zapytał.

– Żadnych – odparł sędzia z westchnieniem.

Paulin pożegnał Kerstorfa i postanowił odwiedzić Ozolinów. W drodze spotkał się z konsulem Delaporte.

Rozmowa skierowała się odrazu na temat sensacyjnej zbrodni.

– Nie ulega wątpliwości – zgodził się konsul, że sprawa jest niesłychanie ciemna. Nawet przypuszczając, że istotnie mordercą jest ów tajemniczy nieznajomy, w jaki sposób odszukać jego ślady?... Pan, panie doktorze, zdajesz się przywiązywać wielką wagę do faktu, że nóż opatrzony był skówką ze sprężyną, która pozostawiła odcisk na ciele, dokoła rany...

– Czy uda się jednak odnaleźć ten nóż?...

– Kto wie – odparł doktor.

– Ha, przyszłość to pokaże... Czekajmy więc – zgodził się doktor.

– Ale, ale... czy nie masz pan jakich wieści o Ozolinie?

– O Matiasie? – zapytał doktor. – Jakież mogą być wieści, skoro go niema w domu?!...

– To dziwne! – zauważył konsul... – Ten nagły wyjazd zastanawia mnie coraz więcej...

– Tak, to szczególne – potwierdził Paulin.

– Do dnia wczorajszego panna Ozolin nie miała jeszcze ani jednego listu.

– Idźmy razem do Marty! – zdecydował Paulin. – Może dzisiaj odebrała jakąś wiadomość... A może i Matias już wrócił?...

Zaraz na prawo skręcili w ulicę, gdzie mieszkał profesor.

Po upływie paru chwil stali już u drzwi na których wisiała kartka z napisem: *Matias Ozolin*. Zadzwonili. Otworzyła służąca, młoda Łotewka. Na zapytanie, czy Marta może ich przyjąć – odpowiedziała twierdząco i wprowadziła do sali. – Marta powitała gości z widocznym zadowoleniem.

– Czy ojciec nie wrócił, drogie dziecko? – zapytał doktor.

– Nie – odparła młoda dziewczyna krótko.

Błada jej i smutna twarzyczka zdradzała niepokój szalony.

– Nie miała pani jakich wieści? – zapytał konsul.

Marta potrząsała przecząco głową.

– Przyznać trzeba, że cała ta wycieczka jest dziwnie tajemnicza – zawyrokował doktor.

– Byleby tylko ojca nie spotkało nic złego – szepnęła wzruszona – od jakiegoś czasu straszne wypadki w Inflantach zdarzają się tak często...

– No, dziecko, nie należy nigdy przesadzać. Dzięki Bogu można jeszcze podróżować bezpiecznie... Prawda, że parę dni temu także popełniono zabójstwo w okolicach Parnawy... morderca nieznany, lecz ofiarą jest inkasent z banku Johansenów...

– Widzisz zatem, szanowny przyjacielu, że moje obawy są uzasadnione – przerwała Marta. – Już czwarty dzień mija, a ojciec nie wraca... Mimowoli dręczy mnie przecucie jakiegoś nieszczęścia...

– Ależ, Marto, uspokój się – rzekł doktor, biorąc ją za rękę... – staraj się panować nad sobą... doprawdy, nie poznaję ciebie... zawsze miałaś tyle hartu, tyle energii... Przecież ojciec uprzedził cię, że dni parę będzie poza domem...

– Czy pan to wszystko mówi serjo? – zapytała dziewczyna, patrząc mu w oczy badawczo.

– Ależ, naturalnie, moje dziecko... nie widzę powodu do obaw... dziwię się tylko, co mogło twego ojca skłonić do wyjazdu... Pokaż mi jeszcze tę kartkę, którą do ciebie napisał... oczywiście, jeżeli ją zachowałaś...

– Mam ją nawet przy sobie – odparła Marta, wyjmując z kieszeni zmięty bilecik.

Paulin odczytał go uważnie, następnie oddał konsułowi. Obaj jednak nic nie mogli wywnioskować z kilku lakonicznych słów, które profesor nakreślił do córki z widocznym pośpiechem.

– Więc nawet cię nie uściśnął przed odjazdem? – zapytał.

– Nie, doktorze. Wieczorem zauważyłam, że był jakiś roztargniony...

– Dnia tego wrócił później niż zwykle... pamiętasz, doktorze? – zapytał konsul. – Mówił, że lekcja się przeciągnęła...

– Co prawda – wyznał Paulin – już od paru miesięcy wydawał mi się zakłopotanym, zamyślonym... Co robił po naszym wyjściu, Marto? – zwrócił się do młodej dziewczyny.

– Powiedział mi dobranoc i poszedł do swego pokoju...

– Może miał jaką wizytę w swym gabinecie – zapytał doktor.

– Ależ nie, doktorze. Jestem nawet pewna, że się zaraz udał na spoczynek, przez cały wieczór bowiem z pokoju jego nie doszedł mnie żaden hałas.

– Może po naszym wyjściu doręczono mu jakiś list?

– Nie, doktorze, ręczyć mogę, że nie przychodził nikt. Byłabym przecież słyszała stuk otwieranych drzwi.

– A zatem, kiedyśmy byli u was, projekt wyjazdu był już postanowiony?

– To nie ulega wątpliwości – wtrącił konsul.

– Powiedz mi jeszcze, Marto, czy nazajutrz rano, po odczytaniu kartki ojca, nie próbowałaś się dowiedzieć, w którą stronę się udał po wyjściu z domu.

– Nie przyszło mi to nawet na myśl – odparła Marta. – Nie chciałam nigdy wdzierać się w tajemnice ojca... Zresztą, powodem mego niepokoju nie jest sam fakt wyjazdu, lecz to, że ojciec dotąd nie wrócił...

– Raz jeszcze powtarzam ci, Marto, więcej spokoju!... Opóźnienie jest bardzo nieznaczne... Zobaczysz, że dziś wieczorem, lub jutro rano powitasz ojca.

W głębi duszy jednak Paulin był również bardzo zaniepokojony, więcej mu jednak dawał do myślenia tajemniczy powód wyjazdu, niż przedłużająca się nieobecność Matiasa. Obaj przyjaciele pożegnali Martę, obiecując wstąpić do niej wieczorem.

Młoda dziewczyna stała na progu mieszkania dopóki nie znikli na zakręcie ulicy. Poczem trawiona jakimś smutnym przecuciem wróciła do swego pokoju.

Tego samego dnia rano podoficer Eck wraz ze swym oddziałem wrócił do Rygi.

Przez czas dłuższy przebywał w północnej części Inflant, ścigając szajkę złoczyńców, napadających na wsie i dwory. Przed kilku dniami od Pejpusu aż do Parnawy śledził zbiega, który w

końcu znikł mu z oczu wśród lodów zamarzłej rzeki... Czy zginął!... Było to możliwe, Eck jednak nie miał pewności zupełnej, pomimo bowiem starań najgorliwszych, policyjanci nic odnaleźć nie mogli.

Natychmiast po przybyciu do Rygi podoficer pośpieszył z raportem do majora Verdera.

Nim się dostał przed oblicze zwierzchnika, dowiedział się o zbrodni, popełnionej w szynku „*Pod złamanym hakiem*”. Nikt w policji nie podejrzewał, że Eck posiada w swych rękach klucz do rozwiązania niepokojącej wszystkich a tak zagadkowej sprawy.

Łatwo sobie wyobrazić zdumienie i zadowolenie majora Verdera, gdy mu podoficer oświadczył, że pragnie poczynić ważne zeznania, odnoszące się do zabójstwa Pocha.

– Czy znałeś Pocha osobiście?

– Tak, panie majorze. I po raz ostatni widziałem go właśnie 13-go kwietnia, wieczorem.

– Gdzie?

– W szynku Kroffa.

– Byłeś więc tam?

– Tak, panie majorze. Wstąpiłem tam z jednym ze swych agentów, po drodze do Parnawy.

– Rozmawiałeś z inkasentem?

– Bardzo krótko. Najważniejsze jednak jest to, że... znam również drugiego podróżnego, posądzonego o morderstwo.

– Znasz go?

– Tak. I jeżeli to on istotnie popełnił zbrodnię...

– Z pewnością on. Śledztwo dostarczyło dowodów niezbitych...

– Otóż, panie majorze, zaraz wymienię jego nazwisko... tylko... czy pan mi zechce uwierzyć...

– Uwierzę, jeżeli mnie zapewnisz.

– A zatem, – odparł Eck uroczyście, – twierdzą stanowczo, że tajemniczy podróżny, z którym nie zamieniłem słowa, ale którego pomimo to poznałem doskonale, chociaż się ukrywał starannie... jest to profesor Matias Ozolin.

– Matias Ozolin?!... – przerwał major zdumiony. – To być nie może!...

– Mówiłem, że pan nie zechce mi wierzyć!... – powtórzył podoficer.

Major powstał z krzesła i chodził po pokoju dużymi krokami, mruczając półgłosem:

– Matias Ozolin!... Matias Ozolin!... Jaktó?!... Ten człowiek, szanowany powszechnie, kandydat na prezydenta Rygi, przeciwnik potężnych i bogatych Johansenów, przywódca partii łotewskiej, miałby się splamić morderstwem nieszczęśliwego inkasenta i to dla marnych 15000 rubli!...

– Jesteś pewny tego, co powiedziałaś? – zapytał nagle, zatrzymując się przed Eckiem.

– Najzupełniej.

– A zatem Matias Ozolin wyjeżdżał z Rygi?

– Tak jest... przynajmniej na tę noc... zresztą fakt to łatwy do sprawdzenia...

– Natychmiast poślę agenta do jego mieszkania... Muszę też uprzedzić bankiera Franciszka Johansena, że mam mu ważne rzeczy do zakomunikowania... Ty zaś zostań tutaj i bądź gotowy na moje wezwanie!

– Słucham pana, panie majorze...

Major wydał odpowiednie rozporządzenia agentom, którzy pośpieszyli wypełnić rozkazy.

W kwadrans później do kancelaryi majora wszedł bankier Franciszek Johansen, w obec którego Eck powtórzył swoje zeznanie.

Można sobie wyobrazić wielką radość, jaka ogarnęła duszę mściwego bankiera. Rzecz najmniej oczekiwana, nieprawdopodobna, potworna, jak właśnie owa zbrodnia „*pod złamanym hakiem*” oddawała mu w ręce znienawidzonego rywala... Matias Ozolin... Matias Ozolin – zabójcą Pocha!...

– A więc utrzymujesz stanowczo, że to był Matias Ozolin? – zapytał raz jeszcze major, zwracając się do Ecka.

– Tak jest – powtórzył podoficer tonem pewności niezachwianej.

– Lecz... jeżeli Ozolin wcale z Rygi nie wyjeżdżał? – zapytał nagle Franciszek Johansen.

– Wyjeżdżał na pewno – oświadczył Eck. – Przynajmniej noc z 13-go na 14-ty kwietnia spędził poza domem... twierdzę to stanowczo,... widziałem go bowiem na własne oczy... i poznałem...

– Zaczekajmy na powrót agenta, którego wysłałem do mieszkania Ozolina – dorzucił major. – Powinien wrócić za chwilę.

Franciszek Johansen stanął w oknie i wyglądał na ulicę. Najsprzeczniejsze myśli tłoczyły się w jego mózgu. Pragnął gorąco, by się zeznania Ecka potwierdziły, a równocześnie coś się w jego duszy buntowało przeciwko tak potwornemu oskarżeniu.

Agent powrócił i jednym tchem wyrecytował:

„Matias Ozolin wyjechał z Rygi 13-go kwietnia bardzo rano i dotąd nie wrócił”.

A zatem Eck miał słuszność!

– Nie omyliłem się więc, panie majorze, – odezwał się podoficer z tryumfem. – Matias Ozolin wraz z Pochem wyjechali z Rygi karetką pocztową 13-go kwietnia, o świcie... Powóz się złamał około godziny siódmej wieczór... O ósmej obaj podróżni weszli do szynku „*pod złamanym hakiem*”, gdzie mieli zamiar przebyć do następnego rana... I jeżeli w ciągu nocy jeden z nich zamordował drugiego, to, oczywiście... mordercą jest Matias Ozolin!

Franciszek Johansen wyszedł z ratusza zmieszany i uradowany zarazem. Straszliwa nowina wytrąciła go z równowagi... Matias Ozolin mordercą Pocha!...

Wiść ta lotem błyskawicy rozeszła się po mieście.

Szczęściem do uszu Marty nie doszła. Czuwał nad tem zacny Paulin.

Wieczorem, gdy się obaj z konsulem zeszli w salonie Ozolinów, o zbrodni „*pod złamanym hakiem*” zamilczeli zupełnie... Zresztą, oskarżenie, rzucone na Ozolina, nie przeraziło ich bynajmniej... Wzruszyli tylko ramionami, tak się im to wydało nieprawdopodobnem.

Druty telegraficzne rozniosły tę wiadomość sensacyjną do miast okolicznych. Zarządy policyjne wydały rozkaz niezwłocznego aresztowania Matiasa Ozolina.

W Dorpacie jednym z pierwszych, którzy się o tym rozporządzeniu władzy dowiedział był Karol Johansen. Dlatego szukał sprzeczki z Janem i rzucił mu w twarz te okrutne słowa: „Nikt się nie pojedykuje z synem mordercy”!

Rozdział X

Badanie.

Matias Ozolin wrócił do Rygi w nocy z 16-go na 17-ty kwietnia, niepoznany w drodze przez nikogo.

Trawiona niepokojem Marta nie spała wcale. Do dawnych udręczeń przybyło nowe: wieczorem, po wyjściu pana Delaporte i doktora Paulina odebrała depeszę od Jana, zapowiadającą jego przyjazd na 17-ty kwietnia. Jaki mógł być powód, że brat jej tak nagle opuszczał Dorpat i wykłady?!... Marta przeczuwała coś niedobrego i zasnąć nie mogła. Około godziny trzeciej rano na schodach usłyszała kroki ojca. Ciężar spadł jej z piersi. Odłożyła jednak rozmowę do rana, uważając, że lepiej będzie dla ojca, gdy się zaraz położy i dłużej wypocznie.

Nazajutrz spotkali się przy śniadaniu.

– Zabawiłem nieco dłużej, niż zamierzałem początkowo – odezwał się Matias – okoliczności tak się złożyły...

– Wydajesz się znużony, drogi ojcze – rzekła Marta troskliwie.

– Trochę... wypocznę jednak do obiadu, a po południu pójdę już na lekcje.

– Możeby lepiej było, drogi ojcze, gdybyś dzisiaj nie wychodził wcale... uczniowie są uprzedzeni...

– Nie, Marto – wiesz, że nie lubię opuszczać lekcji... Czy nikt tu nie przychodził w mojej nieobecności?

– Owszem, doktor Paulin wstępował parę razy, pan Delaporte był również. – Obaj byli zdziwieni twym nagłym wyjazdem.

– Istotnie... – rzekł profesor głosem niepewnym – nic im o moim projekcie nie wspominałem... lecz wyjazd na dni parę to drobnostka, o której nawet mówić nie warto... sądzę, że w drodze tej nikt mnie nawet nie poznał...

Umilkł. Marta przez wrodzoną delikatność nie badała dłużej. Zapytała tylko czy był w Dorpacie.

– W Dorpacie?... – zdziwił się Matias. – Co za dziwne przypuszczenie!

– Jestem pod wrażeniem depeszy, odebranej wczoraj wieczorem...

– Depeszy? – zapytał żywo Matias. – Od kogo?

– Od Jana. Zapowiada swój przyjazd mn dzisiaj.

– Jan przyjeżdża?... To, istotnie, niezrozumiałe!... Ha, widocznie ma do tego powody...

Widząc pytanie w oczach córki, dorzucił słów parę w kwestyi swego wyjazdu:

– Powołał mnie interes wielkiej wagi... dlatego zdecydowałem się tak nagle opuścić Rygę...

– Czy jesteś zadowolony z rezultatu podróży, mój ojciec?... – zapytała Marta nieśmiało.

– Tak, drogie dziecko... mam nadzieję, że się wszystko załatwi pomyślnie...

– Urwał nagle, poczem zmienił temat rozmowy. Po śniadaniu wstał spieszenie od stołu, udał się do swego gabinetu i pogrążył w pracy.

W domu wszystko wróciło do dawnego trybu. Marta uspokoiła się zupełnie, nie przeczuwając wcale, jaki grom za chwilę w nią uderzy.

W parę minut po dwunastej u drzwi frontowych rozległ się dzwonek. Agent policyjny podał służącej list z rozkazem, by go niezwłocznie doręczyła profesorowi Ozolinowi. Nie pytał nawet, czy pan już wrócił: od wczoraj bowiem dom był obstawiony policją, chociaż nikt z mieszkańców tego nie zauważył.

Matias Ozolin rozerwał kopertę i przeczytał wyrazy następujące.

„Sędzia Kerstorf wzywa do siebie profesora Matiasa Ozolina w sprawie niecierpiącej zwłoki”.

Zbladł. Na twarzy jego odmalował się żywy niepokój. Pomyślał jednak, że najlepiej zrobi, udając się niezwłocznie do kancelaryi sędziego. Narzucił więc burkę na ramiona i wstąpił do pokoju Marty.

– Otrzymałem przed chwilą wezwanie od Kerstorfa... idę więc do sądu...

– Wezwanie od sędziego Kerstorfa?... – powtórzyła Marta ze zdziwieniem. – Czegóż on może chcieć od ciebie ojciec?

– Nie mam pojęcia – odparł Ozolin, unikając spojrzenia dziewczyny.

– Może ma to jakiś związek z przybyciem Jana? Ze sprawami dorpackimi?

– Nic nie wiem, Marto... Przypuszczenia twe mogą być trafne... Zresztą, przekonamy się niedługo...

Wyszedł pośpieszenie wraz z agentem. Niepokoje Marty ożyły na nowo: zauważyła zmieszanie ojca.

Matias Ozolin tymczasem szedł wolno ulicami Rygi z głową pochyloną, nie spostrzegając, że jest przedmiotem ciekawości powszechnej, nie widząc złośliwych spojrzeń, którymi go odprowadzali niezyczliwi. Agent towarzyszył mu nieodstępnie. Wreszcie przybyli do gmachu sądu okręgowego. W kancelarii Kerstorfa znajdował się major Verder i pisarz sądowy.

Po krótkim powitaniu sędzia zwrócił się do przybyłego:

– Panie Ozolin, wezwałem pana do siebie dla otrzymania pewnych wyjaśnień w sprawie kryminalnej, którą prowadzę obecnie...

– O co idzie? – przerwał profesor oschle.

– Zechciej pan spocząć i wysłuchaj mnie uważnie.

Profesor usiadł na krześle przed biurkiem, prawie na przeciwko fotelu sędziego. Major Verder stał przy oknie.

– Panie Ozolin – zaczął Kerstorf, – uprzedzam pana, że w rozmowie zmuszony będę poruszyć kwestye czysto osobiste... Pytania moje mogą się panu wydać niedyskretne... Proszę jednak stanowczo o odpowiedzi szczere, o unikanie wykrętów; wymaga tego nietylko dobro sprawy lecz i pański interes osobisty.

Ozolin przyglądał się sędziemu badawczo, z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Na znak zgody skinął głową w milczeniu.

Kerstorf spojrzął na protokół śledztwa, leżący na biurku i zapytał spokojnie, głosem uroczystym:

– Panie Ozolin! wróciłeś pan dzisiaj po kilkodniowej nieobecności!...

– Tak, panie sędzio.

– Kiedy opuściłeś pan Rygę?

– 13-go b. m., o świcie.

– A kiedy pan wróciłeś?

– Dzisiaj, około czwartej rano.

– Pojechałeś pan sam?

– Tak jest.

– I wróciłeś pan też sam!

– Tak.

– Wyjechałeś pan karetką pocztową, idącą do Rewla?

– Tak – odparł Ozolin po chwilowym wahaniu.

– A jak pan wróciłeś?

– Wróciłem w teledze.

– Gdzie ją pan znalazłeś?

– O pięćdziesiąt wiorst stąd, na trakcie ryskim.

– A zatem wyjechałeś pan z Rygi 13-go kwietnia, o świcie?

– Tak, panie sędzio, o szóstej rano.

– Czy byłeś pan sam w karetkce?

– Nie... był jeszcze inny podróżny.

– Czy znałeś go pan?

– Nie.

– Zapewne jednak dowiedziałeś się pan wkrótce, że był to Poch, inkasent z banku Johansenów.

– Istotnie – mój towarzysz podróży był bowiem niezwykle gadatliwy. Rozmowa z konduktorem nie urywała się ani na chwilę...

– Mówili o sprawach osobistych?...

– Wyłącznie.

– Cóż Poch opowiadał?

– Mówił, że jedzie do Rewla, w interesie firmy.

– Czy wspominał, że bardzo mu zależy na tem, aby wrócić do Rygi jaknajprędzej?... Ze za parę dni się żeni?...

– Tak, panie sędzio... o ile sobie przypominam, nie przysłuchiwałem się rozmowie, która nie interesowała mnie wcale!

– Nie interesowała? – wtrącił major Verder.

– Oczywiście – odparł profesor, podnosząc na majora zdziwione spojrzenie. – Cóż mnie bowiem obchodzić mogły osobiste sprawy Pocha?

– To właśnie jest kwestya, której zbadanie mają na celu moje pytania – zauważył Kerstorf.

Na te słowa profesor wykonał jakiś ruch niewyraźny, jak człowiek, który nie rozumie nic.

– Czy Pech miał ze sobą pugilares przytwierdzony do pasa metalowym łańcuszkiem? – ciągnął dalej sędzia.

– Bardzo być może, panie sędzio. Nie zwróciłem na to uwagi.

– Nie widziałeś pan zatem, czy Poch ten pugilares trzymał przy sobie?... Czy pozostawiał na ławeczce? Czy pokazywał go przechodniom?...

– Siedziałem w rogu karety, otulony burką i cały czas prawie drzemałem... Nie zwracałem wcale uwagi na swego towarzysza.

– A jednak konduktor Broks twierdzi stanowczo, że Poch zachowywał się bardzo nieostrożnie...

– Skoro Broks to twierdzi, musi mieć słuszość... Ja nie mogę tego faktu ani zaprzeczyć, ani potwierdzić...

– Nie rozmawiałeś pan z Pochem wcale?

– W ciągu drogi nie... Po raz pierwszy zamieniliśmy ze sobą słów kilka, idąc do oberży po złamaniu powozu.

– A zatem cały dzień przesiedziałeś pan w rogu karety, otulając się starannie płaszczem?

– Starannie?... Dlaczego pan przypuszczasz, że się otulałem starannie? – zapytał żywo pan Ozolin.

– Ponieważ – o ile się zdaje – zależało panu bardzo na tem, aby nie zostać poznanym!

Słowa te, w których niewątpliwie, zawierała się myśl podchwycenia, rzucił major Verder, wtrącając się do rozmowy.

Tym razem Matias Ozolin nie podniósł zapytania. Milczał chwilę, wreszcie opanowując wzruszenie, rzekł:

– A gdyby nawet podobało mnie się podróżować w tajemnicy!... Sądzę, że mam do tego najzupełniejsze prawo, jak każdy wolny obywatel Inflant!

– Wyborny sposób, aby nie zostać poznanym przez świadków i uniknąć sprawdzania!... podsuwanie myśli ze strony majora była tak wyraźne, że profesor zbladł widocznie.

– Ostatecznie – dorzucił sędzia, – nie przeczysz pan wcale, że dnia 13-go kwietnia jechałeś z Pochem karetką pocztową...

– Nie, jeżeli mój towarzysz podróży nazywa się Poch.

– To nie ulega wątpliwości najmniejszej – odciął major niecierpliwie.

Kerstorf ciągnął dalej:

– Droga odbywała się bez żadnych przygód z krótkimi przystankami na stacyach... O dwunastej zatrzymaliście się całą godzinę w jakiejś oberży, gdzie spożyliście śniadanie... Pan umieściłeś się na uboczu, w najciemniejszym kącie sali, zawsze – o ile się zdaje – z widocznym zamiarem, aby nie być poznany... Po śniadaniu pojechaliście panowie dalej... pogoda była coraz gorsza... konie z trudnością wlokły się po błocie... ściemniać się zaczęło bardzo wcześnie... około godziny ósmej jeden z koni potknął się i upadł... powóz się przechylił... złamała się oś i...

– Panie sędzio! – przerwał Ozolin, – czy mógłbym się dowiedzieć, w jakim celu i jakim prawem zadajesz mi pan te pytania...

– W interesie sprawiedliwości, panie Ozolin... Otóż, gdy konduktor Broks stwierdził, że karetka nie może dojechać do Parnawy, postanowiliście panowie przenocować w szynku, znajdującym się o paręset kroków od drogi... Zwracam uwagę, że to pan właśnie wskazałeś ten szynk.

– Owego wieczora byłem tam po raz pierwszy w życiu. Dotąd nie wiedziałem o jego istnieniu.

– Zgoda. Nie ulega jednak wątpliwości, że wolałeś pan przenocować w szynku niż udać się do Parnawy wraz ze stangretem i Broksem.

– Istotnie. Pogoda była szkaradna, a od Parnawy dzieliło nas wiorst kilkanaście... Wobec tego uważałem, że praktyczniej będzie przespać się do rana... i wraz z Pochem poszedłem do szynku.

– To pan nakłoniłeś inkasenta do zatrzymania się w szynku.

– Bynajmniej. Poch stłukł nogę podczas wypadku i nie był zdolny iść pieszo do Parnawy... Szczęściem dla niego w pobliżu znalazł się ten szynk...

– Szczęściem!... – wykrzyknął major z oburzeniem, nie mogąc dłużej zapanować nad sobą.

Matias Ozolin Odwrócił lekko głowę i wzgardliwie ruszył ramionami.

Kerstorf, nie chcąc by badanie zoczyło z drogi wytkniętej poprzednio pytał dalej, nie tracąc ani na chwilę zimnej krwi.

– Konduktor i stangret pojechali do Parnawy, panowie zaś wstąpiliście do szynku „*pod złamanym hakiem*”.

– „*Pod złamanym hakiem*” – powtórzył Ozolin. – Nie wiedziałem dotąd, jak się ten szynk nazywa.

– ...Weszliście do izby restauracyjnej – u drzwi przyjął was szynkarz Kroff – zażądałeś pan pokoju osobnego... Poch również... Kroff zaproponował kolację... Poch przystał odrazu, a pan odmówiłeś...

– Więcej mi to dogadzało, istotnie.

– Więcej też panu dogadzało wyjść pieszo nazajutrz o świcie, niż czekać na powrót konduktora... o swym zamiarze powiedziałeś pan Kroffowi i udałeś się niezwłocznie na spoczynek.

– Istotnie, wszystko się tak odbyło, jak pan powiadasz – rzekł profesor z pewnym znuzeniem.

– Pokój pański znajdował się na lewo od izby restauracyjnej i zajmował róg domu...

– O tem nie mam pojęcia... Powtarzam raz jeszcze, że w szynku tym byłem poraz pierwszy w życiu... Zresztą przybyłem tam w nocy, a odszedłem, gdy było jeszcze zupełnie ciemno...

– Zamiast czekać na powrót konduktora, na to kładę nacisk – zauważył Kerstorf.

– Tak – oświadczył Ozolin – uważałem, iż nie warto czekać na konduktora i karetkę, ponieważ do Parnawy było niedaleko i mogłem dojść pieszo...

– Bardzo pięknie. W każdym razie nie zaprzeczysz pan chyba, że pomysł odbycia tej drogi pieszo przyszedł panu do głowy zaledwie wieczorem... A wykonałeś go pan o czwartej rano...

Matias Ozolin nie wyrzekł słowa.

– A teraz – zaczął znowu sędzia po krótkiej pauzie – uważam, że przyszła chwila, kiedy muszę panu postawić pytanie, na które żądam odpowiedzi kategorycznej...

– Słucham pana.

– Jaki był powód pańskiej podróży... tej podróży powziętej nagle i w tajemnicy przed najbliższymi panu osobami?

Pytanie to zmieszało Ozolina widocznie.

– Sprawy osobiste – odparł wreszcie.

– Jakże mianowicie?

Nie widzę powodu mówienia o nich z panem.

– Odmawiasz pan zatem odpowiedzi?

– Odmawiam.

– Dokąd pan jechałeś?

– O tem również wolę zamilczeć.

– Bilet kupiłeś pan do Rewla?... Czy istotnie, Rewel był celem pańskiej podróży?

Nie było na to żadnej odpowiedzi.

– Przypuszczać należy, że jechałeś pan do Parnawy – zaczął znowu sędzia, – ponieważ nie chciałeś pan czekać powrotu konduktora... ponawiam więc pytanie: Czy jechałeś pan do Parnawy?

Matias Ozolin milczał uparcie.

– Idźmy dalej – mówił znowu sędzia. – Wstałeś pan około godziny czwartej – rano według zeznania oberżysty – on się zbudził również... Wyszedłeś pan ze swego pokoju otulony burką... kaptur zasłaniał panu twarz tak szczelnie jak poprzedniego wieczora... Kroff nie wiedział zupełnie jak pan wygląda – zaproponował filiżankę herbaty, lub kieliszek wódki, – lecz pan odmówiłeś stanowczo. Zapłaciłeś pan rubla za nocleg... Kroff odsunął rygle, otworzył drzwi... Było jeszcze ciemno... nie mówiąc słowa wyszedłeś pan spiesznie w drogę i szybkim krokiem skierowałeś się w stronę Parnawy... Czy w opowiadaniu moim znajduje się choć jeden szczegół nieprawdziwy?...

– Ani jednego.

– Po raz ostatni więc zapytuję: jaki był powód pańskiej podróży i dokąd pan jeździłeś?

– Panie Kerstorf – oświadczył Ozolin chłodno – nie rozumiem, do czego prowadzą te wszystkie pytania i w jakim celu wezwałeś mnie pan do siebie... Pomimo to odpowiadałem panu szczerze... oczywiście o ile pytania pańskie nie wkraczały w dziedzinę osobistą... Mogłem być o swej podróży zamilczeć zupełnie... powody jej do mnie jedynie należą... mogłem być nawet zaprzeczyć wszystkiemu co mi pan mówiłeś, ponieważ – jak pan to nieustannie podkreślasz ani przed Broksem ani przed Pochem swego incognito nie zdradziłem!

Słowa te wyrzekł bardzo spokojnie, z odcieniem lekkiej wzgardy. Odpowiedź sędziego wprawiała go w zdumienie najwyższe:

– Broks i Poch nie wiedzieli istotnie pańskiego nazwiska, lecz jest świadek inny, który poznał pana, pomimo iż ukrywałeś się pan tak starannie.

– Świadek inny?

– Tak jest... i zaraz pan usłyszysz jego zeznanie.

Zwracając się do agenta dodał:

– Niech przyjdzie tutaj podoficer Eck.

W chwilę później podoficer ukazał się we drzwiach kancelaryi i skłonił po wojskowemu.

– Podoficer policyjny szóstego oddziału, Eck? – zapytał sędzia.

Podoficer powtórzył swe imię nazwisko i stopień. Matias Ozolin spoglądał nań tak obojętnie, jak gdyby go widział po raz pierwszy w życiu.

– Czy byłeś pan w szynku „*pod złamanym hakiem*” 13-go b. miesiąca?

– Tak, panie sędzio. Wstąpiłem tam wracając z Parnawy – poszukiwałem zbiega, który umknął z Syberyi i przepadł gdzieś wśród zwałów lodowych na rzece.

Pomimo całego panowania nad sobą Matias Ozolin drgnął lekko. Wzruszenie to zwróciło uwagę sędziego. Nie podniósł jednak tego faktu dość wymownego i rzekł do podoficera:

– Mów pan dalej!

Eck ciągnął tonem urzędowym:

– W szynku „*pod złamanym hakiem*” ja i mój pomocnik spędziliśmy ze dwie godziny. Mieliśmy właśnie ruszyć w dalszą drogę, gdy nagle drzwi się otworzyły... Na progu ukazało się dwu ludzi... powóz ich złamał się w drodze przyszli więc do szynku szukać schronienia na noc... konduktor i stangret z końmi udali się wprost do Parnawy. Jednym z podróżnych był Poch, inkasent z banku Johansenów... znałem go oddawna... rozmawialiśmy z sobą około kwadransa... Drugi na pierwszy rzut oka wydał mi się podejrzanym... zbyt starannie otulał się burką... zbyt nisko nasuwał kaptur na oczy... zdawało mi się, że go już gdzieś widziałem i starałem się koniecznie przypomnieć sobie, kto to taki...

– Było to twoim obowiązkiem, Eck – wtrącił major.

– Poch, który podczas wypadku stłukł nogę, usiadł przy pierwszym stole... położył na nim pugilares z inicjałami braci Johansenów... Wobec tego, iż w szynku było pięciu czy sześciu chłopów z okolicy zwróciłem uwagę Pocha, że pugilaresu nie powinien trzymać na widoku... Potem zbliżyłem się do drugiego podróżnego, którego Kroff odprowadzał do pokoju na lewo... Właśnie w tej chwili kaptur się odchylił, na sekundę zaledwie...

– Lecz ta sekunda wystarczyła panu do poznania nieznajomego?

– Tak, panie sędzio!

– Spotykałeś go pan poprzednio.

– Tak, widywałem go nieraz na ulicach Rygi.

– Był to Matias Ozolin?

– On sam.

– Tu obecny?

– Tu obecny.

Profesor Ozolin, który dotąd przysłuchiwał się w milczeniu, odezwał się nagle:

– Podoficer nie myli się... Wierzę, że był w szynku, ponieważ zapewnia nas o tym stanowczo... Ja go nie zauważyłem wcale... Ostatecznie jednak nie rozumiem zupełnie, po co ta konfrontacja, skoro pierwiej jeszcze powiedziałem panu, iż noc z 13-go na 14-y kwietnia spędziłem w szynku „*Pod złamanym hakiem*”.

– Zaraz się pan o tem dowiesz, panie Ozolin – odparł Kerstorf. Przedtem jednak, muszę pana zapytać, czy stanowczo uchylasz się pan od odpowiedzi, jaki był cel pańskiej podróży?

– Stanowczo.

– Odmowa ta może sprowadzić skutki bardzo dla pana nieprzyjemne...

– Dlaczego?

– Ponieważ wyjaśnienie celu pańskiej podróży mogłoby powstrzymać władze od pociągania pana do odpowiedzialności za to, co zaszło owej nocy w szynku „*pod złamanym hakiem*”...

– Co zaszło owej nocy w szynku... – powtórzył profesor ze zdumieniem.

– Tak jest... Czy nie słyszałeś pan żadnego hałasu między godziną ósmą wieczorem, a trzecią rano?

– Nie. Spałem bez przebudzenia.

– Odchodząc z szynku, także nie zauważyłeś pan nic podejrzanego?

– Nic.

Potem dorzucił głosem, który nie zdradzał najlżejszego zmieszania:

– Zdaje mi się, panie sędzio, że się zaczynam orjentować w sytuacji... wplątałem się bezwiednie w jakąś sprawę... i pan mnie powołałeś w charakterze świadka...

– W charakterze świadka... nie, panie Ozolin.

– Nie... pan jesteś oskarżony! – wykrzyknął major Verder.

– Panie majorze – zwrócił się sędzia surowo, nie uprzedzaj pan wyroku sądu.

Major zapanował nad sobą. Matias Ozolin szepnął do siebie.

– Acha, teraz rozumiem, po co mię wezwano. O co mnie obwiniają? – zapytał głośno.

– Inkasent Poch został zamordowany w szynku „*pod złamanym hakiem*” w nocy z 13-go na 14-ty kwietnia.

– Jakto, ten nieszczęśliwy człowiek został zamordowany?

– Tak – odparł Kerstorf i mamy dowody, że mordercą jest tajemniczy podróżny, który zajmował pokój na lewo od sali.

– To znaczy pan, panie Ozolin – przerwał major.

– Ja?... Ja miałbym być mordercą?!...

Zerwał się z krzesła i rzucił się ku drzwiom kancelaryi. Eck zagroził mu drogę.

– Pan przeczysz oskarżeniu... panie Ozolin? – zapytał sędzia, powstając z fotelu.

– Są oskarżenia, na które się nawet nie odpowiada... tak są niedorzeczne – odparł Ozolin.

– Rachuj się pan ze słowami...

– Panie sędzio... nie mówisz pan poważnie...

– Zupełnie poważnie.

– Dyskusję w tej sprawie uważam za zupełnie zbyteczną – oświadczył profesor wyniośle. – Czy mogę jednak zapytać, na jakiej podstawie posądzony jest o morderstwo podróżny, który zajmował pokój na lewo?...

– Ponieważ na ścianie zewnętrznej tego pokoju znaleźliśmy rysy, świadczące, iż ktoś przez okno wychodził... następnie w tym samym pokoju znaleźliśmy zagięty pogrzebacz, za pomocą którego, prawdopodobnie, wyłamano okiennicę od sypialni Pocha.

– Istotnie, – zauważył Matias Ozolin – to bardzo dziwne!

Potem dorzucił tonem człowieka, którego dana sprawa nie obchodzi nic:

– W każdym razie, zgadzając się nawet, że przytoczone przez panów dowody materialne wyłączają przypuszczenie, iż mordercą może być jakiś przechodzień włóczęga, nie widzę racji, dlaczego zbrodnia miała być popełniona koniecznie przed czwartą t. j. przed moim wyjściem z szynku.

– Obwiniasz pan zatem szynkarza, na którego podczas śledztwa nie padł najlżejszy cień podejrzenia?...

– Nie obwiniam nikogo, panie Kerstorf – odparł Matias Ozolin tonem jeszcze więcej wyniosłym. – Zaznaczam tylko, że jestem chyba ostatnim człowiekiem w Rydze, na którego rzucić można podobne posądzenie.

– Morderstwo połączone jest z kradzieżą – odezwał się major Verder. Pieniądze, które Poch wiozł do Rewla, znikły z pugilaresu.

– A cóż mnie to obchodzi?

– Panie Ozolin – zaczął znowu sędzia, zwracając się do profesora, – czy trwasz pan nadal w uporze i nie chcesz nam wyznać, dlaczego wyszedłeś z szynku o czwartej rano i dokąd się udałeś?

– Tego powiedzieć nie mogę.

– A zatem upoważniasz pan mnie, jako przedstawiciela sprawiedliwości do sformułowania następującego oskarżenia: pan wiedziałeś, że inkasent Poch wiózł znaczne pieniądze... Po złamaniu się koła, gdyście szli razem z Pochem do synku, powziąłeś pan myśl kradzieży... W chwili odpowiedniej wymknąłeś się pan przez okno... wyłamałeś pan za pomocą pogrzebacza okiennicę od pokoju Pocha i wdarłeś się wewnątrz... Zamordowałeś pan śpiącego inkasenta, a następnie okradłeś go... tą samą drogą wróciłeś do swego pokoju, z którego wyszedłeś o czwartej rano... opuściłeś szynk, unosząc z sobą pieniądze i udając się... dokąd?

– Dokąd, to nam wykaże dalszy przebieg śledztwa – przerwał major.

– Panie Ozolin – kończył spokojnie Kerstorf – po raz ostatni zapytuję pana, czy chcesz wyznać szczerze, dokąd się udałeś po wyjściu z szynku?

– Po raz ostatni odpowiadam panu: *nie*, odciął się profesor. – Możesz pan mnie kazać uwięzić, jeżeli to się panu podoba.

– Nie, panie Ozolin – odparł sędzia ku wielkiemu zdumieniu majora. – Nie uczynię tego. Wprawdzie poszlaki przeciwko panu są bardzo ciężkie, ze względu jednak na pańskie stanowisko i przeszłość bez zarzutu wstrzymam się z wyrokiem... jesteś pan wolny... Musisz się pan jednak stawić na wezwanie sądu!...

Rozdział XI

W obliczu tłumy.

Nietylko major Verder, lecz i znaczna część mieszkańców Rygi nie mogła pojąć postępków sędziego Kerstorfa. Dlaczego nie kazał uwięzić Matiasa Ozolina?... Profesor odmówił wskazania celu swej podróży... Nie wytłumaczył się wcale, dlaczego o czwartej rano opuścił szynk... nie powiedział, dokąd i po co wyjeżdżał z Rygi. Milczenie to rzucało cień na jego zachowanie się i potęgowało poszlaki.

Tego samego dnia popołudniu pułkownik Ragenow zaniósł sprawozdanie z badania do kancelarii gubernatora.

Gubernator przeczytał protokół uważnie, a potem rzekł:

– Niezależnie od tego, czy Ozolin jest istotnym mordercą, czy tylko ofiarą nieszczęśliwego zbiegu okoliczności, Niemcy skorzystają z tego faktu, aby więcej jeszcze rozdmuchać nienawiść narodowościową i przeprowadzić swego kandydata na przyszłych wyborach do rady miejskiej... Nie sposób przeciwstawić mu obecnie Ozolina, wmieszanego do sprawy kryminalnej... Jak on się źle broni!...

– Ekscelencya ma słuszość – odparł pułkownik – wypadek ten zdarzył się w chwili najmniej odpowiedniej... umysły i tak są wzburzone...

– Czy zdaniem pana, Ozolin jest winien?...

– Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie... przynajmniej tak, jakbym tego pragnął ze względu na Ozolina, który się zawsze cieszył najlepszą opinią...

– Dlaczegoż jednak zachowuje tak uparte milczenie co do swej podróży?... Dokąd jeździł i po co?... Widocznie bardzo mu zależy na tajemnicy, jeżeli nawet podobne oskarżenie nie zmusza go do wyznania prawdy!...

– W każdym razie zechce wasza ekscelencya pamiętać, że przypadek jedynie zetknął go z Pochem – i przypadek zawiódł ich obu do szynku „*pod złamanym hakiem*”.

– Niewątpliwie, pułkowniku, jest to argument wielkiej wagi... To też gdyby się Ozolin zdecydował wreszcie na szczerłość...

– ...Ułatwiłoby mu to obronę... rozumiem... jednak milczenia za dowód winy uważać nie mogę... Nie wierzę, żeby Ozolin mógł być mordercą... pomimo iż noc z 13-go na 14-ty kwietnia spędził w

szynku Kroffa.

Gubernator widział, że Ragenow sprzyja Ozolinowi. Zresztą i sam był tego zdania, że na wyrok potępiający jeszcze zawcześnie.

– W każdym razie – kończył rozmowę, przerzucając akta sprawy, prawdopodobieństwo winy jest wielkie... Ozolin nie przeczy, że jechał razem z Pochem... że nocował w pokoju, w którym znaleziono skrzywiony pogrzebacz... A świeże rysy na ścianie zewnętrznej pod oknem?... A to wyjście przed świtem z szynku?...

Co do tego ma pan słuszość. – zgodził się Ragenow. – Nie zapominajmy jednak, że cała przeszłość Ozolina jest bez zarzutu... Zresztą wybierając się w drogę nie wiedział wcale, że pojedzie razem z inkasentem Johansenów. Prawda, myśl rabunku mogła mu przyjść do głowy na widok pugilaresu, który Poch ostentacyjnie trzymał na widoku... Lecz tylko bardzo ciężkie położenie finansowe mogłoby popchnąć człowieka takiego jak Ozolin do tak haniebnych czynów... Wiemy zaś dobrze, że profesor prowadzi życie skromne, a dochód z lekcji na utrzymanie domu wystarcza mu zupełnie... Argumentacja Ragenowa była tak wymowna, że gubernator który pod wpływem posądzeń Verdera uwierzył prawie w winę Matiasa Ozolina, zachwiał się w swym przekonaniu. Po chwilowym namyśle odpowiedział:

– Czekajmy zatem na wyniki śledztwa... Może wpadniemy na trop inny, pewniejszy... Kerstrof na zaufanie zasługuje... Jeżeli nie kazał aresztować Ozolina, miał widocznie do tego powody słuszne... W bezstronność jego wierzę najzupełniej... Gdyby się okoliczności zmieniły i wina profesora nie ulegała już wątpliwości, ja pierwszy wydam rozkaz uwięzienia...

W mieście panowało wzburzenie i niezadowolenie; większość uważała, że Ozolin powinien być osadzony w twierdzy – wszyscy się dziwili powolności i pobłażliwości Kerstorfa.

W domu profesora panował nastrój grobowy. Marta wiedziała już, jak straszne podejrzenie ciąży na jej ojcu. Przyjechał Jan i długo tulił siostrę w objęciach. Z oburzeniem opowiadał o wstrętnej scenie, która go wygnała z Dorpatu.

– Wierzę święcie w niewinność ojca!... – wołał z oczami płonącymi i zmuszę tego nędznika Karola do odwołania obelgi...

– Naturalnie, że ojciec jest niewinny – potwierdziła Marta dumnie podnosząc głowę – któżby śmiał wątpić o jego uczciwości?... Nawet nieprzyjaciele otaczają go szacunkiem.

Oboje postanowili udać się niezwłocznie do kancelaryi sędziego. Tymczasem jednak nadbiegł doktor Paulin i konsul Delaporte, którzy się dowiedzieli w mieście o wezwaniu profesora na badanie.

Obecność przyjaciół, serdeczne ich słowa przyniosły pewną ulgę zrozpaczonej dzieciom profesora, dr. Paulin z trudem namówił ich do pozostania w domu.

– Wiercie mi, że dużo lepiej zaczekać na ojca tutaj... zobaczycie, że Matias powróci za chwilę,

oczyszczony zupełnie z wszelkich zarzutów.

– Cóż warta jest – mówiła Marta z goryczą przeszłość bez cienia zarzutu, jeżeli nawet od tak niecnym oskarżeniem nie chroni?

– Przeszłość nieposzlakowana jest najlepszą obroną – zaprzeczył Jan.

– I rękojmnią uczciwości – dorzucił Paulin. Gdyby nawet sam Matias przyznał się do winy, nie uwierzyłbym w to nigdy, lecz miałbym go za waryata.

Wreszcie profesor powrócił blady i znużony. Dzieci rzuciły mu się na szyję, przyjaciele pośpieszyli ze słowami pociechy, wyrażając mu najgłębszy szacunek i niezachwiane zaufanie... Matias dowiedział się o strasznej znieprawie która spotkała Jana w obecności wszystkich kolegów – ostry ból ścisnął mu serce: jego syn ukochany nazwany został „synem mordercy.”

Z ulicy dochodziły okrzyki tłumu, piętnujące profesora i sędziego, który uwolnił zbrodniarza. Matias głosem przerywanym opowiadał o całym przebiegu badania, o spokoju i goności Kerstorfa, podejrzeniach majora Verdera.

W całym opowiadaniu przebijało, tyle niechęci do zagłębiania się w szczegóły okropnej sprawy i tyle znużenia, że wszyscy słuchacze zrozumieli, iż nieszczęśliwy człowiek potrzebuje samotności i wypoczynku. Paulin i Delaporte popożegnali się co prędzej obiecując przyjść nazajutrz. Natychmiast po ich wyjściu Ozolin usunął się do swego gabinetu, a Jan przeszedł do pokoju Marty.

– Umysły w mieście są bardzo wzburzone – mówił konsul do Paulina – nieprzyjaciele profesora nie dadzą mu spokoju, zanim policja prawdziwego winowajcy nie wyśledzi!

– Podzielam w zupełności obawy pana – odparł doktor – nigdy przecie w życiu tak nie pragnąłem wykrycia przestępcy jak tym razem... Niemcy z Johansenami na czele, wyzyskają śmierć Pocha w celach politycznych... Karol, nie czekając wyroku sądowego, nazwał Jana synem mordercy.

– O ile mi się zdaje, zatarg między Janem i Karolem jeszcze nie skończony... Znasz pan Jana!... Chłopak zechce się ująć za siebie i za ojca...

– Nie... nie – zaprzeczył doktor, – nie powinien zrobić teraz żadnego kroku... mogłoby to jeszcze pogorszyć sprawę... To ta przekłeta podróż winna wszystkiemu!... I po co Matias jeździł?...

Po co jeździł? Było to pytanie, które zadawali sobie nietylko przyjaciele lecz Marta i Jan. Matias Ozolin w tej kwestyi żadnych wyjaśnień nie dawał.

Nawet po powrocie od sędziego nie zrobił najmniejszej wzmianki co do celu swej podróży, nie przytoczył pytań Kerstorfa, odnoszących się do sprawy. Rzecz naturalna, że tak uporczywe milczenie wydawało się wszystkim co najmniej dziwnem. Nikt jednak nie wątpił, że powody zarówno tajemniczego wyjazdu jak i późniejszego milczenia były bardzo ważne.

Inaczej bowiem człowiek, stojący na takim świeczniku i szanowany powszechnie, nie byłby się wahał z wypowiedzeniem słowa, które go mogło oczyścić z tak strasznego zarzutu.

Tragiczny zgon Pocha był na ustach wszystkich mieszkańców Rygi i obudził współczucie ogólne. Najgłośniej oburzali się Niemcy, ubolewając nad tem, że w Rosyi kara śmierci dla przestępców kryminalnych zniesiona. Ciężkie roboty w kopalniach syberyjskich to przecież kara zbyt lekka dla tak wstrętnego zbrodniarza.

W rodzinie Johansenów wrzało. Nie zapomniano ani na chwilę, że skromny profesor, przypuszczalny morderca nieszczęśliwego Pocha, był przeciwnikiem politycznym potężnego bankiera.

– Oczywiście – powtarzał Franciszek Johansen, – Ozolin, wyjeżdżając z Rygi nie wiedział że podróż odbywać będzie w towarzystwie Pocha, ani też, że Poch wiezie ze sobą znaczne pieniądze. Z rozmowy jednak inkasenta z konduktorem dowiedział się o wszystkim... Po złamaniu osi wpadł na pomysł okradzenia Pocha i dlatego zaproponował nocleg „*pod złamanym hakiem*”, dla osiągnięcia swego celu nie cofnął się nawet przed morderstwem... Gdyby był niewinnym, jak to utrzymuje, nie byłby uciekał z szynku przed świtem, zamiast czekać powrotu konduktora. – Zresztą, powiedziałyby przecież dokąd się udał, gdzie i jak spędził trzy dni nieobecności w Rydze... O, lecz on tego nie powie!... Byłoby to bowiem przyznaniem się do winy... To jasne przecież, że dlatego zmykał z takim pośpiechem, aby ukryć skradzione pieniądze w miejscu bezpiecznym... W głębi duszy dodawał:

– Gdy przyjdzie chwila odpowiednia oświadczę głośno, że położenie finansowe profesora jest rozpaczliwe... Za trzy tygodnie upływa termin spłaty wekslu, – osiemnastu tysięcy rubli nie dostanie nigdzie... O prolongatę prosiłby daremnie... Odmówię bez litości!...

Rozumowanie to było bardzo charakterystyczne dla Franciszka Johansena, który od dziecka słynął z zawziętości. Wskutek starań majora Verdera, gubernator przystał na dokonanie rewizji w prywatnym mieszkaniu profesora.

18-go kwietnia sędzia Kerstorf, major Verder i podoficer Eck w towarzystwie kilku policyantów zjawili się u Ozolina.

Matias nie protestował. Obrzucił wszystkich spojrzeniem wzgardliwym i tonem lodowatym odpowiadał na zadawane pytania. Policya przetrząsnęła starannie biurko i wszystkie szafy, porzuciła papiery, przejrzała korespondencję, księgi rachunkowe. Przekonano się, że profesor, nie posiadał żadnego majątku. Zarabiał na życie lekcyami. Co się tyczy sprawy kradzieży w szynku „*Pod złamanym hakiem*”, rewizja żadnych rezultatów nie dała... poszlak nie znaleziono najmniejszych... zresztą, zdaniem Johansenów, nie mogło nawet być inaczej... przecież złoczyńca miał trzy dni czasu na zatarcie śladów swego czynu...

Bankier miał wynotowane numery skradzionych biletów, lecz Kerstorf zdecydował; że okoliczność tę zachować należy w tajemnicy, złodziej bowiem po upływie pewnego czasu może się zgłosić do jednego z banków celem wymiany tych biletów.

Gdy całe stronnictwo niemieckie oburzało się na Ozolina, domagając się u władzy oddania go pod sąd, ludność łotewska, przeważnie robotnicy i drobni kupcy, stawiała w obronie profesora i gotowa była do walki z Niemcami.

Matias Ozolin nie tracił zimnej krwi i zachowywał spokój, nacechowany pewną wyniosłością. Ulegając prośbom dzieci i przyjaciół nie opuszczał swego mieszkania. Na ulicy bowiem mogły go spotkać zniewagi i wymyślania niechętnych. Zamknięty w sobie i więcej milczący niż zwykle, dni całe spędzał w gabinecie przy pracy. Unikał wszelkiej wzmianki o sprawie Pocha i lekcyę przerwał zupełnie. Nikt z uczniów do niego nie zaglądał. Doktor Paulin i konsul zachodzili codziennie na rozmowę z Martą i Janem. Matias bowiem najczęściej nie przychodził nawet na herbatę. Jakże smutne i ciężkie były te wieczory! Jak niepodobne do dawnych! Wreszcie goście się żegnali a Jan i Marta z sercem ściśnionem pozostawali sami, nie mając odwagi przerwać samotności ojca, który nieraz do późnej nocy chodził po gabinecie dużymi krokami.

Naturalnie o powrocie Jana do Dorpatu nie było mowy. Któż mógł przewidzieć jak się zachowają koledzy?... Pewnym był tylko jednego Leja... Zresztą, nie chciał się narażać na spotkanie z Karolem.

– Ach ten Karol, ten Karol!... mówił nieraz do doktora Paulina... Przecież ojciec jest niewinny!... Prawdziwy winowajca pierwej czy później zostanie wykryty... Lecz ja nie mogę czekać dłużej... Zażądam od Karola zadosyćuczynienia za wyrządzoną mi zniewagę...

Paulin z wielkim trudem zaledwie zdołał go uspokoić.

– Nie należy się tak gorączkować, mój Janku – mówił. Strzeż się nietaktu, który położenie może jeszcze pogorszyć. Bądź pewnym, że w chwili odpowiedniej nie będę cię powstrzymywał od spełnienia obowiązku. Lecz słowa rozsądku długo przebrzmiewały bez echa. Dopiero gdy Marta dołączyła swe błaganie, Jan dał się przekonać i ostateczną rozprawę odłożył na później.

Od chwili powrotu do Rygi Matias Ozolin dwa razy dziennie z najwyższym niepokojem wyczekiwał listonosza, zapytując o listy. Otrzymywał tylko dzienniki.

Razu pewnego Marta zobaczyła, że ojciec otworzył drzwi i wygląda na ulicę, na której kręciło się kilku agentów.

– Oczekujesz listonosza, ojczu? – zapytała go.

– Tak, moje dziecko zdaje mi się, że się spóźnia dzisiaj.

– Ależ nie, mój ojczu... jest jeszcze bardzo wcześnie... na dworze zimno... wróć lepiej do swego pokoju... czekasz listu?...

– Tak... Marto... lecz wracaj już do siebie... ja tu jeszcze chwil parę zostanę.

Widać było, że go obecność córki krępuje.

W tej chwili nadszedł listonosz, lecz niestety, listu nie miał żadnego. Na twarzy Matiasa odmalowało się żywe niezadowolenie.

Przez dwa dni następne, rano i wieczór powtarzała się ta sama scena... Profesor zdradzał niepokój coraz większy... Nie taił wcale, że do listu przywiązywał wagę niezwykłą... Czy miało to jakiś związek z ową podróżą, której skutki były tak opłakane?... Nie wytłómaczył się ani słówkiem.

W trzy dni po owym nieszczęsnym badaniu, około ósmej rano do mieszkania Ozolinów wpadł doktor Paulin i oznajmił Marcie, że za parę godzin ma się odbyć pogrzeb Pocha, który bankier Johansen chciał urządzać ze wspaniałością niezwykłą. Kierowała nim nietylę chęć uczczenia wiernego pracownika, który trzydzieści najlepszych lat swego życia stracił na służbie ich domu, ile żądza skorzystania z okazji, mogącej podniecić umysły. Dzienniki niemieckie rozpisywały się o tym pogrzebie, rozdmuchując niechęć przeciwko profesorowi.

Nieszczęściem, orszak pogrzebowy przechodzić musiał ulicą, przy której mieszkał Ozolin. Władze dom jego kazały obstawić policją, obawiając się nieprzyjaznych wycieczek ze strony tłumu.

Doktor Paulin był tego zdania, że Matiasa o niczem uprzedzać nie należy. Ponieważ do obiadu zamykał się w gabinecie, którego okna wychodziły na dziedziniec, uniknie zatem niemiłego dla siebie widoku.

Przy śniadaniu nastrój panował bardzo ciężki. Profesor nie wtrącał się do rozmowy i zaraz po spożyciu go oddalił się w milczeniu.

Reszta towarzystwa pozostała w sali pod ciężkim bardzo wrażeniem. Z ulicy dochodziły okrzyki tłumu, który zaczynał się już gromadzić. Przeważnie byli tam Niemcy, wrogo usposobieni przeciwko przypuszczalnemu mordercy Pocha.

Około wpół do drugiej spotęgowane krzyki zwiastowały ukazanie się żałobnego pochodu na rogu ulicy. W tej samej prawie chwili Matias Ozolin stanął we drzwiach sali.

– Co się tu dzieje? – zapytał.

– Usuń się stąd, Matiasie – zwrócił się do niego żywo Paulin. – To pogrzeb Pocha!...

– Którego ja zamordowałem! – dokończył zimno Ozolin.

– Usuń się, proszę cię!

– Ojcie drogi, zrób to dla nas! – błagała Marta i Jan.

Lecz Matias zaciął się w jakimś dziwnym, niepojętym uporze, nie zwracając uwagi na prośby, którymi go zasypywano, skierował się do okna i chciał je otworzyć.

– Tego szaleństwa przecież nie uczynisz – zawołał doktor.

– Przeciwnie, uczynię to z pewnością.

Równocześnie obie połowy okna rozwarły się na oścież.

Matias wyjrzał na ulicę.

W tłumie zawrzało. Rozległy się okrzyki:

– Śmierć mordercy!

Orszak pogrzebowy był już przed domem profesora.

Za trumną, pokrytą wieńcami, szła Zofja Adelin w grubej żałobie. Tuż za nią postępowała rodzina Johansenów, personel bankowy, przyjaciele, znajomi, wreszcie ciekawi i tłum obojętny.

Karawan zatrzymał się chwilę.

Krzyki: „śmierć mordercy!” rozlegały się coraz głośniejsze, coraz wścieklej...

Podoficer Eck, major Verder a nawet Ragenow starali się przywrócić porządek.

Matias stał w oknie z rękami skrzyżowanymi na piersiach, głową dumnie podniesioną, brwiami ściągniętymi, blady i nieruchomy jak posąg.

Marta, Jan i doktor otoczyli go dokoła.

Pochód ruszył dalej. Krzyki nie ustawały. Najzawziętsi rzucili się do drzwi, chcąc je wyłamać. Policja starała się odepchnąć napastników. Ragenow zastanawiał się, czy dla ocalenia Ozolina nie należałoby wydać wyroku uwięzienia.

Nagle z pomiędzy tłumu przecisnął się jakiś mężczyzna wysoki i barczysty.

– Stójcie! – zawołał głosem, rozkazującym.

Zapanowało milczenie.

Franciszek Johansen wysunął się o parę kroków naprzód.

– Kto pan jesteś? – zapytał.

– Tak, kto pan jesteś? – powtórzył jak echo major Verder.

– Jestem zbiegiem, którego życie Matias Ozolin chciał okupić ceną honoru. Ja zaś dla uratowania jego honoru oddaję życie.

– Pańskie nazwisko? – zapytał Ragenow prawie bez tchu.

– Jerzy Sturit.

Rozdział XII

Jerzy Sturit.

Zbieg, ścigany przez policją, nie zginął wśród kry lodowej na Parnawie. Cudem prawie uniknął śmierci i przedostał się do miasteczka, gdzie się ukrył w lichej oberży, czekając na pierwszy statek, któryby go zawiózł na brzegi Francji lub Anglii.

Lecz fundusze jego wyczerpały się aż do grosza. Napisał więc do Matiasa Ozolina, prosząc o doręczenie mu spadku po ojcu. Wskutek tego listu profesor zdecydował się na podróż do Parnawy, dla zmylenia jednak śladów bilet wziął do Rewla.

Zachował tajemnicę przed córką i przyjaciółmi, ponieważ nic był pewnym, czy Jerzy znajduje się w miejscu bezpiecznym i czy obecność jego nie została spostrzeżona.

Ryge opuścił potajemnie. Przypuszczał, że tego samego dnia jeszcze stanie w Parnawie. Dlatego powrót swój zapowiedział Marcie na dzień następny.

Nieszczęśliwy wypadek w podróży zmusił go do zanocowania „*pod złamanym hakiem*”. Chcąc zyskać na czasie nie czekał powrotu konduktora, lecz wyszedł pieszo o świcie... i oto teraz obwiniają go o zabójstwo i kradzież!

Po dwugodzinnym szybkim marszu o wschodzie słońca Ozolin stanął w Parnawie i udał się wprost do hotelu, gdzie Jerzy zamieszkał pod przybranym nazwiskiem.

Ileż radości dostarczyło im obu to spotkanie po czteroletniej rozłące! Jerzy witał profesora jak ojca, jak przyjaciela. Matias wręczył mu niezwłocznie pugilares, zawierający depozyt Michała Sturita. Pragnął koniecznie być obecnym przy odjeździe Jerzego, dlatego dni parę czekał w Parnawie. Lecz statek, na którym miał Jerzy odpłynąć nie przybywał, Matias więc wybrał się z powrotem do Rygi. Jerzy wymógł na nim słowo, że zachowa milczenie przed Martą, aż do chwili, gdy młody człowiek zawiadomi ich listownie, że przeszedł szczęśliwie granicę rosyjską. Wtedy Matias przywiezie do niego córkę i narzeczeni połączą się węzłem dozgonnym.

Matias Ozolin wrócił do Rygi w nocy z 16 na 17-ty kwietnia, nie domyślając się wcale, jak straszne spadło nań oskarżenie.

Oszołomiony tym ciosem, w kancelaryi sędziego zachował się z niezwykłą wyniosłością, rzecz można wzgardliwie. Odmówił wszelkich wyjaśnień co do celu tajemniczej podróży i miejsca pobytu. List Jerzego miał mu przywrócić swobodę słowa. Lecz list oczekiwany nie nadchodził! Dwa dni następne były dlań jednym pasmem męczarni.

Milczenie potępiało go wobec całego miasta, zniechęcając rodaków, podniecając zaciełość polityczną przeciwników, którzy nawet grozili mu śmiercią. Dostyc, że Ragenow, mając na względzie bezpieczeństwo osobiste profesora postanowił go uwięzić.

W takiej to chwili ukazał się Jerzy Sturit.

Wszyscy z okrzykiem otoczyli go. Jerzy rzucił się w ramiona Matiasa, ucisnął rękę Marty, ucałował Jana, ścisnął dłonie przyjaciół i, nie zwracając uwagi na obecność Ragenowa i Verdera, mówił głosem przerywanym:

– W Parnawie... dowiedziałem się, jak straszne posądzenie ciąży na profesorze... wyczytałem w dziennikach, że odmówił wyznania, dokąd i po co jeździł... mógł się usprawiedliwić, wymieniając moje nazwisko... lecz nie chciał mnie gubić... sam się naraził na niebezpieczeństwo... tego przenieść nie mogłem... porzuciłem Parnawę... przybyłem tutaj, by go ratować...

– I bardzo źle zrobiłeś, mój drogi Jerzy... Jestem niewinny... nie obawiam się niczego... a pierwszej czy później prawdziwy sprawca wykryje się.

– Czy istotnie źle zrobiłem, Marto? – zapytał Jerzy, zwracając się do narzeczonej.

– Nie odpowiadaj na to pytanie, drogie dziecko! – zawołał profesor – trudno rozstrzygać w podobnym sporze... Szanuję cię, Jerzy, za ten postępek szlachetny, lecz zarazem ganię brak rozwagi... Mogłeś być przecież napisać o wszystkim po opuszczeniu Rosyi... Jeszcze kilka dni męczarni, a byłbyś uniknął niebezpieczeństwa, które ci grozi obecnie... i bylibyśmy wszyscy tak szczęśliwi!...

– Ojczy! – przerwała Marta – uważam za obowiązek powiedzieć, co o tem myślę. Pomimo wszystko, co nastąpić może teraz, Jerzy postąpił dobrze i będę mu wdzięczna do śmierci za to, co uczynił dzisiaj...

– Dzięki ci, Marto! – zawołał Jerzy. – Jestem już wynagrodzony.

Cieszyłbym się, gdybym chociaż o dzień jeden przyspieszył uniewinnienie twego ojca.

Istotnie, teraz uniewinnienie Matiasa Ozolina nie ulegało już wątpliwości. Wiadomość o ukazaniu się Jerzego Sturita i jego zeznania rozeszła się szybko. Johansenowie przyjęli ją z upartym niedowierzaniem, a major Verder z żywym niezadowoleniem. Lecz zmiana opinii ogółu dokonała się błyskawicznie. Oburzenie minęło bez śladu. Zastąpiło je gorące współczucie dla niesłusznie oskarżonego profesora.

Wszystkich oczy zwróciły się na Jerzego Sturita, który uniesiony szlachetnością i poczuciem obowiązku zapomniał, że był zbiegiem i nie zawahał się niemal życia postawić na kartę.

Gdy pierwsze wrażenie minęło, pułkownik Ragenow zwrócił się do niego:

– Panie Jerzy Sturit! Jesteś pan wyjęty z pod prawa i dlatego o pańskim zjawieniu się tutaj, muszę zawiadomić niezwłocznie gubernatora. Tymczasem możesz pan pozostać w mieszkaniu Ozolinów,

oczywiście, jeżeli mnie pan zapewnisz słowem honoru, że szukać ucieczki nie będziesz.

– Daję panu słowo – odparł Jerzy Sturit.

Pułkownik Ragenow odjechał, obstawiając dom policyntami z Ekiem na czele.

Trudno opisać radość, jaka zapanowała w rodzinie profesora. Marta i Jerzy nie mogli się dosyć nacieszyć swym widokiem. Pytaniom i opowiadaniom nie było końca. Doktor Paulin i konsul pożegnali ich zaraz. Młodzi ludzie, zapominając o niebezpieczeństwie, które wisiało nad głową Jerzego, tworzyli nawet plany przyszłości, profesor i Jan odczuwali ich szczęście.

Niestety, dobre chwile trwały bardzo krótko.

W godzinę później przybył Ragenow i zwracając się do Jerzego wygłosił uroczyste:

– Z rozkazu gubernatora musimy odwieźć pana do cytadeli. Tam będziesz pan oczekiwał na wyrok z Petersburga.

– Jestem gotów, panie pułkowniku – odparł Jerzy. – Żegnam cię, drogi ojcze, żegnam cię mój bracie...

Po krótkim wahaniu dodał:

– I ciebie, moja siostró...

– Nie – przerwała gwałtownie Marta. – Nie siostrą ci będę lecz żoną!...

W chwilę później Jerzy opuścił dom, gdzie ukazaniem się swym przyniósł tyle szczęścia... któż mógł przewidzieć, jak długo potrwa ta bolesna rozłąka?!...

Odtąd sprawa morderstwa Pocha zeszła na plan drugi. Mówiono tylko o bohaterskim zbiegu, który wahał się nie poświęcić tak drogo okupionej swobody, byle ratować niewinnie oskarżonego.

Sympatyę ku Sturitowi potęgowała jeszcze zabarwienie romantyczne sprawy. Dawna miłość Jerzego i Marty, ich nagła rozłąka... kilkoletnia tęsknota i wierność wzajemna... wreszcie to spotkanie niespodziewane w warunkach tak niezwykłych... osadzenie Jerzego w twierdzy... któż mógł przewidzieć dalsze losy narzeczonych?... Jerzy był przestępcą politycznym, zbiegłym z kopalni Minusińskich... według wszelkiego prawdopodobieństwa zatem oczekiwał go powrót do Syberii wschodniej... Nieszczęśliwa zaś Marta za krótszą chwilę szczęścia, zapłaci łązami całego życia...

Wstrząsająca scena ukazania się Jerzego podczas pogrzebu Pocha i śmiałe zeznanie, jakie złożył wobec wzburzonego tłumu, nie wszystkich przekonały o niewinności Matiasa Ozolina.

Wyższe mieszczaństwo niemieckiego pochodzenia w dalszym ciągu odnosiło się nieufnie do popularnego wśród Łotyszów profesora. Prasa niemiecka nie szczędziła dwuznacznych artykułów, nacechowanych złą wolą. Morderca nie był przecież wykryty. Krew niewinnej ofiary wołała o karę! Bankier Franciszek Johansen był wyrazem opinii wszystkich żywiołów nieprzejednanych, tchnących

nienawiścią:

– Obecnie wiemy wprawdzie, jaki powód skłonił pana Ozolina do podróży – rozumował bankier... – Miał się spotkać w Parnawie ze Sturitem... dobrze!...

Wyszedł z szynku przed świtem, chcąc jaknajprędzej stanąć w miejscu umówionem... zgoda i na to!... Bądź co bądź jednak noc 13-go na 14-ty kwietnia spędził „*pod złamanym hakiem*”!... Do tego sam się przecież przyznaje!... a właśnie tej nocy Poch został zamordowany i okradziony!... Fakt to niezbity... Faktem jest również, że wszystkie poszlaki, zebrane podczas śledztwa wskazują, iż mordercą jest drugi podróżny, Świadczy o tym najwymowniej pogrzebacz, zgięty przy wyłamywaniu okienicy?... Wiemy zaś wszyscy, że tym tajemniczym podróżnym był właśnie sławny Matias Ozolin, filar partii łotewskiej!...

Dowodzenia bankiera miały wszystkie pozory słuszności. Wprawdzie na stawiane zarzuty można było odpowiedzieć: zbrodnia równie dobrze mogła być popełniona przez jakiegoś włóczęgę, który wdarł się do pokoju przez okno od zewnątrz... albo przez szynkarza Kroffa... Kroff nawet znajdował się w warunkach dużo pomyślniejszych niż profesor, miał bowiem więcej czasu do rozporządzenia... Po wyjściu Ozolina kilka godzin był zupełnie sam... A wiedział przecież, iż inkasent wiezie znaczne pieniądze...

Lecz sędzia śledczy w zeznaniach i zachowaniu się szynkarza nie zauważył nic podejrzanego. obrońcy Ozolina skłaniali się więc do przypuszczeń, że morderca Pocha należał do szajki rabusiów, którzy od niejakiego czasu operowali w północnych Inflantach, napadając na dwory i podróżnych.

Zdanie to wypowiedział pułkownik Ragenow w rozmowie z majorem Verderem.

– Im więcej myślę o sprawie Pocha, tem więcej wydaje mi się nieprawdopodobnem – mówił pułkownik – ażeby Ozolin wyłamywał okiennicę i wdzierał się do pokoju inkasenta przez okno...

– Zapominasz pan o rysach na ścianie zewnętrznej – wtrącił major.

– Rysy! czegoż one dowodzą?!... Przedewszystkiem nie mamy żadnej pewności, że są świeże... Szynk „*Pod złamanym hakiem*” stoi osobno, zdała od traktu... Bardzo możliwe zatem, że rysy te pozostawił jakiś włóczęga, usiłujący wdrzeć się do mieszkania tej nocy, a może i dawniej.

– Ośmielam się jednak zwrócić uwagę szanownego pana, że morderca musiał wiedzieć o tem, że Poch ma przy sobie znaczne pieniądze... a Ozolin wiedział o tem istotnie...

– Równie dobrze, jak wielu innych – przerwał Ragenow niecierpliwie... Poch był przecież tak nieostrożny, że głośno rozprawiał o zawartości swego pugilaresu... Wiedział o tem i Kroff i Broks i pocztyljoni, którzy się zmieniali na każdej stacyi, nie mówiąc już o drwalach i chłopach znajdujących się w szynku, gdy przybył tam inkasent z profesorem...

Trudno było odmówić słuszności rozumowaniu Ragenowa. Posądzenie mogło paść na inne osoby, nie na Ozolina wyłącznie. Zresztą, skąd dowody, że położenie finansowe Ozolina było krytyczne... że jedyne wyjście stanowiła dlań zbrodnia?!...

Major przekonać się nie dał i wciąż twierdził swoje.

– Czekajmy na wynik śledztwa – zakończył Ragenow. Przyszłość pokaże, kto z nas ma słuszość! W chwili obecnej pole działania należy do Kerstorfa, a on na zaufanie zasługuje.

Istotnie sędzia ze zwykłą sobie sumiennością i bezstronnością poświęcił się badaniu ciekawej i tajemniczej sprawy. Zeznanie Sturita wyjaśniło punkt bardzo ciekawy, a mianowicie cel podróży Ozolina... Usprawiedliwiało w zupełności milczenie i ukrywanie się profesora podczas podróży karetką i po przybyciu do szynku...

Lecz w takim razie, kto był mordercą?!...

Kerstorf zwoływał tłumy świadków: pocztyljonów, drwali, chłopów, zasypywał gradem pytań krzyżowych, lecz uwolnił wszystkich, podejrzenie jego bowiem nie zatrzymało się na nikim.

Konduktor Broks wzywany był do kancelaryi sędziego kilkakrotnie. On przecież wiedział najlepiej o celu podróży Pocha i o zawartości jego pugilaresu. Lecz zacny ten człowiek stał po za wszelkimi posądzeniami. Nie wstępując do szynku, pojechał wprost do Parnawy wraz z pocztyljonem i na stacyi pocztowej przespał się do rana. Na udowodnienie swego *alibi* mógł przedstawić kilku świadków wiarogodnych.

Należało więc odrzucić przypuszczenie, że czyn ten popełnił jakiś zbrodniarz nieznan. Wszystko składało się na to, że musiał to być ktoś, nocujący w szynku: a więc albo Kroff albo Ozolin.

Od chwili śledztwa Kroff trzymany był pod ścisłym nadzorem policyjnym. Agenci nie odstępowali go na krok. Wzywany kilkakrotnie do kancelaryi sędziego, odpowiadał zawsze jasno, bez cienia zmieszania; pomimo, że badanie bywała bardzo drobiazgowe i bardzo zręczne, nigdy cień podejrzenia nie padł na szynkarza, który nie zdradził się słówkiem najmniejszym i zawsze dawał odpowiedzi zgodne z zeznaniami poprzednimi. Nie ukrywał wcale, że o morderstwo posądza Ozolina.

– A jednak w nocy nie słyszałeś pan najlżejszego hałasu – zauważył sędzia.

– Żadnego, panie sędzio... lecz okno mego pokoju wychodzi na dziedziniec... przytem pogoda była okropna, wichura wściekła.

Kerstorf przyglądał się szynkarzowi bacznie, lecz mimo rosnących w duszy podejrzeń, nie mógł go niczem zbić z tropu.

Po każdym badaniu Kroff wracał do swego szynku. Pozostawiono mu swobodę, nie zdejmując nadzoru. Jeżeli winien, w tych warunkach zdradzi się najłatwiej.

Od chwili osadzenia Jerzego Sturita w twierdzy upłynęło dni cztery.

Stosownie do rozkazu gubernatora, zbieg otrzymał pokój osobny. Traktowano go nawet z pewnemi względami. Marta i Jan odwiedzali go codziennie. Matias, wyczerpany przejściami dni ostatnich, nie opuszczał wcale swego gabinetu.

Młodzi ludzie, pomimo niepokoju i trwogi o przyszłość, godziny całe spędzali na serdecznych, poufnych rozmowach. Jerzy opowiadał o ciężkiej pracy w kopalniach, o swej tęsknocie za Martą, o postanowieniu ucieczki, o długiej tułaczce przez lodem pokryte stepy syberyjskie, o ciężkiej przeprawie przez Ural, o błakaniu się po gąszczach leśnych, wśród zasp śniegowych, o strasznych niebezpieczeństwach, zagrażających jego życiu po przekroczeniu granicy inflanckiej... tworzyli plany przyszłości... Marta podała prośbę do cesarza o ułaskawienie Jerzego... W razie odpowiedzi odmownej miała się starać o pozwolenie zaślubienia Jerzego... Powtórna rozłąka zdawała się jej niepodobieństwem... Pragnęła odtąd dzielić z narzeconym wygnanie, złą i dobrą dolę...

24-go kwietnia Jan opuścił Rygę, udając się do Dorpatu. Z podniesionem czołem wszedł na dziedziniec uniwersytecki, gdzie przed tygodniem spotkała go tak straszna zniewaga.

Leja i inni Łotysze pośpieszyli ku niemu ze słowami szczerego współczucia i gorącej przyjaźni.

Niemcy z Karolem Johansenem zachowali postawę odporną, wrogą.

Starcie było więc nieuniknione.

Nazajutrz Jan zażądał od Karola satysfakcji. Karol ze wzgardą odrzucił wyzwanie. Wtedy Jan mu wymierzył policzek, zmuszając tym sposobem do pojedynku.

W parę dni później przeciwnicy spotkali się z sobą w lasku, o parę wiorst od Dorpatu. Karol odniósł ciężką ranę.

Nazajutrz przybyli państwo Johansenowie, wezwani depeszą. Nie odstępowali od łóża ukochanego syna, a w sercu ich nienawiść do Ozolinów potęgowała się z każdą chwilą.

Zaprzysięgli walkę na śmierć i życie.

Tymczasem w rodzinie Ozolinów zapanowała radość i szczęście.

Manifest koronacyjny z dnia 15-go maja przywracał wielu przestępcom politycznym swobodę i prawa cywilne!

Do tej kategorii zaliczono Jerzego.

Rozdział XIII

Powtórne śledztwo.

Zwolnienie Jerzego Sturita wywarło wrażenie olbrzymie nie tylko w Rydze, lecz i na całym obszarze prowincji Nadbałtyckich. Sfery uboższe rzemieślnicze łotewskie wieść tę przyjęły z zapałem. Bogate mieszczaństwo niemieckie przeciwnie, nie ukrywało bynajmniej swego niezadowolenia, obawiając się przede wszystkim, by sympatya, obudzona szlachetnym postępkim młodego zbiega, nie przeniosła się na osobę znieawidzonego przez nich Matiasa Ozolina, co wobec zbliżających się wyborów do rady miejskiej – mogło się stać niebezpiecznym dla całego stronnictwa.

Pułkownik Ragenow udał się osobiście do cytadeli i odczytał Jerzemu ułaskawienie. Młody człowiek pośpieszył natychmiast do Ozolinów.

W domu tym, gdzie od tak dawna nie zaglądał żaden promyk szczęścia, zapanowała radość i wesele. Marta, zwykle tak spokojna i zrównowazona, nie mogła panować nad wzruszeniem.

Wkrótce nadszedł doktor Paulin, konsul Delaporte i kilku dawnych przyjaciół Jerzego. Wszyscy go witali i ściskali jak kogoś, kto cudem prawie wyrwał się z objęć śmierci. Nikt już nie myślał o strasznym oskarżeniu, które tak niedawno jeszcze zatręło spokój profesora.

– Gdyby cię nawet zasądono – odezwał się pan Delaporte – nie zwątpiłbym o twojej niewinności!

– Zasądono Ozolina?!... Co za niedorzeczne przypuszczenie! – wykrzyknął Paulin.

– Gdyby cię zasądono, ojczy – zawołała Marta – i ja i Jerzy i Jan poświęcilibyśmy życie dla wykrycia prawdziwego winowajcy i zrehabilitowania twego honoru!

Matias słuchał tych wynurzeń z twarzą pobladła i sercem ściśnionem. Gorzki uśmiech błąkał się po jego wargach. Wiedział, że opinia ludzka jest chwiejna i nigdy jej ufać zawiele nie można!... Nieraz w życiu widywał przykłady oskarżeń niesprawiedliwych, które sprowadzały skutki, nie dające się naprawić niczem.

Gdy już wybuchy radości ucichły i wszyscy zasiedli do kolacyi, Marta odezwała się z prostotą:

– Powiedz Jerzy, kiedy odbędzie się nasz ślub?

Naznaczono go za sześć tygodni. Jerzy wiedział, że Marta nie ma posagu, lecz dotąd Ozolin nie zwierzał się nigdy przed rodziną z kłopotów finansowych. Dziś jednak, wobec tego, że Jerzy wchodził do rodziny, wspominał ogólnikowo o długi Johansenów i nieuniknionych z tego powodu przykrościach. Lecz Jerzy i Marta zbyt byli szczęśliwi, żeby się długo trapić tą sprawą pieniężną.

Zresztą Jerzy posiadał przecież dziedzictwo po ojcu, energię i wykształcenie fachowe. Nic dziwnego zatem, że w przyszłość spoglądał śmiało, z ufnością.

Gdy tak Ozolinowie, po ciężkich przejściach kwietniowych cieszyli się szczęściem, niespodziewaniem, bankier i jego żona spędzali chwile bardzo ciężkie przy łóżku Karola. Rana była niebezpieczna i nie dawała się zagoić. Nie można było nawet chorego przewieźć do Rygi. Pan Franciszek obok troski o zdrowie syna niepokoił się jeszcze przyszłymi wyborami. Czuł, że zwycięstwo, które wydawało się tak pewne, wymyka mu się z rąk... że opinia publiczna przechyla się znowu na stronę Ozolina. Jedyłą więc bronią w walce z tym groźnym przeciwnikiem politycznym było zobowiązanie pieniężne, z którego – bankier wiedział o tem dobrze – Ozolin uiszczyć się nie potrafi.

Istotnie, opinia ogółu w obecnej chwili głosiła niewinność profesora. Podejrzenia skierowały się przeciwko szynkarzowi.

Przeszłość tego człowieka była dosyć niepewna.

Odnaczał się zawsze skrytością i chciwością. Z ludźmi nie żył wcale. Po rodzicach, odziedziczył jakąś fortunę – nikt dobrze nie wiedział ile. Żył oszczędnie, zbierając grosz do grosza.

Sędzia Kerstorf odrazu powziął przeciwko niemu pewne uprzedzenie. Zdawało mu się, iż Kroff umyślnie usiłuje skierować posądzenia w stronę nieznanego podróżnego. Któż mógł zaręczyć, że nie szynkarz porobił rysy na ścianie zewnętrznej, że nie on ustawił przy piecu zgięty pogrzebacz?!... Czasu miał przecież dosyć, nie tylko w nocy, lecz i po odejściu Ozolina. Mógł zachować wszelkie ostrożności i obmyśleć program działania...

Bądź co bądź interwencja Sturita, odciągając podejrzenia od Ozolina, pogorszyła znacznie położenie Kroffa. Nadzór policyjny nad szynkiem wzmocniono. Kroff nie wydalał się ani na krok, dwa razy tylko wzywano go do kancelaryi sędziego na badanie. Pokoje gościnne, gdzie nocował Poch i Ozolin, zamknięto na zamek; klucze zabrał ze sobą major Verder.

Kroff rozповідаł, gdzie mógł i komu mógł, że śledztwo wstępuje na drogę fałszywą, że istotnym winowajcą jest profesor Ozolin, zatem główna uwaga policyi powinna być skierowaną na niego. Tymczasem władze pozostawiają profesorowi swobodę zupełną, prześladując niesłusznie jego, biednego szynkarza, na którym od pierwszej chwili żadne nie zaciężyło posądzenie. Nieprzyjacielem Ozolina popierali Kroffa, ubolewając nad pobłażliwością i stronnością sędziego. Łotysze znowu, w których oczach Ozolin stał po nad wszystkimi podejrzeniami i zasługiwał na szacunek najgłębszy, zrzucali winę morderstwa na szynkarza, znajdując, że śledztwo prowadzone jest nieudolnie... oburzali się, że Ozolin dotąd się znajduje pod zarzutem tak strasznego oskarżenia. Wobec tego nie można było nawet marzyć o spokoju w mieście, zanim prawdziwy winowajca wykryty nie zostanie.

Sprawa tajemniczego morderstwa stanowiła nieustanny temat rozmowy między Jerzym a doktorem Paulinem. Obaj rozumieli, że tylko uwięzienie i skazanie prawdziwego mordercy zamknie usta nieprzyjaciołom profesora i zetrze cień z uczciwego dotąd nazwiska. Matias zachowywał dziwną, niezrozumiałą prawie obojętność.

O śmierci Pocha i niesłusznym oskarżeniu, którego padł ofiarą nie mówił z nikim, ani z dziećmi, ani z przyjaciółmi. Nie interesował się zupełnie tem, jak sprawa stoi i czy policja wpadła wreszcie na trop mordercy.

Pod naciskiem opinii publicznej Łotyszów Kerstorff i Ragenow postanowili zarządzić „*pod złamanym hakiem*” śledztwo powtórne.

Śledztwo naznaczono na dzień 28-go maja.

W dniu tym sędzia Kerstorff, major Verder, podoficer Eck przybyli raniutko do szynku „*pod złamanym hakiem*”.

Agenci policyjni, ustawieni przed drzwiami, oświadczyli przedstawicielom władzy, że pomimo najściślejszego nadzoru, nic podejrzanego zauważyć nie zdołali.

Kroff podbiegł skwapliwie do Kerstorffa:

– Panie sędzio – rzekł – nie tajno mi, iż nieprzyjaciele moi, przyczynili się do śledztwa powtórnego. Mam nadzieję jednakże, że tym razem odjedziesz pan, przekonany najzupełniej o mojej niewinności...

– Zobaczymy – odparł Kerstorff. – A tymczasem, panowie, przystąpmy do naszej czynności...

– Zaczniemy, prawdopodobnie, od pokoju gdzie nocował profesor Ozolin – zapytał Kroff.

– Nie – odparł sędzia krótko.

– Czyżbyś pan miał zamiar przetrząsnąć cały dom? – zapytał Verder.

– Tak jest, panie majorze.

– Jabym sądził, że wystarczy pokój Ozolina... Zresztą, jak pan sobie życzy!

Uwaga powyższa dowodziła, że major nie wątpił ani na chwilę o winie profesora. Był to umysł tego rodzaju, że gdy raz sobie coś wbił w głowę, nic już przekonania jego zachwiać nie mogło.

– Prowadź nas! – zwrócił się sędzia do Kroffa.

Kroff spełnił rozkaz z pośpiechem, który usposobił dlań wszystkich jaknajprzychylniej.

Przetrząsnięto najstaranniej dom, od piwnicy do poddasza, wreszcie cały ogródek, wszystkie klomby i grzędy. Sędzia i major oglądali bacznie grunt dokoła płota i pod drzewami. W wielu miejscach kazali nawet rozkopywać ziemię, przypuszczając, że właśnie w ogrodzie Kroff mógł ukryć zrabowane banknoty.

Lecz wszędzie poszukiwania okazały się daremne. W szafie znaleziono kilkaset rubli, lecz były tam trzy, dziesięcio i dwudziesto pięciorublowki, jednym słowem asygnaty niższej wartości, niż te,

które zawierał pugilares Pocha.

Major Verder odprowadził sędziego na stronę i rzekł półgłosem:

– Pamiętaj pan, że od owej chwili Kroff nie oddalał się z szynku bez agentów...

– Wiem o tem, – odparł Kerstorf, – lecz pamiętam również, iż zanim agenci przybyli Kroff pozostał kilka godzin zupełnie sam.

– Ostatecznie jednak dotąd nie znaleźliśmy zgoła nic, coby choć trochę oskarżało szynkarza.

– Istotnie... lecz śledztwo nie ukończone... Masz pan klucze od pokoiów gościnnych?...

– Tak, panie sędzio.

Udali się najpierw do pokoju inkasenta major z hałasem otworzył drzwi.

Po odsunięciu okiennic oczom ich ukazał się widok okropny, wstrętny.

Pokój nie sprzątny był wcale. Łóżko rozrzucone, wszędzie pełno kurzu i pajęczyn!... Od łóżka do samego progu ciągnęła się struga skrzepłej krwi, lecz najmniejszego śladu mordercy.

Na rozkaz Kerstrofa zamknięto znowu okiennice.

Wszyscy wrócili do izby restauracyjnej.

– Idźmy teraz do pokoju, gdzie nocował Ozolin – odezwał się sędzia.

Najpierw obejrzano starannie drzwi od zewnątrz, lecz nie zauważono nic, coby pozwalało przypuszczać, że ktoś od pokoju tego usiłował się dostać. Zresztą agenci potwierdzili, że Kroff nie wchodził tam ani razu.

Podoficer Eck odsunął rygle okiennic i okno otworzył na oścież. Wesole światło majowe, zalało pokój. Od czasu ostatniego śledztwa nie zaszła tutaj zmiana najmniejsza. W głębi stało łóżko, obok niego prosty, drewniany stolik. Na stoliku żelazny lichtarz z kawałkiem niedopalonej świecy.

W jednym rogu mieściło się słomiane krzesło, w drugim drewniany stołek. Na prawo od łóżka znajdowała się szafa, zamknięta na kłódkę. Na kominku widać było nieco popiołu.

Przeszukano z największą dokładnością łóżko i szafę; nie znaleziono nic... najmniejszego skrawka papieru.

Oglądano bacznie ustawiony w kącie pogrzebacz, który przechodził z rąk do rąk. Stwierdzono ponownie, że haczyk jest skrzywiony. Skrzywienie to mogło nastąpić przy wyłamaniu okiennicy, lecz równie dobrze mógł być skrzywiony dawniej. Okiennice wogóle były zaopatrzone tak źle, że można je było wyłamać przy pomocy zwykłego kija.

Co do rysów na ścianie zewnętrznej trudno było odgadnąć, w jaki sposób i kiedy powstały.

Sędzia zbliżył się do kominka:

– Czy nieznajomy kazał palić w piecu? – zapytał Kroffa.

– Nie.

– Czy podczas pierwszego śledztwa przetrząsaliśmy popiół?

– Zdaje mi się, że nie – odezwał się major.

– Trzeba więc uczynić to dzisiaj!

Eck pochylił się nad kominkiem, przegarniał czas jakiś popiół, wreszcie w lewym rogu znalazł maluchny skrawek napół zwęglonego papieru.

Zaczęto go pilnie przy świetle oglądać. Można sobie łatwo wyobrazić zdumienie wszystkich obecnych, gdy w skrawku tym rozpoznano rożek banknotu! Niewątpliwie był to jeden z tych 100 rublowych biletów, które Poch wiózł do Rewla. Numer spalony był, prawdopodobnie w płomieniu świecy, na kominku bowiem ognia nie rozniecano.

Przy bliższym badaniu zauważono na tym skrawku plamki krwi.

Oczywiście więc, banknot spalony był ręką mordercy!

Wobec tego czyż można było wahać się dłużej?!. Któż inny, jeżeli nie podróżny, nocujący w tym pokoju, mógł to popełnić? Czyż spalony banknot nie usuwał wszelkich wątpliwości?!...

Major Verder i podoficer Eck spojrzeli na siebie porozumiewawczo, jak ludzie, którzy się nie dowiedzieli nic nowego.

Kerstorf milczał zamyślony.

Kroff nie mógł powstrzymać wybuchu zadowolenia:

– Czy nie powiedziałem, panie sędzio – zawołał – że tym razem odjedziesz pan przekonany o mojej niewinności?

Kerstorf schował do notatnika zwęglony skrawek i rzekł sucho:

– Śledztwo skończone, panowie. Możemy się wybierać w drogę!

W kwadrans później powóz toczył się wartko w stronę Rygi. W szynku pozostał tylko Kroff i strzegący go agenci.

Nazajutrz raniutko major Verder zawiadomił Franciszka Johansena o rezultacie śledztwa. Bankier

tryumfował. Nie wierzył w niewinność Ozolina, i okazuje się, że miał słusność zupełną. Numer wprawdzie był spalony, lecz nie ulegało wątpliwości, że bilet ten pochodził z seryi, którą wiozł Poch.

Sensacyjna wieść rozniosła się szybko po całym mieście. Przyjaciele Ozolina i wszyscy Łotysze byli nią zgnębieni. Przeciwnie stronnicy Johansenów nie ukrywali radości, domagając się głośno uwieżenia profesora i stawienia go przed sądem.

Jerzy Sturit dowiedział się o wszystkim od doktora Paulina. Obaj postanowili zamilczeć o tym zdarzeniu przed Ozolinem. Złe wiadomości zawsze przychodzą zawczasem. Jerzy miał nadzieję, że zdoła ukryć przed Martą nowe niebezpieczeństwo, które groziło jej ojcu. Tego samego dnia jednak znalazł ją we łzach.

– Ojciec jest niewinny!... niewinny!... – powtarzała dziewczyna.

– Ależ, naturalnie, Marto, że niewinny. Nikt o tem nie wątpi. Pierwej czy później prawda się wykryje i wszyscy jego przyjaciele będą zawstydzeni... Nie przypuszczałem nigdy do jakiej niegodziwości posuwać się może zaciekłość polityczna!...

Sturit mówił to z przekonania, wierzył bowiem święcie, że profesor był ofiarą intryg politycznych, jako przeciwnik możnych Johansenów i przedstawiciel interesów narodowych.

Lecz wypadki szły swoim torem.

Po południu Matias Ozolin otrzymał rozkaz stawienia się w kancelaryi sędziego. Przed wyjściem z domu wstąpił do salonu, gdzie zastał Martę i Jerzego.

– Znowu wzywają mnie do Kerstorfa w tej przeklętej sprawie Pocha! Kiedyż się to wszystko skończy?! – rzekł gniewnie.

– Żądają pewnie jakichś nowych szczegółów – odezwała się Marta.

– Może pozwolisz, ojcze, bym ci towarzyszył? – zapytał Jerzy nieśmiało.

– Nie, dziękuję ci, Jerzy!

Wyszedł spiesznie i szybkim krokiem udał się do sądu.

W kancelaryi zastał Kerstorfa i pisarza.

Kerstorf wskazał profesorowi krzesło i głosem, zdradzającym pewne wzruszenie, rozpoczął badanie:

– Panie Ozolin – mówił – wczoraj w mojej obecności odbyło się powtórne śledztwo w szynku, agenci przeszukali starannie dom i ogród... oto co znaleziono w pokoju, w którym pan spędziłeś noc z 13-go na 14-ty kwietnia!

Tu podał profesorowi maluchny skrawek papieru.

– Co to takiego? – zapytał Ozolin.

– To szczątek zwęglonego banknotu, znaleziony w popiele na kominku – mówił dalej Kerstorf.

– Banknotu z seryi tych, które wiozł Poch? – zapytał Ozolin.

– Tak przypuszczać należy – odparł sędzia. – I nie będę wcale ukrywał, że ten zwęglony szczątek stanowi nowy dowód, świadczący przeciwko panu...

– Przeciwno mnie? – przerwał profesor z ironią, nawet wzgardą w głosie.

Dlaczegoż to, panie sędzio? Czyż zeznania Jerzego Sturita nie wykazały dostatecznie mojej niewinności? Pókiż jeszcze prześladować mnie będziecie swymi podejrzeniami?

Kerstorf milczał, przyglądał się tylko bacznie Ozolinowi. Błada, zmęczona twarz profesora nosiła ślady ciężkich wstrząśnień moralnych.

Kerstorf spojrział nań z pewnym współczuciem. Wiedział, że człowieka tego czekają przejścia nowe, cięższe może od poprzednich.

Matias Ozolin przesunął ręką po czole i rzekł:

– A więc ten szczątek papieru znaleziono w moim pokoju, wśród popiołów na kominku?

– Tak, panie Ozolin.

– Czy pokój po pierwszym śledztwie zamknięto na klucz?

– Tak.

– Zatem, przypuszczalnie nikt tam później nie wchodził?

– Nikt – poświadczyli to agenci.

– Niedopalony szczątek skrwawionego biletu – ciągnął z namysłem Ozolin – znaleźliście, panowie, w popiele na kominku...

– Tak – potwierdził Kerstorf.

– Jakże się to mogło zdarzyć, że skrawek ten uszedł uwagi panów w czasie pierwszego śledztwa?

– Nie umiem sobie tego wytłumaczyć i dziwię się mocno... nikt go przecież tam później położyć nie mógł... pokój zamknięto na klucz w mojej obecności...

– Jestem zdziwiony niemniej od pana – odparł Ozolin z lekką ironią. – Właściwie nie powinienem być zdziwiony, raczej zaniepokojony... przecież to mnie obwiniają o spalenie banknotu i wrzucenie

tego szczątka do pieca...

– Tak jest, pana – odparł Kerstorf.

– A ponieważ – ciągnął profesor głosem coraz więcej ironicznym – spalony banknot był jednym z tych, które się znajdowały w pugilaresie Pocha, oczywiście zatem, człowiek zajmujący ten pokój – to znaczy ja – okradł i zamordował Pocha?...

– Czy pan znajduje, że w rozumowaniu powyższym jest jakakolwiek niedokładność? – zapytał Kerstorf, nie spuszczać oczu z profesora.

– Bynajmniej, panie sędzio! Wszystko się wiąże ze sobą niesłychanie logicznie... Wniosek pana zupełnie prawidłowy. Tylko... czy mi pan pozwoli rozumowaniu temu przeciwstawić swoje?...

– Słucham pana, panie Ozolin.

– Z szynku „*pod złamanym hakiem*” wyszedłem o czwartej rano... Czy o tej godzinie zbrodnia już była popełniona?... Tak – jeżeli mordercą... jestem ja... nie – jeżeli nim jest kto inny... Mniejsza o to... Czy możesz jednak zaręczyć, panie sędzio, że po mojem wyjściu człowiek ten, korzystając z czasu i swobody, nie urządził się w ten sposób, aby podejrzenia skierowane zostały na nieobecnego podróżnego... mógł np. ustawić w kącie skrzywiony pogrzebacz... wrzucić do pieca szczątek niedopalonego banknotu... porysować ścianę zewnętrzną...

– Ze słów pańskich wynika, że oskarżasz pan szynkarza Kroffa.

– Kroff czy nie Kroff, mniejsza o to... Poszukiwanie przestępcy nie należy do mnie... bronię tylko siebie, do czego mam prawo najzupełniejsze...

Kerstorf uderzony był spokojem i ironią Ozolina. To, co dzisiaj słyszał od niego, powtarzał sobie przedtem już wiele, wiele razy. Nie mógł uwierzyć, by człowiek tak nieposzlakowanej uczciwości popełnił tak wstrętny czyn... Skłaniał się do przypuszczenia, że sprawcą tego był Kroff, pomimo, iż oba śledztwa nie rzuciły na niego najmniejszego cienia.

Badanie trwało przeszło godzinę.

– Panie sędzio – zakończył wreszcie Ozolin – to pańska rzecz rozstrzygnąć, na którym z nas, na mnie czy też na Kroffie, ciąży silniejsze podejrzenie...

O ile mnie się zdaje, każdy człowiek bezstronny oświadczy się za mną... Najsilniejszym, najbardziej obciążającym zarzutem, któryście mnie stawiali był ten, że nie chciałem wyjawić celu mej podróży... Lecz zarzut ten upadł po ukazaniu się Jerzego Sturita, który się dobrowolnie oddał w ręce sprawiedliwości, składając zeznanie wobec przedstawicieli władzy i wzburzonego tłumu...

Zeznanie jego oczyszczało mnie w zupełności... Czy sprawcą jest Kroff, czy też kto inny – nie moja to rzecz – od tego jest policja i sąd... Co do mnie – wina Kroffa nie podlega wątpliwości najlżejszej...

Szynkarz wiedział, że Poch udaje się do Rewla w interesie firmy bankierskiej Johansenów... że grubo wyładowany pugilares jego zawiera znaczne pieniądze... wiedział, że ja zamierzam wyruszyć w drogę o czwartej rano...

Na podstawie tych wszystkich wiadomości mógł obmyśleć dokładny plan swoich czynów, zatarcia śladów i zrzucenia winy na nieobecnego podróżnego... Nie wiem, kiedy stać się to mogło, przed czy po moim wyjściu z szynku... lecz nie wątpię, że skoro tylko stracił mnie z oczu, wszedł do mego pokoju, rzucił do pieca niedopalony banknot, ustawił w kącie skrzywiony pogrzebacz... Jeżeli pan ciągle trwasz w mniemaniu, że sprawcą jestem ja, oddaj mnie pod sąd... W obliczu przysięgłych głosić będę swoją niewinność i oskarżę Kroffa... Jeżeli pomimo to usłyszę wyrok potępienia, będę wiedział ile jest warta sprawiedliwość ludzka...

Urwał. W słowach jego dźwięczało tyle prawdy, że Kerstorf nie przerwał mu ani razu.

Po krótkim milczeniu profesor zapytał:

– Panie sędzio... czy podpisujesz pan rozkaz mego uwięzienia?

– Nie, panie Ozolin – odparł Kerstorf spokojnie.

Rozdział XIV

Cios za ciosem.

Wydobyty z pieca zwęglony szczątek banknota usuwał wszelką możliwość przypuszczenia, że zbrodnię popełnił jakiś rabuś z szajki, operującej w północnych Inflantach. Oczywiście nikt inny nie mógł być posądzony tylko Kroff albo Ozolin. Badanie sądowe musiało się ograniczyć do pilnej obserwacji obu ludzi i wydania wyroku na jednego z nich.

Wielkie było zdumienie szerszego ogółu, gdy okazało się, że pomimo powtórnego śledztwa, sędzia Kerstorf nie kazał uwięzić żadnego z przypuszczalnych przestępców. Wzburzenie ogólne potęgowała nienawiść partyjna. Łotysze z zaciętością bronili Ozolina, nie tylko jako swego przywódcę lecz i dlatego, że w winę jego, istotnie uwierzyć nie mogli. Z większym jeszcze zapałem niż poprzednio głosili jego kandydaturę na przyszłych wyborach do rady miejskiej.

Niemcy znowu stanęli po stronie Kroffa.

Ciemna osobistość szynkarza nie mogła budzić szczerzej sympatii – kierowała więc nimi przeważnie niechęć do Ozolina, przeciwnika Johansenów.

Bankier postanowił walczyć do upadłego. Nie szczędził grosza, hojnie opłacając swych stronników i prasę, która domagała się uwięzienia Ozolina i zarzucała władzy stronność i zbyt dużą pobłażliwość! Najumiarkowańsze organy żądały uwięzienia obu podejrzanych. Dzienniki zaś łotewskie stanęły w obronie profesora. W wyższych sferach towarzyskich, w klubach, hotelach, restauracjach, w biurach i sklepach toczono spory o Kroffa i Ozolina.

Przy tym nastroju umysłów wydawało się koniecznym wykrycie prawdziwego sprawcy, zanim oba wrogie stronnictwa spotkają się przy urnie wyborczej.

Kroff tymczasem w dalszym ciągu uprawiał swoje rzemiosło. Agenci policyjni przebywali stale „pod złamanym hakiem”. Co wieczora gromadzili się tam drwale i chłopcy z sąsiednich wiosek. Kroff obsługiwał gościom jak dawniej, spostrzegano jednak u niego pewien niepokój.

Pozostawienie profesora na swobodzie wytrąciło go z równowagi. Z coraz większą zaciętością oskarżał Ozolina. Unikał spojrzeń badawczych i wpadał w zaciekłość w razie nawet najbliższej obrony profesora.

W domu tego tymczasem pomimo zbliżającego się dnia ślubu Marty i przygotowań weselnych panował nastrój smutny. Przygnębienie Matiasa odbijało się na wszystkich obecnych.

Od czasu ostatniego badania w kancelarii Kerstorfa minęło dni siedem.

Nazajutrz upływał termin spłaty Johansenom 18000 rubli. Dumni bankierzy wyczekiwali dnia tego z gorączkowym niepokojem. Albo Matias Ozolin pieniędzy tych nie posiada wcale – i w takim razie czeka go upokorzenie niechybne, nawet gdyby niewinność jego w sprawie Pocha została udowodniona; albo też sumę żadaną wypłaci i wtedy oskarży się sam.

Wiadomo było powszechnie, że profesor utrzymywał się z lekcyi – w ten sposób zaś nie gromadzi się tysięcy, – pieniądze zatem, które mógłby złożyć w banku byłyby niewątpliwie zdobyte drogą kradzieży. W razie spłaty długu Ozolin zgubi siebie bezpowrotnie; nie uratuje go ani przeszłość bez zarzutu, ani nawet przychylność sfer rządzących.

Ranek upływał na oczekiwaniu daremnie: Ozolin nie stawił się w banku.

Po południu około godziny czwartej w mieszkaniu profesora zjawił się woźny i doręczył Jerzemu zawiadomienie bankowe.

Nieszczęściem Jerzy przeczytał je. Zrozumiał, jakie niebezpieczeństwo grozi profesorowi i postanowił ratować go. Miał przecież z dziedzictwa po ojcu 20000 rubli, które Ozolin zwrócił mu w Parnawie!

Było już około 5-ej. Bank zamykano o godzinie 6-ej.

Jerzy, nie tracąc chwili, udał się do swego pokoju, wyjął z biurka pieniądze i wyszedł na ulicę.

Zaraz na wstępie spotkał Jana i Martę, którzy wracali właśnie do domu.

– Odchodzisz, Jerzy? – zapytała Marta podając rękę narzeczonemu.

– Tak, droga Marto, nie na długo jednak. Przy obiedzie zobaczymy się.

Zawahał się chwilę... A może powiedzieć Marcie, dokąd i w jakim celu udaje się? Lecz nie! Lepiej wyznać prawdę po ślubie. Teraz Marta będzie się czuła zmieszana, a potem, niewątpliwie wdzięczną mu będzie, że kosztem ich wspólnego dobrobytu uratował spokój ojca.

– Spiesz się, Jerzy – odezwała się serdecznie – i wracaj prędko... Przy tobie czuję się odważniejszą... Tak się zawsze boję o ojca...

– Dzisiaj jest znowu smutniejszy, więcej przygnębiony niż zwykle – zauważył Jan, a oczy jego błysnęły gniewem... – Stanowczo jest chory... Ci nędznicy doprowadzą go wkrótce do śmierci...

– Przesadzasz Janie – zaprzeczył spokojnie Jerzy. – Ojciec twój ma dużo hartu i tak łatwo nie ulegnie w walce.

– Oby się twe słowa spełniły, Jerzy! – westchnęła Marta.

Jerzy ścisnął jej dłoń i dorzucił:

– Miejmy nadzieję!... Zobaczycie, że za dni kilka wszystkie troski skończą się pomyślnie – i

pożegnawszy się, szybkim krokiem podążył do banku. Kasa była jeszcze otwarta.

Jerzy zbliżył się do okienka i podał otrzymane przed godziną zawiadomienie.

Kasjer odpowiedział, że w sprawie tej wypłaty powinien się zwrócić osobiście do pryncypała. Woźny zaprowadził Jerzego do gabinetu braci Johansenów.

– Jerzy Sturit! – zawołał starszy brat, rzuciwszy okiem na bilet wizytowy, który mu podał woźny – pewnie przychodzi w imieniu Matiasa Ozolina prosić o prolongatę...

– Ani na godzinę – przerwał bankier Franciszek. – Jutro rozpoczniemy kroki sądowe!

W tej chwili Jerzy wszedł do gabinetu.

– Panowie – odezwał się – przybywam w sprawie Matiasa Ozolina... dzisiaj wypada termin wniesienia do banku 18000 rubli.

– Istotnie – odparł Franciszek Johansen – ... które Matias Ozolin – ciągnął dalej Jerzy – zobowiązał się wypłacić dla pokrycia długu, zaciągniętego niegdyś przez jego ojca...

– Tak jest – odparł bankier – muszę jednak uprzedzić pana, że prolongaty udzielić nie możemy...

– Nikt jej od panów nie żąda – rzucił dumnie Jerzy.

– Tak? – zapytał starszy brat ze zdumieniem. – Właściwie jednak powinni byliśmy otrzymać te pieniądze dziś przed południem...

– Otrzymujecie je panowie przed 6-tą wieczor... I mam nadzieję, że zwłoka ta nie wpłynie ujemnie na sprawy firmy... prawdopodobnie bank z tego powodu wypłat nie zawiesi...

– Panie! – przerwał gwałtownie Franciszek, podrażniony ironią Jerzego. – Przynosisz pan więc 18000 rubli?

– Nieinaczej – odparł Jerzy, rzucając na stół paczkę banknotów. – Proszę o weksle!

Bracia Johansenowie, niemniej zdziwieni jak podrażnieni milczeli. Franciszek podszedł do kasy ogniotrwalej, otworzył ją, wyjął pugilares i zaczął go przerzucać. Po krótkiej chwili podał Sturitowi żądany dokument.

Jerzy przyjrzał się bacznie podpisowi Ozolina. Poczem położył na stół paczkę banknotów.

– Zechciejcie panowie przerachować! – rzucił wyniośle.

Bankier Franciszek pobladł i drżącą ręką przerzucał banknoty. Nagle oczy jego zabłysły tryumfem. Głosem tchnącym jakąś dziką radością i nienawiścią zawołał:

– O, panie Sturit, te banknoty są skradzione!

– Skradzione?!...

– Tak. Skradzione z pugilaresu nieszczęsnego Pocha!

– To być nie może! Bilety te doręczył mi Matias Ozolin w Parnawie... Stanowią depozyt, powierzony mu przez mego ojca...

– A w takim razie wszystko się tłumaczy jasno – zdecydował bankier. – Matias Ozolin roztrwonił powierzony mu depozyt... nie mógł go zwrócić prawdziwemu właścicielowi... skorzystał więc z nadarzonej okazji i...

Jerzy cofnął się o parę kroków, zasłaniając rękami oczy.

– Zanotowaliśmy numery banknotów wręczonych Pochowi – dodał bankier – oto ich wykaz!

Z temi słowy wyjął z bocznej kieszonki arkusz papieru, wypełniony cyframi.

– Panie... panie – jękał Jerzy, zmiażdżony tym ciosem niespodziewanym.

– Niestety, tak jest – powtórzył bankier. Ponieważ otrzymałeś pan te banknoty od Matiasa Ozolina, jest to dowód najlepszy, że nikt inny tylko on okradł naszego inkasenta Pocha.

Jerzy Sturit na odpowiedź się nie zdobył. W głowie mu szumiało... nogi się uginały. Zrozumiał, że Matias Ozolin zgubiony jest bez ratunku... teraz wszyscy uwierzą, że profesor roztrwonił powierzony mu przez Michała Sturita depozyt... po otrzymaniu od Jerzego listu z żądaniem pieniędzy pojechał do Parnawy błagać go o przebaczenie za nadużycie zaufania... W drodze traf go zetknął z Pochem... umyślił więc skorzystać z nadarzonej sposobności... dla zdobycia potrzebnej mu sumy i skradzione banknoty oddał synowi przyjaciela, jako dziedzictwo po ojcu...

– Matias... Matias Ozolin popełnił zbrodnię!... – powtarzał nieprzytomnie.

– O ile nie popełnił jej pan sam! – rzucił wzgardliwie Franciszek Johansen.

– Nędzniku! – rzucił Jerzy.

Nie zażądał jednak zadosyć uczynienia, inne myśli zaprzętały go.

– Nareszcie mamy go w swem ręku – mówił z zadowoleniem bankier, chowając do kieszeni banknoty... Teraz opieram się już nie na przypuszczeniach, lecz na dowodach materialnych... Dobrze radził Kerstorf, mówiąc, iż numery skradzionych biletów powinienem zachować w tajemnicy... Pierwej czy później zbrodniarz złapać się musi... Teraz śpieszę do sędziego Kerstorfa i mam nadzieję, że za godzinę Ozolin będzie uwięziony.

Jerzy Sturit wybiegł nieprzytomny na ulicę. Najsprzeczniejsze, najszałeńsze myśli tłoczyły mu się do głowy. Nie mógł uwierzyć w winę profesora – chybaby sam przyznał się do winy. Śpieszył po wyznanie – przecież te bilety od niego otrzymał w Parnawie! Wpadł do mieszkania Ozolinów i zadzwonił. Szczęściem na dole nie było ni Marty ani Jana. Jerzy wbiegł szybko po schodach i

zapukał do gabinetu profesora. Matias otworzył zaraz, lecz na widok zmienionej twarzy Sturita cofnął się o parę kroków.

– Co się stało? – zapytał z niepokojem.

– Ojczy! – zawołał Jerzy błagalnie – powiedz mi... powiedz mi całą prawdę... nie, to niemożliwe... nie uwierzę nigdy... w głowie mi się mąci...

– O co ci idzie, Jerzy? – przerwał Matias. Czyżby nowe jakieś nieszczęście?...

Słowa te wypowiedział tonem człowieka, który jest przygotowany na wszystko najgorsze, którego żadne zło już nie zadziwi.

– Jerzy... mówił po chwili... proszę cię... rozkazuję... wytłomacz się wyraźnie... jakiej żądasz prawdy?... Czyżbyś przypuszczał?...

Lecz Jerzy nie pozwolił mu dokończyć. Opanowując się nadludzkim prawie wysiłkiem woli, zaczął głosem przerywanym od nadmiernego wzruszenia:

– Przed godziną... woźny... przyniósł tutaj... zawiadomienie...

– Z banku Johansenów!... przerwał Matias... więc teraz wiesz już w jak ciężkim jestem położeniu... Długu tego nie zdołam wypłacić nigdy... spadnie na moje dzieci... Wobec tych zobowiązań, Jerzy, nie możesz... nie zechcesz pewnie zostać moim zięciem... Te ostatnie słowa tchnęły niewypowiedzianą goryczą.

Jerzy milczał – wreszcie wymówił z trudem:

– Właśnie... przyszło mi na myśl, że mogę usunąć od ciebie tę troskę...

– Ty?...

– Miałem przecież pieniądze, które mi doręczyłeś w Parnawie.

– Ależ to są twoje własne pieniądze, Jerzy... To spadek po twym ojcu...

– Właśnie dlatego miałem prawo rozporządzać nimi... Wziąłem więc banknoty... te same, które otrzymałem od ciebie w Parnawie – i udałem się do banku...

– Uczyniłeś to, Jerzy, naprawdę? – wykrzyknął Ozolin, przyciskając do piersi Jerzego. Lecz pocóż to zrobiłeś?! przecież to twój cały majątek! Ojciec twój chciał ci zapewnić przyszłość, nie zaś płacić moje długie!...

– Otóż – mówił Jerzy dalej z wysiłkiem – banknoty... które doręczyłem Johansenom są te same, które wiozł ów Poch... skradzione z jego pugilaesu... Johansen miał zapisane numery...

– Banknoty... te same banknoty... powtórzył Ozolin bezmyślnie.

Nagle zerwał się z krzesła. Z piersi jego wyrwał się okrzyk straszny, przeraźliwy...

W progu gabinetu stanęli Marta i Jan. Widząc niezwykle stan ojca rzucili się ku niemu, Jerzy stał na uboczu, ukrywając twarz w dłoniach. Matias zdawał się bliski omdlenia. Przemocą posadzono go na krześle. Z ust jego wyrwały się przerywane wyrazy:

– Banknoty skradzione... banknoty skradzione!...

– Ojczy! błagała Marta – powiedz, czy jesteś chory?

– Jerzy – zwrócił się Jan do Sturita – powiedz, co się stało?...

Matias z trudem powstał z krzesła, zbliżył się do Jerzego, odjął mu ręce od czoła i, patrząc mu w oczy badawczo – zapytał, głosem zdławionym:

– Więc te banknoty, które doniosłeś dzisiaj to banku Johansenów... pochodzą z pugilaresu Pocha...

– Tak – odparł Jerzy.

– A więc już niema dla mnie ratunku... jestem zgubiony... zgubiony... – wołał nieszczęśliwy człowiek, wodząc błędnymi oczami dokoła i żyły mu nabrzmiały na czole i skroniach.

Odrzucił dzieci, zbiegł pospiesznie ze schodów, wyskoczył na ulicę i wkrótce znikł w ciemnościach.

Marta i Jan byli zupełnie oszołomieni tą straszną sceną. Słowa: „skradzione banknoty” dźwięczały ciągle im w uszach, lecz nie umieli sobie zdać sprawy z ich znaczenia.

Zwrócili się pytaniem do Jerzego. Ten blady z oczami spuszczone, głosem złamanym opowiadał im wszystko... chciał ratować Matiasa, a tymczasem zgubił go ostatecznie... któż bowiem uwierzy w niewinność Ozolina teraz, gdy fatalne banknoty powierzone Pochowi, znalazły się w rękach Sturita... wszyscy przecież wiedzieli, że pieniądze te doręczył mu w Parnawie Ozolin.

Marta i Jan, złamali tą wieścią straszliwą, nie mogli się wstrzymać od łez.

– Ale ja muszę dowieść jego niewinności! – wykrzyknął Jan. Wtem weszła służąca z oznajmieniem, że przybyli agenci policyjni, chcący się widzieć z profesorem. W chwilę później we drzwiach ukazał się podoficer Eck z rozkazem uwięzienia Matiasa Ozolina.

Policja nie chciała uwierzyć w nieobecność profesora i rozpoczęła poszukiwania w mieszkaniu.

Tymczasem Marta, Jerzy i Jan wybiegli na ulicę, kierując się w stronę, w którą się udał Matias. Przeszli szybko przedmieście rozpytując przechodniów, wkrótce stanęli przed roгатką. Pomimo, że noc już zapadła, minęli roгатkę i znaleźli się na trakcie Parnawskim.

Teraz posuwali się naprzód wolniej, rozglądając się na prawo i lewo. Nagle stanęli.

O dwieście kroków od rogatki tuż przy drodze leżał jakiś człowiek.

Pochylili się nad nim wszyscy troje.

Był to Matias Ozolin.

Jan i Marta z okrzykiem bóleści przypadli do zwłok ojca. Jerzy pobiegł do sąsiedniego domku szukać pomocy.

Po krótkiej chwili wrócił. Za nim szli ludzie z noszami, na których ułożono zwłoki Matiasa i odniesiono do domu.

Wezwany doktor Paolin stwierdził śmierć nagłą. Biedny człowiek nie mógł przenieść oskarżenia, które pod wpływem rozpaczki zdawało mu się nie do obalenia.

Rozdział XV

Na grobie.

Nagła śmierć człowieka, który stał na czele partii łotewskiej, w okolicznościach stanowczo uwłaczających jego czci i dobremu imieniu, przyczyniła się do zwycięstwa Niemców w walce wyborczej. Widoczne było jednak, że to już zwycięstwo ostateczne, że Łotysze nie cofną się w pół drogi i pierwiej lub później należne im prawa zdobędą.

Zgon Matiasa Ozolina w chwili, gdy skradzione bilety trafiły przypadkowo do rąk Johansenów, usuwało wszelkie wątpliwości co do osoby przestępcy. Oczywiście Ozolin znajdował się w położeniu bez wyjścia... depozyt, powierzony mu przez Michała Sturita wydał... nie rachował wcale na powrót Jerzego z kopalni syberyjskich... zaskoczony zniecka jego listem, potajemnie wyruszył do Parnawy, prawdopodobnie po to, by błagać go o przebaczenie... w drodze przypadek zetknął go z Pochem, który wioził znaczne pieniądze do banku Rewelskiego... w głowie jego powstała myśl kradzieży. Złamanie powozu ułatwiło to zadanie, za cenę hańby zdobył pieniądze i spłacił dług Sturitowi... groził mu jeszcze wprowadzić dług inny... dług Johansenów, lecz tu rachował może na przedłużenie terminu albo na pomoc ze strony Jerzego. Tak rozumowano powszechnie. Śmierć Matiasa oczyściła również Kroffa od wszelkich podejrzeń. Stało się to właśnie w chwili, gdy Kerstorf miał wydać rozkaz uwięzienia szynkarza.

Kroff więc rozpoczął dawny tryb życia, czas jakiś nawet był przedmiotem ogólnej litości jako ofiara niewinnie oskarżona.

Prędko jednak zapomniano o nim, życie popłynęło swoim torem.

Po pogrzebie profesora, Jan nie wrócił już do Dorpatu. Oboje z Martą dni całe spędzali w domu. Wszyscy znajomi usunęli się od nich, wiernymi w przyjaźni pozostał tylko doktor Paulin, konsul Delaporte i, oczywiście, Jerzy Sturit.

Młodzi Ozolinowie byli zupełnie złamani. Nie umieli sobie zdać sprawy z tego co przeżyli w ostatnich czasach. W winę ojca nie wierzyli.

Jerzy Sturit odrzucał także uparcie świadectwo faktów. A jednak myśl o strasznej chwili, którą przeżył w banku, nie dawała mu spokoju... Jeżeli Matias nie ukradł pieniędzy z pugilaresu Pocha, skąd te same banknoty wzięły się u niego?

Jerzy prowadził na ten temat długie rozmowy z wiernym przyjacielem rodziny, doktorem Paolinem, który odpowiadał zawsze z nieubłaganą logiką:

– Byłbym gotowy przypuścić wszystko, mój drogi Jerzy, wszystko... co do banknotów zaszła jakaś

fatalna pomyłka... Matias padł rażony apopleksją z rozpaczy, że nie może dowieść swej niewinności.

Jerzy pochylił głowę w milczeniu.

Po chwili Paolin zaczął znowu:

– Cóż się teraz stanie z nieszczęśliwymi dziećmi Matiasa... Co zrobi z sobą Jan?... Jaki los czeka Martę...

– Marta będzie moją żoną...

Doktor z niepokojem ujął dłoń Jerzego.

– Więc mógłbyś przypuszczać, doktorze, że byłbym zdolny opuścić Martę... ożenię się z nią... nawet, gdybym o winie ojca był przekonany...

– Nie, Jerzy, nie sądziłem nigdy, że mógłbyś opuścić Martę... Przecież ona za winy ojca odpowiadać nie powinna.

– Jest to najszlachetniejsza, najzaczniejsza istota pod słońcem! – zawołał Jerzy z zapalem. – Małżeństwo nasze odłożono... lecz pobrać się musimy...

W razie potrzeby gotów jestem opuścić Rygę...

– Jerzy, poznaję twe szlachetne serce... Nie wątpiłem o tobie nigdy, tylko... czy Marta zechce?...

– Jeżeli odmówi, to znaczy, że nie żywi dla mnie żadnego uczucia...

– Jeżeli odmówi, to właśnie będzie dowodem jej przywiązania... bo nie chce, byś się rumienił przed ludźmi, z powodu plamy na jej nazwisku!...

Po tej rozmowie Jerzy postanowił przyspieszyć ślub. O opinię miasta, o sądy ludzkie nie dbał wcale. Przyszłość go nie trwożyła. Z depozytu po ojcu pozostało wprawdzie zaledwie dwa tysiące rubli, lecz miał przecież młodość, energię i wykształcenie fachowe. Na utrzymanie zapracuje zawsze...

Upłynęły dwa tygodnie. W życiu naszych znajomych zmian żadnych nie zaszło. Jan i Marta dni całe spędzali pogrążeni w bolesnej zadumie. Paulin i Jerzy przychodzili codziennie.

Pewnego razu Jerzy znalazł się sam z Martą, postanowił wymódcz na niej oznaczenie dnia ślubu.

– Marto – zaczął głosem wzruszonym – czy pamiętasz nasze rozstanie przed czterema laty – gdy odjeżdżałem na Syberyę... przysięgaliśmy sobie wierność do zgonu...

– Pamiętam.

– W moich uczuciach dla ciebie nic się dotąd nie zmieniło...

– Ani w moich Jerzy... Marzyłam o tem, żeby pojechać do ciebie, Jerzy... Gdyby władze były zezwoliły, byłabym dawno twoją żoną...

– Moją żoną... Żoną skazanego?...

– Nie – żoną wygnańca politycznego – odparła z przyciskiem.

Jerzy udał, że myśli ukrytej w tych słowach nie zrozumiał i mówił dalej:

– Tymczasem, okoliczności się zmieniły, Miałaś przyjechać do mnie na Syberję, aby zostać moją żoną... Zamiast tego ja przybyłem do Rygi, abyśmy tu połączyli się.

– Masz słusność, Jerzy, iż okoliczności się zmieniły... Zmieniły się straszliwie... okropnie...

Słowa te wymówiła ledwie dosłyszalnie... łkanie bólu wstrząsało całym jej ciałem.

– Droga Marto – uspakajał ją Jerzy... – nie myśl, że chcę poruszać tak ciężkie wspomnienia... pragnęłam tylko upomnieć się o twoje słowo...

– O moje słowo, Jerzy, – przerwała Marta z nowym wybuchem łkania... gdy je dawałam, byłam jeszcze godną ciebie...

– I dzisiaj nią jesteś...

– Nie Jerzy... nie... musimy zapomnieć o tem, co było...

– Nigdy, Marto... Gdyby nie śmierć twego ojca, od dwu tygodni byłabyś moją żoną!...

– Tak – odparła Marta z rezygnacją... – lecz Bóg tego nie chciał... I dzięki mu za to... Byłbyś może żałował, że wszedłeś do rodziny... nieszczęśliwej... teraz nie będziesz przynajmniej potrzebował rumienić się za nią...

– Marto – przerwał Jerzy z mocą... – przysięgam... nie byłbym nigdy żałował swego kroku... i nie byłbym się rumienił za ciebie, na którą żaden cień nie spada...

– Wierzę w twą szczerłość Jerzy... znam twój szlachetny charakter...

– Marto moja, nie usuwaj się ode mnie – zawołał Jerzy.

Lecz młoda dziewczyna mówiła z płaczem:

– Małżeństwo nasze jest już nie możliwe...

– Niemożliwe! – powtórzył Jerzy gwałtownie... niemożliwe... o tem ja tylko wyrokować mogę... Nie jestem dzieckiem, Marto... wiem, co robię i czego chcę... Życie moje nie było lekkie...

przywykłem zastaniawiać się nad swymi czynami... Twoje szczęście jest moim szczęściem... Sądziłem, że masz do mnie zaufanie... że polegasz na moim zdaniu... że pozwolisz mi decydować w sprawie, którą lepiej ocenić mogę...

– Stoję na stanowisku, jakie zajmie świat cały w tej sprawie...

– A cóż mnie obchodzić może świat i jego sądy. Opuścimy Rygę... jeżeli tak wolisz... Jan pojedzie z nami...

– Nigdy – odparła Marta stanowczo. Nigdy córka człowieka uchodzącego, za mordercę, nie będzie żoną Jerzego Sturita.

Po tej scenie rozeszli się nieszczęśliwsi niż byli poprzednio. Marta wróciła do swego pokoju Jerzy wybiegł na ulicę, błąkał się czas jakiś, wreszcie wpadł jak nieprzytomny do mieszkania Paolina.

Doktor zrozumiał, że między narzeczonymi kwestya postawiona została jasno, – że warunki społeczne wykopały pomiędzy nimi przepaść nie do przebycia.

Jerzy głosem urywanym powtórzył rozdzielającą scenę, która zaszła pomiędzy nim i Martą. Skarżył się, że pomimo gorących próśb i błagań z jego strony Marta była nieugięta.

– Niestety, przepowiadałem ci to, mój Jerzy... Znam Martę... woli jej nie złamiesz, nie...

– Doktorze!... nie odbieraj mi resztek nadziei... pomóż przekonać ją...

– Nie, Jerzy, nie łudź się na próżno... Marta niezdolna jest do układów... uważa się za córkę mordercy w oczach świata...

– A jeżeli nią nie jest?... Jeżeli Matias Ozolin czynu tego nie popełnił?!...

Paolin odwrócił głowę i nie odpowiedział na zapytanie w kwestyi, którą uważał już za roztrzygniętą.

Jerzy opanował się wreszcie i zabierał się do wyjścia. Żegnając się z Paulinem rzekł stanowczo:

– Muszę ci oświadczyć, doktorze, że Martę uważam zawsze jako swoją narzeczoną... i będę czekał...

– Na co?

– Może się coś zmieni... Może Bóg się nad nami zlituje...

Upłynęło parę miesięcy. Sprawa Pocha i Ozolina poszła w niepamięć. Nawet Franciszek Johansen, zwycięzca na wyborach do rady miejskiej, przestał się rodziną Ozolinów zajmować.

Lecz Jan i Marta postanowili przyjąć na siebie dług ojcowski. Pragnęli – o ile to będzie w ich mocy – oczyścić jego pamięć. W tym celu umyślili sprzedać dom i biblioteczkę profesora. Żyć będą z własnej pracy. Marta zajmie się nauczycielstwem... W Rydze byłoby to pewnie trudne... lecz w jakimś innym mieście może się uda... Jan postara się o miejsce urzędnika w jakiejś instytucji handlowej lub finansowej.

Tymczasem drobne oszczędności pozostałe po ojcu wyczerpywały się z każdym dniem. Należało przyspieszyć sprzedaż ruchomości.

W załatwianiu tych interesów dopomagał im Jerzy. Kilkakrotnie nawet oddawał do ich rozporządzenia to, co mu z depozytu ojcowskiego pozostało, lecz Ozolinowie propozycję jego odrzucili dumnie i stanowczo.

Po jakimś czasie, widząc, że Marta ochłonęła nieco z pierwszego bólu, Jerzy błagał ją znowu, by się zgodziła na ich ślub. Lecz ona twierdziła uparcie, że żoną jego zostać nie może... że wina ojca rozdzieliła ich na zawsze.

Jerzy tracił głowę.

Paulin, widząc jego rozpacz, próbował skłonić Martę do zmiany postanowienia. Lecz wola młodej dziewczyny była nieugięta.

– Córka mordercy nie może zostać żoną uczciwego człowieka – odpowiedziała na wszystkie argumenty, którymi się ją przekonać starano.

Odmowa Marty wywarła wielkie wrażenie w całej Rydze. Przyznawano jej słusność, lecz zarazem podziwiano siłę charakteru.

Znowu czas jakiś upłynął bez zmiany. Nic godnego uwagi nie zaszło.

Wtem 17-go września młodzi Ozolinowie odebrali list od pastora Szyleina, który prosił Jana i Martę, aby o 5-ej po południu przybyli na cmentarz protestancki.

Identycznie zredagowane listy otrzymali Jerzy i doktor Paulin.

Wszyscy zachodzili w głowę, co znaczy podobne wezwanie.

– Jak sądzisz, doktorze? Co mamy robić? – zapytał Jerzy.

– Moim zdaniem, powinniśmy bezwarunkowo spełnić żądanie pastora Szyleina. Jest to człowiek

tak zacny, że z pewnością nie wzywałby nas daremnie. Widocznie musi mieć do tego ważne powody...

– Czy przyjdiesz, Marto? – zapytał Jerzy, zwracając się do narzeczonej, która przysłuchiwała się w milczeniu.

– Nieraz już chodziłam na grób ojca – odparła zapytana – pójdę i tym razem. Może Bóg nas prędzej wysłucha, gdy pastor Szylein do próśb naszych dołączy swoje...

– Do widzenia, zatem! Spotkamy się o piątej! – zdecydował Paulin, żegnając się z rodzeństwem.

Jerzy wyszedł z nim razem.

Punkt o piątej Jan i Marta stanęli przed bramą cmentarza, gdzie Jerzy i Paulin czekali na nich. Poczem udali się wszyscy na grób Matiasa, przybrany kwiatami.

Przy grobie klęczał siwowłosy starzec. Był o szanowany powszechnie siedmdziesięcioletni pastor Szylein.

Na odgłos kroków podniósł głowę i widząc nadchodzących powstał z ziemi. Oczy jego gorzały blaskiem niezwykłym. Wyglądał jak natchniony.

W milczeniu uściśnął dłonie przybyłych i skinął, by uklękli. Poczem rzekł:

– Jerzy, podaj mi rękę!

A wracając się do Marty dodał:

– I ty, Marto, również!

Dłonie ich połączył ze sobą. We wzroku jego i w głowie było tyle siły, w wyrazie twarzy tyle dobroci, że młoda dziewczyna nie śmiała się opierać.

Wtedy pastor wyrzekł bardzo powoli i bardzo uroczyście:

– Jerzy i Marto! przyrzeknijcie sobie i mnie, że jutro odbędzie się wasz ślub.

Marta bezwiednie prawie wyrwała swą rękę z dłoni Jerzego.

– Marto, uspokój się – rzekł pastor łagodnie – pamiętaj, że od jutra będziesz żoną tego człowieka, i że on na to zasługuje...

– Nigdy! – przerwała żywo – córka mordercy nie ma prawa...

– Córka niewinnie oskarżonego... – odparł pastor, wznosząc oczy ku niebu.

– Któż więc jest mordercą Pocha? – zapytał Jan, drżący ze wzruszenia.

– Właściciel szynku „*pod złamanym hakiem*”... Kroff!...

Rozdział XVI

Zeznanie Kroffa.

W wigilię dnia tego Kroff zmarł na zapalenie płuc.

Przed śmiercią, dręczony wyrzutami sumienia, wezwał pastora Szyleina i sędziego śledczego Kerstorfa, poczem w ich obecności przyznał się do popełnionej zbrodni.

Wyznanie to pastor i sędzia zapisali dosłownie.

Oto, jak rzecz się miała:

W nocy, z 13-go na 14-ty kwietnia, Ozolin i Poch przybyli do szynku „*pod złamanym hakiem*”.

Na widok wyładowanego pugilaresu Pocha, szynkarz – którego interesy od niejakiegoś czasu szły bardzo nieszczególnie – postanowił okraść inkasenta. Ostrożność nakazywała mu doczekać się chwili, aż drugi podróżny opuści oberżę. Nie mógł jednak zapanować nad swą niecierpliwością i już o drugiej po północy wsunął się cichutko do pokoju Pocha. Na swe nieszczęście Poch nie spał wcale. Usłyszawszy lekki szmer, podniósł głowę i w bladym świetle latarki ujrzał przed sobą Kroffa. Szynkarz nie namyślał się długo... w jednej chwili zdecydował się na morderstwo.

Wyjął ukryty za pasem nóż szwedzki i pchnął nim inkasenta.

Cios był śmiertelny.

Kroff pochwyił pugilares i zaczął go przetrząsać. Znalazł piętnaście tysięcy rubli. Jakież jednak było jego przerażenie, gdy w bocznej kieszonce pugilaresu natrafił na kartkę treści następującej: „Wykaz numerów powierzonych mi banknotów. Duplikat znajduje się u pp. Johansenów.

Numery banknotów były wynotowane. Zbrodnię popełnił napróżno!

Wtedy błysła mu nagle myśl zrzucenia odpowiedzialności na podróżnego, który spał spokojnie w drugim pokoju. Wybiegł szybko na dwór, porysował ścianę wewnętrzną pogrzebaczem, wyłamał okienicę i wrócił do mieszkania.

Opanowała go jednak wściekłość bezsilna. Posiadał w swych rękach banknoty, z których skorzystać nie mógł, a które przedstawiały dlań niebezpieczeństwo groźne. Jak wybrnąć z tak trudnego położenia?...

Czas jakiś łamał sobie głowę daremnie ... żaden pomysł nie przynosił mu ulgi.

W końcu postanowił raz jeszcze spróbować szczęścia, wśliznąć się do pokoju drugiego podróżnego, zabrać pieniądze, jakie ten prawdopodobnie posiadał, a natomiast włożyć mu do kieszeni skradzione banknoty.

Jak pomyślał, tak i zrobił.

Tym razem udało mu się przewybornie. Nieznajomy spał tak mocno, że nie drgnął nawet, gdy Kroff przeglądał jego pugilares.

Jak wiemy, profesor wiózł wówczas do Parnawy depozyt ojca Sturita – 20000 rub. Kroff wyjął 15000 i na ich miejsce położył banknoty skradzione przed chwilą z pugilaresu Pocha. Notatki z numerami biletów nie znalazł nigdzie. Ciężar spadł mu z piersi. Krwawą zdobycz wraz z nożem szwedzkim zagrzebał coperędzej pod jodłą tak zręcznie, że policja pomimo dwukrotnego śledztwa w szynku, na ślady skopanej ziemi nie natrafiła.

O czwartej rano Ozolin opuścił szynk, udając się do Parnawy. Wyrządził tem usługę niepomierną Kroffowi, który wszystkie podejrzenia skierował przeciwko niemu.

Banknoty, wzięte od Ozolina wymieniał bardzo nieprędko i ostrożnie po jednej sztuce sturublowej.

Tymczasem nieznajomy podróżny został poznany przez Ecka. Był to Ozolin, Kerstorf wezwał go na badanie, oskarżony nie chciał wyznać celu swej podróży. Okoliczność ta stanowiła dowód obciążający, lecz następne wyjaśnienia Sturita poprawiły sprawę Ozolina.

Kroff daremnie z dnia na dzień wyczekiwał wiadomości o uwięzieniu profesora. Zwłoka nappełniła go niepokojem, zrozumiał, że nie jest wolny od posądzeń. Pod grozą niebezpieczeństwa obmyślił kombinację nową, która zdaniem jego miała zadać profesorowi cios ostateczny.

Pomimo czujnego nadzoru agentów znalazł którejs nocy chwilę odpowiednią, krwią własną zbryzgał jeden z banknotów, spalił go na świecy, zachowując mały rozek cały. Następnie wdarł się na dach słomiany i przez komin rzucił zwęglony skrawek do pieca w pokoju nieznajomego. Jak już widzieliśmy poprzednio, podczas powtórnego śledztwa skrawek ten został znaleziony i poczytany za dowód, potępiający Ozolina nieodwołalnie.

A jednak i teraz jeszcze Kerstorf nie podpisał rozkazu uwięzienia profesora, wątpił bowiem ciągle o jego winie.

Niepokój Kroffa wzrastał. Od czasu do czasu dochodziły go wieści, że zwolennicy i obrońcy profesora obwiniają jego, Kroffa. Opinia publiczna chwiejna i niepewna zaczęła się przechylać na korzyść Ozolina. Szynkarz zrozumiał, że lada chwila otrzyma wyrok uwięzienia, a wyrok taki byłby jego zgubę.

Miotany obawami wyczekiwał daremnie chwili, ażeby profesor zmienił wreszcie podzruczone mu w szynku bilety. Lecz Ozolin biletów tych nie wymieniał wcale. Kroff zwątpił, czy kiedykolwiek zgłosi się z niemi do banku.

Nareszcie pewnego dnia, przybywszy do Rygi, dowiedział się o katastrofie, zaszłej w banku przy

wymianie biletów przez Sturita i o nagłej śmierci Ozolina od ataku apoplektycznego.

Kroff mógł zatem odetchnąć swobodnie. Nikt już nie wątpił o winie Ozolina, on więc mógł spokojnie korzystać z owoców swej podwójnej zbrodni. Bo czuł to doskonale, że choć pchnął nożem tylko jednego Pocha, ale był też pośrednim sprawcą nagłej śmierci nieszczęsnego Ozolina.

Tak, mógł spokojnie korzystać z owoców zbrodni; sprawiedliwość ludzka nie mogła go osiągnąć, ale wewnątrz jego duszy stało coś strasznego, gorszego stokroć niż poprzedni strach sądu.

Były to wyrzuty sumienia! Miotany wewnętrzną zgryzotą, błakał się, jak szalony nad brzegami Dźwiny, wreszcie w gorączce z zapaleniem płuc, legł w szpitalu. Czując śmierć blizką, wezwał pastora i sędziego, aby wyznać całą prawdę.

Resztę pieniędzy, których jeszcze nie wydał około 13,000 r. oddał sędziemu dla zwrócenia prawemu ich właścicielowi, Jerzemu Sturitowi.

Rehabilitacja Ozolina była zupełna, lecz niestety, przyszła zapóźno! Marta wyszła za Jerzego i pozostała w rodzinnem mieście, ale ileż boleści sprawiła jego śmierć dzieciom i przyjaciołom nieboszczyka, ile szkody przyniosło sprawie odrodzenia Łotyszów, którą zmarły profesor, tak umiejętnie prowadził, któż zdoła obliczyć?

Tak się zakończył ów straszny dramat, który przed dwudziestu laty takie wywarł wrażenie w całym kraju Nadbałtyckim. Od tego czasu sprawa uświadomienia narodowego Łotyszów i Estów poszła szybkim krokiem, nie brak im dzielnych, pełnych poświęcenia mężów i niewiast; przewaga żywiołu niemieckiego coraz bardziej maleje.

KONIEC

[1] Wypadki ostatecznie w prowincjach Nadbałtyckich zwróciły uwagę na ludy zamieszkujące te prowincje, Łotyszów i Estów. Pierwsi zamieszkują przeważnie Kurlandyę, sąsiadując ze Żmudzinami i Litwinami, drudzy zaś Estowie, mają siedziby swe w Liflandyi i Estlandyi, opierają się zaś od północy o zatokę Fińską.

W r. 1582-im Strykowski w swojej «kronice» pisał o Łotyszach:

Ubiór ich zwierzęce wszystko były skóry,

A majętność, na sobie, co miał nosić który.

Dom – kuczka, prostym darniem nakryta,

Od lat z gór trzysta nieco się zmieniło zwłaszcza w ostatnich latach.

Lud łotyski wraz z Litwinami i Żmudzinami tworzy oddzielny szczep, mając z innymi szczepami europejskimi wspólne pochodzenie aryjskie. Pomiędzy językami łotyskim a litewskim jest takie pokrewieństwo, jak np. między polskim a czeskim.

Według spisów ludnościowych, Łotysze liczą z górą milion ludności, osiadłej przeważnie na obszernych przestrzeniach polnych, w osadach porozrzucanych, lubują się bowiem w samotności. Łotysz, który całe życie spędził w obrębie swej parafii i nigdy po za nią się nie wychylił, nie jest bynajmniej rzadkością. Przyczyną tego są głównie bagna i moczary nie do przebycia, pomiędzy którymi ciągną się liche pola łotyskie. Gospodarstwo na tych polach jest marne, – chociaż w ostatnich czasach daje się zauważyć dążenie do poprawy; wołów i koni niewiele, zazwyczaj baba przywiązana do dyszla sochy ciągnie ją cały dzień Boży, przystając tylko chwilami dla otarcia potu z twarzy. Bieda i nędza wypędza Łotyszów do fabryk niemieckich, istniejących w miastach nadmorskich. Widnawie, Libawie, Rydze i innych, albo też gna ich za ocean do Ameryki.

Łotysz z usposobienia jest cichym, łagodnym, gościnnym. Pieśni jego, dziwne brzmieniem jednostajnym, nie zdradzają ani śladu jakiegokolwiek uczucia. Nawet smutku w nich nie widać. Przypowieści, zagadki, przysłowia, pełne myśli głębokiej i rezygnacji, – oto cała literatura łotyska.

Niemcy, początkowo Kawalerowie Mieczowi, później baronowie kurlandcy, zagarnęli ziemię łotyską, pozostawiając ludności trud jej obrabiania. Ogniem i mieczem szerzyli wśród ludu tego kulturę, której jedynym wyrazem jest wyznanie protestanckie i nieliczne książki do nabożeństwa niemieckimi literami w łotyskim języku drukowane.

W miastach Łotysz jako robotnik lub cokolwiek więcej wykształcony zawodowiec, odznacza się wielką inteligencją, wytrwałością i cierpliwością. Dlatego też fabrykanci niemieccy prawie wyłącznie Łotyszami posługiwali się w swych przedsiębiorstwach.

W ostatnich dziesiątkach lat wśród inteligencji łotyskiej obudził się ożywiony ruch literacki i narodowy, posiadający najznacześniejsze swoje ogniska w Rydze i Mitawie.

W Liflandyi (Inflantach) Łotysze pomieszani są z Estami, którzy znów prawie wyłącznie zamieszkują Estalndę. Szczep to zupełnie odmienny, należący do grupy fińskiej językiem spokrewniony z ludami uralско-altajskimi, do których zaliczają się z jednej strony ludy z nad morza Białego, z drugiej zaś Mongołowie i Turcy. Język Estów blisko spokrewniony z językiem węgierskim, chociaż pozornie nie przedstawia doń podobieństwa.

Rosjanie nazywają Estów «czuchnami». Z mową ich spotykać się można często w Warszawie, w dni świąteczne, przed kościołem ewangelicko-augsburskim, do którego, jako żołnierze miejscowej załogi, licznie uczęszczają i po nabożeństwie w małych grupach głośno i żywo rozmawiają.

Cechami charakteru Estów jest rozwaga, zabiegliwość, dobroduszość i wzorowa uczciwość. W Estalndy kradzieże i rozboje są wyjątkowymi, Estowie zaś prawie nigdy do nich nie należą.

Kultura niemiecka w Estonii głębiej się rozpostarła, ztąd też kraj ten należy do wysoko rozwiniętych. Oświata stoi wysoko, Estowie umieją po niemiecku, ale swój język pielęgnują z troskliwą pieczołowitością. W Dorpacie i Rewlu wychodzą liczne gazety estońskie. Gęste szkółki po wsiach estońskich szerzą oświatę tak korzystnie, że prawie wszyscy Estowie umieją czytać i pisać.

W Liflandyi Estowie żyją pomieszani z Łotyszami i nie lubią się wzajemnie; łączy ich tylko wspólna nienawiść do Niemców i pragnienie pozyskania swobody ekonomicznej i kulturalnej. (*Przyp. tłum.*).

[2] Rzeka Embach wypływa z jeziora Ledla i wpada do jeziora Pejpus.

[3] Dorpat, od lat piętnastu nazywany Jurjewem.

[4] Radujmy się, dopóki młodość trwa – po wesołej młodości, po ciężkiej starości pochłonie nas ziemia.

[5] W Rosyi kara śmierci istnieje tylko dla przestępców politycznych.

Spis treści

Rozdział I	3
Na granicy	3
Rozdział II	8
Łotysz za Łotysza.	8
Rozdział III	13
Rodzina Ozolinów.	13
Rozdział IV	18
W karetkce pocztowej.	18
Rozdział V	24
Szynk „Pod Złamanym Hakiem”.	24
Rozdział VI	29
Niemcy i Łotysze.	29
Rozdział VII	33
Śledztwo.	33
Rozdział VIII	40
W Dorpacie.	40
Rozdział IX	46
Oskarżenie.	46
Rozdział X	52
Badanie.	52
Rozdział XI	61
W obliczu tłumy.	61
Rozdział XII	67
Jerzy Sturit.	67
Rozdział XIII	72
Powtórne śledztwo.	72
Rozdział XIV	79
Cios za ciosem.	79
Rozdział XV	84
Na grobie.	84
Rozdział XVI	89
Zeznanie Kroffa.	89